



ANTOLOGIA
POEZIOW POLSKICH







319004

ANTOLOGIA POLSKA

WYBÓR

NAJCELNIEJSZYCH UTWORÓW POETÓW POLSKICH

ZESTAWIŁ

W. B.

Z 15 ILLUSTRACJAMI

ANDRIOLLEGO — BRANDTA — GERSONA — JANKOWSKIEGO
KOSSAKA — LESSERA — PILLATEGO I ŻMURKI.

TRZECIE WYDANIE POMNOŻONE.

LWÓW.
H. ALTENBERG.

LIPSK.
F. A. BROCKHAUS.

WARSZAWA.
GEBETHNER I WOLFF.

[1887]

884-1-84: 884-8-84



475067



NAKŁADEM H. ALTENBERGA WE LWOWIE 1887.

SPIS POETÓW

ZAMIESZCZONYCH W TRZECIEM WYDANIU
ANTOLOGII POLSKIEJ.

	strona		strona
Anczyc Wł. L.	433	Ilnicka Marya	382
Asnyk Adam	411	Jabłoński Henryk	271
Baliński Karol	281	Karpiński Franciszek	92
Berwiński Ryszard	362	Klonowicz Sebastyan	36
Bielowski August	262	Kniaźnin Dyonizy	88
Biernacki Mikołaj	450	Kochanowski Jan	1
Brodziński Kazimierz	115	Kochowski Wespazyan	61
Brzozowski Karol	350	Komorowski Bronisław	473
Czajkowski Antoni	407	Konopnicka Marya	386
Czerwieński Bolesław	484	Koźmian Stanisław	427
Deotyma	373	Krasicki Ignacy	71
Drużbacka Elżbieta	63	Krasiński Zygmunt	183
Faleński Felicyan	447	Kraszewski Józef Ignacy	390
Fredro Aleksander	251	Kraushar Aleksander	457
Garczyński Stefan	245	Lenartowicz Teofil	342
Gaszyński Konstanty	231	Magnuszewski Dominik	288
Godebski Cyprian	105	Malczewski Antoni	128
Gomulicki Wiktor	468	Miaskowski Kasper	47
Gosławski Maurycy	247	Mickiewicz Adam	136
Goszczyński Seweryn	215	Morawski Franciszek	120
Grochowski Stanisław	43	Morsztyn Andrzej	53
Grudziński Stanisław	460	Naruszewicz Adam	67

	strona		strona
Niemcewicz Julian . . .	101	Trembecki Stanisław . . .	79
Odyńiec Antoni Edward	197	Tretiak Józef	474
Ordon Władysław	464	Ujejski Kornel	328
Pajgert Adam	365	Urbański Aureli	481
Pług Adam	390	Wasilewski Edmund . . .	265
Pol Wincenty	318	Węgierski Kajetan	83
Potocki Waław	55	Wężyk Franciszek	112
Rej Mikołaj	33	Witwicki Stefan	225
Romanowski Mieczysław	357	Wolski Włodzimierz . . .	306
Siemieński Lucjan	255	Woronicz J. P.	99
Słowacki Juliusz	159	Zagórski Włodzimierz . .	444
Sowiński Leonard	453	Zaleski Bogdan	206
Syrokomla Władysław . . .	293	Zieliński Gustaw	421
Szarzyński Mikołaj Sęp	39	Zimorowicz Szymon	49
Szymanowski Waław	439	Zmorski Roman	368
Szymonowicz Szymon . . .	43	Żmichowska Narcyza . . .	376

SPIS PORZADKOWY RZECZY.

	strona
BOGARODZICA	XIII
KOCHANOWSKI JAN.	
Dobrodziejstwa Boga	1
Pochwała wina	2
Do zdrowia	4
Psalm Dawidowy	5
Treny	6
REJ MIKOŁAJ.	
O cnocie	33
KLONOWICZ SEBASTYAN.	
Z Flisa	36
SZARZYŃSKI-SĘP MIKOŁAJ.	
O nietrwalej miłości	39
O wojnie z pokusami	40
GROCHOWSKI STANISŁAW.	
Hymn	41
SZYMONOWICZ SZYMON.	
Dafnis	43
MIASKOWSKI KASPER.	
Rozmowa paniąki z śmiercią	47
ZIMOROWICZ SZYMON.	
Z Roksolanek	49

	strona
MORSZTYN ANDRZEJ.	
Do panny	53
Nowe słońce	54
Kwiatek darowany	54
POTOCKI WACŁAW.	
Z poematu „Wojna Chocimska“	55
KOCHOWSKI WESPAZYAN.	
Ucieczka do Najświętszej Panny	61
DRUŻBACKA ELŻBIETA.	
Pochwała lasów	63
NARUSZEWICZ ADAM.	
Pacierz starca	67
KRASICKI IGNACY.	
Żona modna	71
TREMBECKI STANISŁAW.	
Kupido pokorny	79
Anakreontyk	80
Kupidynek	81
WĘGIERSKI KAJETAN.	
Mój świat	83
Melancholja	85
Filozof	86
KNIAŻNIN DYONIZY.	
Do wąsów	88
Do mirtu	89
KARPIŃSKI FRANCISZEK.	
Powrót na wieś	92
Duma Ludgardy	96
WORONICZ JAN PAWEŁ.	
Modlitwa za swego pasterza	99
NIEMCEWICZ JULJAN URSYN.	
Pogrzeb Księcia Józefa Poniatowskiego	101

	strona
GODEBSKI CYPRIAN.	
Wyjątek z wiersza „do Legionów“	105
Wyjątek z wiersza „do płci pięknej“	108
WEŹYK FRANCISZEK.	
Smutno mi Panie	112
BRODZIŃSKI KAZIMIERZ.	
Przechadzka wieczorna	115
Do konika polnego	118
Kobieta	119
MORAWSKI FRANCISZEK.	
Giermek	120
MALCZEWSKI ANTONI.	
Z poematu: „Marya“	128
MICKIEWICZ ADAM.	
Farys (Kasyda)	136
Trzy sonety krymskie	143
Oda do młodości	146
Z Pana Tadeusza	149
Trzech Budrysów	153
Rozmowa wieczorna	156
SŁOWACKI JULIUSZ.	
Hymn o zachodzie słońca na morzu	159
W pamiętniku	161
Rozłączenie	162
W Szwajcaryi	164
KRASIŃSKI ZYGMUNT.	
Do kobiety	183
Ułamek z glosy św: Teressy	184
Z Przedświtu	190
Zawsze i wszędzie	192
Z autografu	193
ODYNIEC ANTONI EDWARD.	
Legia tebańska	197

	strona
Branki Litwinów	200
Miłość i praca	203
ZALESKI J. B.	
Rojenia wiosniane	206
Panna młoda	208
Śpiewak tęskniący	210
Lach serdeczny na marach	213
GOSZCZYŃSKI SEWERYN.	
Róże	215
Piotr Pszonka Jasińczyk	216
Gwiazdy bliźnięta	223
WITWICKI STEFAN.	
Samson	225
Prostak wiejski	228
GASZYŃSKI KONSTANTY.	
Sonet	231
Aniołowie strąceni	232
Sielanka młodości	233
GARCZYŃSKI STEFAN.	
Rozmowa	245
GOSŁAWSKI MAURZYCY.	
Dumka podolska	247
Wędrowka	249
FREDRO ALEKSANDER.	
Weredyk	251
Stary śpiewak	252
SIEMIEŃSKI LUCYAN.	
Komu w drogę temu czas	255
Dziecięce lata	257
Książ Dymitr Wiśniowiecki	258
BIEŁOWSKI AUGUST.	
Do moich dum	262
WASILEWSKI EDMUND.	
Krakowiak	265

	strona
Bal	266
Drzym sobie duszo	269
JABŁOŃSKI HENRYK.	
Z poematu „Gwido“	271
Dumka	279
BALIŃSKI KAROL.	
Farys — Wieszcz	281
MAGNUSZEWSKI DOMINIK.	
Dwie piastunki	288
SYROKOMLA WŁADYSŁAW.	
Śmierć słowika	293
Księgarz uliczny	296
Hetman polny	302
Przygrywka	304
WOLSKI WŁODZIMIERZ.	
Fryderyk Szopen (fantazya)	306
POL WINCENTY.	
Zgon Mohorta	318
Z Pieśni o Ziemi naszej	325
UJEJSKI KORNEL.	
Hagar na puszczy	328
Panna młoda	330
Do mojej siostry	333
Niebezpieczna	335
LENARTOWICZ TEOFIL.	
Do poezyi	342
Złoty kubek	344
Rozmowa ze słowikiem	346
Cyganka	348
BRZozowski KAROL.	
Na przesilenie wiosenne	350
Lirnik	352

	strona
ROMANOWSKI MIECZYSLAW.	
Śmierć Żyszki	357
Raj utracony	360
BERWIŃSKI RYSZARD.	
Przestroga	362
Jawnogrzecznicą	363
PAJGERT ADAM.	
W zbrojowni	365
Przemiana	366
ZMORSKI ROMAN.	
Pieśń wiosenna	368
Zabłąkana	369
Chrystus i Piotr	370
Przyповідź wschodnia	372
DEOTYMA.	
Pieśń dziewicy	373
Modlitwa	374
ŻMICHOWSKA NARCYZA.	
Czemu mi smutno	376
Circulus vitiosus	380
ILNICKA MARYA.	
Strącona	382
Wiosna	384
KONOPNICKA MARYA.	
Przed sądem	386
KRASZEWSKI JÓZEF IGNACY.	
Z hymnów boleści	390
Z fantazyi „Szatan i kobieta“	392
PLUG ADAM.	
Biedny Janek	394
CZAJKOWSKI ANTONI.	
Pająk	407
Śmierć Czarnieckiego	408

ASNYK ADAM.	
Król Juba	411
Prośba	416
Szkoda	418
Karmelkowy wiersz	419
ZIELIŃSKI GUSTAW.	
Powrót wiosny	421
Z poematu „Stepy“	422
KOŹMIAN STANISŁAW.	
Mowa polska	427
ANCZYC WL. L.	
Brody Krzyżackie	433
SZYMANOWSKI WACŁAW.	
Niedołęga	439
Pieśń egipska	442
ZAGÓRSKI WŁODZIMIERZ.	
Historia patryarchy Noego	444
FALEŃSKI FELICYAN.	
Pogrzeb Ibisa	447
BIERNACKI MIKOŁAJ.	
Zasady	450
Opinja	451
SOWIŃSKI LEONARD.	
Z życia	453
Ergo sum	455
Dysonanse	455
KRAUSHAR ALEKSANDER.	
Beatus ille	457
GRUDZIŃSKI STANISŁAW.	
Wierzę	460
ORDON WŁADYSŁAW.	
Złośnica	464
Po łzach	465

	strona
GOMULICKI WIKTOR.	
El mole rachmim	468
TRETIAK JÓZEF.	
Cicha woda	474
Łódź u brzegu	475
KOMOROWSKI BRONISŁAW.	
Z fantazyi ludowych	477
URBAŃSKI AURELI.	
Sierotka	481
CZERWIEŃSKI BOLESŁAW.	
Kto silniejszy	484
Matka	486



BOGA RODZICIA.

BOGA RODZICIA.

I.

1. Boga rodzica dziewica,
Bogiem sławiona Marya,
U twego syna gospodna
Matko zwolena Marya,
Ziszczy nam spust winam.

Kyrie eleison.

2.
Ułysz głosy, napelni myśli człowiecze.

3. Słysz modlitwę, jaż nosimy,
To dać raczy, jegoż prosimy,
A na świecie zbożny pobyt,
Po żywocie rajski przebyt.

Kyrie eleison.

II.

4. Nas dla wstał zmartwych syn boży,
Wierzyż w to człowiecze zbożny,
Iż przez trud Bóg swój lud
Odjął diablej strożej.
5. Przydał nam zdrowia wiecznego,
Starostę sfował pkielnego,
Śmierć podjął, wspomionął
Człowieka pirwego.
6. Jen-że trudy cirpiał bezmiernie,
Jeszcze był nie przespał zawiernie,
Alliż sam Bóg zmartwychwstał.
7. Adamie, ty boży kmiociu,
Ty siedzisz u Boga wiecu,
Domieści swe dzieci,
Gdzie-ż królują anieli.
8. Tegoż nas domieści
Jezu Kryste miły,
Wyhom s tobą byli,
Gdzie się nam radują
Wsze niebieskie siły.

9. Była radość, była miłość,
Było widzenie twórcy
Anielskie bez końca,
Tu-ć się nam zjawilo
Diabie potępienie.

III.

10. Ni srebrem, ni złotem
Nas diablu odkupił,
Swą mocą zastąpił.
Ciebie dla człowiecze,
Dal Bóg przekłóć sobie
Ręce, nodze obie,
Kry święta szła z Boga
Na zbawienie tobie.
11. Wierzy-ż w to człowiecze
Jż Jezu Kryst prawy
Cirpiał za nas rany,
Swą świętą krew przelał
Za nas krześciany.
12. O duszy o grzesznie
Sam Bóg pieczę ima,
Diablu ją od-ima,

BOGA RODZICA.

Gdzie to sam Fróluję,
K sobie ją przyima.

13. Marya dziewice
Prośmy synka twego
Króla niebieskiego,
Aż nas uchowa
Ode wszęgo złęgo.

14. Amen, takó Bóg daj,
Wyhom sził wszycy w raj.

Umieszony powyżej tekst pieśni, opiera się na rekonstrukcyi dokonanej przez Profesora Dr. Romana Pilata w dziele *Pieśń Bogarodzica*, Kraków 1879. Dla wyjaśnienia dodajemy, że oznaczony punktami początek drugiej zwrotki jest zepusty, i usiłowania rekonstrukcyi nie odniosły dotąd pożądanego skutku. W kilku miejscach późniejszych zwrotek, zachodzą współrzędne warjanty, które opuszczamy. Muzyka pisana kluczem Gregorjańskim, przechowała się w rękopisach z XV. wieku, ale tylko do początkowych zwrotek; dopiero w późniejszych jest zupełną. Z klucza Gregorjańskiego przełożona na na dzisiejszą melodję, znajduje się w *Śpiewach historycznych Niemcewicza*, także w *Chorale Nachbara*, (Berlin 1856) i w *Roczniku Tow. Nauk. Krakowskiego* z 1869 r.



Rycerstwo śpiewające pieśń „Bogarodzica“.

Rysunek E. M. Andriollego.

DOBRODZIEJSTWA BOGA.

Czego chcesz od nas Panie za Twe hojne dary?
Czego za dobrodziejstwa, którym niemasz miary?
Kościół Cię nieogarnie, wszędy pełno Ciebie,
I w otchłaniach, i w morzu, na ziemi, na niebie.

Złota też wiem, niepragniesz, bo to wszystko Twoje,
Cokolwiek na tym świecie człowiek mieni swoje.
Wdzięcznym Cię tedy sercem Panie wyznawamy,
Bo dla Cię — przystojniejszej ofiary nie mamy.

Tyś Pan wszystkiego świata: Tyś niebo zbudował,
I złotemi gwiazdami ślicznieś uhaftował.
Tyś fundament założył nieobeszłej ziemi,
I przykryłeś jej nagość zioly rozlicznemi.

Za Twojem rozkazaniem w brzegach morze stoi,
A zamierzonych granic przeskoczyć się boi.
Rzeki wód nieprzebranych wielką hojność mają,
Biały dzień a noc ciemna, swoje czasy znają.

JAN KOCHANOWSKI.

Tobie kwoli rozliczne kwiatki wiosna rodzi;
Tobie kwoli w kłosianym wieńcu lato chodzi;
Wino jesień — i jabłka rozwaite dawa;
Potem, do gotowego gnuśna zima wstawa.

Z Twej łaski, nocna rosa na mdle zioła padnie,
A zagorzałe zboże deszcz ożywia snadnie.
Z Twoich rąk wszelkie zwierzę patrza swej żywności,
A Ty każdego żywisz z Twej szczodrobliwości.

Bądź na wieki pochwalon nieśmiertelny Panie!
Twoja łaska, Twa dobroć nigdy nie ustanie.
Chowaj nas, póki raczysz, na tej niskiej ziemi:
Jedno niech zawsze będziem pod skrzydłami Twemi.

POCHWAŁA WINA.

Dzbanie mój pisany,
Dzbanie polewany:
Bądź płacz, bądź żarty, bądź gorące wojny,
Bądź miłość niesiesz — albo sen spokojny.

JAN KOCHANOWSKI.

TREN XIII.

Moja wdzięczna Orszulo! — bodaj ty mnie była
Abo nie umierała, lub się nie rodziła!
Małe pociechy płacę wielkim żalem swoim
Za tem nieodpowiednem pożegnaniem twojem.
Omyliłaś mię, jako nocny sen znikomy,
Który wielkością złota cieszy zmysł łakomy,
Potem nagle uciecze, a temu na jawi
Z onych skarbów jeno chęć a żądzę zostawi.
Takeś ty mnie Orszulo droga, uczyniła;
Wielkieś nadzieje w mojem sercu roznieciła,
Potemes mię smutnego nagle odbieżyła,
I wszystkie moje z sobą pociechy zabrała,
Wzięłaś mi, zgoła mówiąc, duszy połowicę —
Ostatek przy mnie został na wieczną tęsknicę.
Tu mi kamień, murarze, ciosany położcie,
A na nim tę nieszczęsną pamiątkę wydrożcie:

*Orszula Kochanowska tu leży, kochanie
Ojcowe, albo raczej płacz i narzekanie.
Opakeś to niebaczna śmierci udziałała:
Nie jać onej, ale mnie ona płakać miała.*

TREN XIV.

Gdzie te wrota nieszczęsne, któremi przed laty
Puszczał się w ziemię Orfeus, szukając swej straty?

JAN KOCHANOWSKI.

Żebych ja też tą ścieżką swęj najmilszej córy
Poszedł szukać i on bród mógł przebyć, przez który
Srogi jakiś przewoźnik wozi blade cienie,
I w lasy niewesołe, cyprysowe, żenie!
A ty mię nie zostawiaj, wdzięczna lutni moja!
Ale ze mną pospołu pójdź aż do pokoja
Surowego Plutona; owa go to łzami,
To temi żałośnemi zmiękczywa pieśniami,
Że mi moję najmilszą dziewczkę jeszcze wróci,
A ten nieuśmierzony we mnie żal ukróci.
Zginać ci mu nie może, tuć się wszystkim zostać,
Niech się tylko niedoszłej jagodzie da dostać.
Gdzieby też tak kamienne ten Bóg serce nosił,
Żeby tam smutny człowiek już nic nie uprosił?
Cóż temu rzec? więc tamże już za jedną drogą
Zostać, a z duszą zaraz zawlec troskę srogą.

TREN XV.

Erato złotowłosa, i ty wdzięczna lutni!
Zkąd pociechę w swych troskach biorą ludzie smutni,
Uspokojcie na chwilę strapioną myśl moję,
Póki jeszcze kamienny w polu słup nie stoję —
Lejąc ledwie nie krwawy płacz przez marmor żywy,
Żalu ciężkiego pamięć i znak nieszczęśliwy.
Mylę się? czyli patrząc na ludzkie przygody
Skromniej człowiek uważa, niż swe własne szkody?

JAN KOCHANOWSKI.

Nieszczęsna matko! (jeśli przeczytać możemy
Nieszczęściu, co prze głupi rozum swój cierpiemy),
Gdzie teraz twych siedm synów i dziewczek tak wiele?
Gdzie pociecha, gdzie radość i twoje wesele?
Widzę czternaście mogił, a ty nieszczęśliwa,
I podobno tak długo nad wolę swą żywa,
Oblapiasz zimne groby, w których (ach! niebogo!)
Składłaś dziateczki swoje zagubione srogo.
Takie więc kwiaty leżą kosą podsieczone,
Abo deszczem gwałtownym na ziemię złożone.
W którą nadzieję żywiesz? czego czekasz więcej?
Czemu śmiercią żalości nie zbywasz copręcej?
A wasze prędkie strzały, abo łuk co czyni
Niepochybny, o Febe i mściwa bogini!
Abo z gniewu (bo winna), abo więc z litości
Dokonajcie prze Boga jej biednej starości.
Nowa pomsta, nowa kaźń hardą myśl potkała:
Dziatek swoich Niobe płacząc — skamieniała;
I stoi na Sypilu marmor nieprzetrwany,
Jednak i pod kamieniem żywią skryte rany;
Jej bowiem lży serdeczne skałę przenikają,
I przezroczystym z góry strumieniem spadają,
Zkąd zwierz i ptactwo pije, a ta w wiecznym pęcie
Tkwi w rogu skały wiatrom szalonym na wstręcie.
Ten grób nie jest na martwym, ten martwy nie w grobie,
Ale samże jest martwym, samże grobem sobie.

JAN KOCHANOWSKI.

TREN XVI.

Nieszczęściu kwoli a swojej żalości,
Która mię prawie przejmuję do kości,
Lutnię i wdzięczny rym porzucić muszę,
Ledwie nie duszę.

Żywem? czy mię sen obłudny frasuje,
Który kościanem oknem wylatuje,
A ludzkie myśli tem i owem bawi,
Co błąd na jawi?

O błędzie ludzki, o szalone dumy!
Jako to łącno pisać się z rozумы,
Kiedy powoli świat mamy, a głowa
Człowieku zdrowa!

W dostatku będąc, ubóstwo chwalemy,
W rozkoszy żalność lekce szacujemy;
A póki wehny skąpej prządce staje;
Śmierć nam za jaje.

Lecz kiedy nędza abo żal przypadnie,
Ali żyć nie tak, jako mówić snadnie;
A śmierć dopiero wtenczas nam należy,
Gdy już knam bieży.

JAN KOCHANOWSKI.

Przecz z płaczem idziesz Arpinie wymowny
Z milej ojczyzny? wszak nie Rzym budowny,
Ale świat wszystek miastem jest mądrymu
Widzeniu twemu.

Czemu tak bardzo córki swej żalujesz?
Wszak się ty tylko sromoty warujesz,
Insze wszelakie u ciebie przygody,
Ledwie nie gody.

Śmierć, mówisz, straszna tylko niezbożnemu.
Przeczeź się tobie umrzeć cnotliwemu
Nie chciało, kiedyś prze dotkliwą mowę
Miał podać głowę?

Wywiodleś wszystkim, nie wywiodleś sobie;
Łacniej rzec, widzę, niż czynić; i tobie
Pióro anielskie! duszę toż w przygodzie,
Co i mnie, bodzie.

Człowiek nie kamień, a jako się stawi
Fortuna, takich myśli nas nabawi.
Przekłęte szczęście; czy snąć gorzej duszy,
Kto rany ruszy?

Czasie, pożądnej ojciec niepamięci!
W co ani rozum ani trafią święci,

JAN KOCHANOWSKI.

Zgoj smutne serce, a ten żal surowy
Wybij mi z głowy.

TREN XVII.

Pańska ręka mie dotknęła,
Wszystkę mi radość odjęła;
Ledwie w sobie czuję duszę,
I tę podobno dać muszę.

Lubo wstając gore jaśnie,
Lubo padnąc słońce gaśnie,
Mnie jednako serce boli,
A nigdy się nie utoli.

Oczu nigdy nie ususzę,
I tak wiecznie płakać muszę,
Muszę płakać; o mój Boże!
Kto się przed Tobą skryć może?

Próżno morzem nie pływamy;
Próżno w bitwach nie bywamy;
Ugodzi nieszczęście wszędzie,
Choć podobieństwa nie będzie.

Wiodłem swój żywot tak skromnie,
Że ledwie kto wiedział o mnie;

JAN KOCHANOWSKI.

A zazdrość i złe przygody
Nie miały mi w co dać szkody.

Lecz pan, który gdzie tknąć, widzi,
A z przestrogi ludzkiej szydzi,
Zadał mi raz tem znaczniejszy,
Czemem już był bezpieczniejszy;

A rozum, który w swobodzie
Umiął mówić o przygodzie,
Dziś ledwie sam wie o sobie;
Tak mię podparł w mej chorobie.

Czasemby się chciał poprawić,
A mnie ciężkiej troski zbawić;
Ale gdy siędzie na wadze,
Żalu ruszyć nie ma władze.

Próżne to ludzkie wywody,
Żeby szkodą nie zwać szkody;
A kto się w nieszczęściu śmieje,
Jabych tak rzekł, że szaleje.

Kto zaś na płacz lekkość wkłada,
Słyszac dobrze, co powiada;

JAN KOCHANOWSKI.

Lecz się tem żal nie hamuje,
Owszem większy przystępuje

Bo mając zranioną duszę,
Rad i nierad płakać muszę.
Co snąć nie cześć, to ku szkodzie,
I zelżywość serce bodzie.

Lekarstwo to przebóg żywy!
Ciężkie na umysł troskliwy;
Kto przyjaciel zdrowia mego
Wynajdzi co wolniejszego.

A ja zatem łzy niech leje,
Bom stracił wszystkie nadzieje,
By mię rozum miał ratować,
Bóg sam mocen to hamować.

TREN XVIII.

My nieposłuszne Panie! dzieci twoje
W szczęśliwe czasy swoje,
Rzadko cię wspominamy,
Tylko rozkoszy zwykłych używamy;

Nie baczym, że to z twej łaski nam plynie,
A także prędko minie.

JAN KOCHANOWSKI.

Kiedy po nas wdzięczności
Nie uznasz Panie! za twe życzliwości.

Miej nas na wodzy, niech nas nie rozpycha
Doczesna roskosz licha;
Niechaj na cię pomniemy
Przynajmniej w kaźni, gdy w łasce nie chcemy.

Ale ojcowskim nas karz obyczajem,
Boć przed twym gniewem stajem
Tak, jako śnieg niszczeje,
Kiedy mu słońce niebieskie dogrzeje.

Zgubisz nas prędko wiekuisty Panie!
Jeśli nad nami stanie
Twa ciężka, boska ręka;
Sama nielaska, jest nam sroga męka.

Ale od wieku twoja litość słyńie,
A pierwej świat zaginie,
Niż ty wzgardzisz pokornym,
Chocia był długo przeciw tobie spornym.

Wielkie przed tobą są występy moje,
Lecz miłosierdzie twoje
Przewyższa wszystkie złości —
Użyj dziś Panie, nademną litości!

TREN XIX.

Abo sen.

Żalność moja długo w noc oczu mi nie dała
Zamknąć, i zemdlonego uspokoić ciała,
Ledwie mię na godzinę przed świtaniem, swemi
Sen leniwy obłąpił skrzydły czarnawemi!
Natenczas mi się matka właśnie ukazała,
A na rękę Orszulę moją wdzięczną miała,
Jako więc po paciorek do mnie przychodziła,
Skoro z swego posłania rano się ruszyła;
Gieźleczek białe na niej, włoski pokręcone,
Twarz rumiana, a oczy ku śmiechu skłoniłone.
Patrzę, co dalej będzie? — aż matka tak rzecze:
Śpisz Janie? czy cię twoja żalność zwykła piecze?
Zatemem ciężko westchnął i tak mi się zdało,
Żem się ocknął. A ona pomilczawszy mało,
Znowu mówić poczęła: Twój nieutulony
Placz synu mój! przywiódł mię w te tu wasze strony
Z krain bardzo dalekich, a lzy gorzkie twoje
Przeszły aż i umarłych tajemne pokoje.
Przyniosłam ci na rękę wdzięczną dziewczkę twoją,
Abyś ją mógł oglądać jeszcze, a tę swoją
Serdeczną żalność ujął, która tak ujmuje
Sił twoich i tak zdrowie nieznacznie twe psuje,
Jako ogień suchy knot obraca w perzyny,
Darmo nie opuszczając najmniejszej godziny.

JAN KOCHANOWSKI.

Czyli nas już umarłe macie za stracone
I którym już na wieki słońce jest zgaszone?
A my, owszem, żywiemy żywot tem ważniejszy,
Czem nad to grube ciało duch jest szlachetniejszy;
Ziemia w ziemię się wraca, a duch z nieba dany
Miałby zginąć ani na miejsce swe wezwany?
O to się ty nie frasuj, a wierz niewątpliwie,
Że twoja najmilejsza Orszuleczka żywie;
A tu więc takimci się kształtem pokazała,
Jakoby się śmiertelnym oczom poznać dała;
Ale między anioły i duchy wiecznemi
Jako wdzięczna jutrzienka świeci, a za swemi
Rodzicami się modli, jako to umiała
Z wami będąc, choć jeszcze słów nie domawiała.
Jeźliżec też ztąd roście żalność, że jej lata
Pierwej są przyłomione, niżli tego świata
Rozkoszy zażyć mogła; o biedne i płone
Rozkosze wasze! które tak są usadzone,
Że w nich więcej frasunków i żalności więcej,
Czego ty doznać możesz sam z siebie najpręcej.
Ucieszyłeś się kiedy z dziewczki twej tak wiele,
Żeby pociecha twoja i ono wesele
Mogło porównać z twoim dzisiejszym kłopotem?
Nie rzeczesz tego, widę. Także trzymaj o tem
Jakoś doznał; ani się frasuj, że tak rana,
Twojej, ze wszech najmilszej dziewce, śmierć zesłana.

JAN KOCHANOWSKI.

Nie od rozkoszyć poszła; poszłać od żalości,
Od pracy, od frasunków, od lez, od żalości,
Czego świat ma tak wiele, że — by też co było —
W tym doczesnym żywocie człowieczeństwu miło —
Musi smak swój utracić prze wielkość przysady,
A przynajmniej prze bojaźń nieuchronnej zdrady.
Czego płaczem prze Boga? czego nie zażyła?
Że sobie swym posagiem pana nie kupiła,
Że przegrózek i cudnych fuków nie słuchoła,
Że boleści w rodzeniu dziełek nie uznała,
Ani umie powiedzieć, czego jej troskliwa
Matka doszła! Co większem utrapieniem bywa:
Czy je rodzić, czy je grześć? Takieć pospolicie
Przysmaki wasze, czem wy sobie świat słodziecie;
W niebie szczere rozkosze, a do tego wieczne,
Od wszelakiej przekazy wolne i bezpieczne.
Tu troski nie panują, tu pracy nie znają,
Tu nieszczęście, tu miejsca przygody nie mają,
Tu choroba nie najdzie, tu nie masz starości,
Tu śmierć łzami karmiona nie ma już wolności;
Żyjem wiek nieprzeżyty, wiecznej używamy
Dobrej myśli, przyczyny wszystkich rzeczy znamy,
Słońce nam zawždy świeci, dzień nigdy nie schodzi,
Ani za sobą nocy niewidomej wodzi;
Twórcę wszech rzeczy widzim w jego majestacie,
Czego wy w ciele będąc, próżno upatrzacie.

JAN KOCHANOWSKI.

Tu w czas obróć swe myśli, a chowaj się na te
Nieodmienne synu mój, rozkosze bogate.
Doznałeś, co świat umie i jego kochanie,
Lepiej na czem ważniejszym zasadź swe staranie.
Dziewka twoja dobry los (możesz wierzyć) wzięła,
A właśnie w swoich rzeczach sobie tak poczęła,
Jako gdy kto na morze nowo się puściwszy,
A tam niebezpieczeństwo wielkie obaczywszy,
Woli nazad do brzegu; drudzy, co podali
Żagle wiatrom, na ślepe skały powpadali:
Ten morzem zwyciężony, ten od głodu zginął,
Rzadki, coby do brzegu na desce przyplynał.
Śmierci zniknąć nie mogła, by też dobrze była
Onę dawną Sybillę wiekiem swym przeżyła,
To, co miało być potem, uprzedzić wolala;
Temże mniej tego świata niewczasów doznała.
Drugie po swych najmiłszych rodzicach zostają
I ciężkiego sieroctwa nędzne doznawają;
Wypchną drugą za męża lada jako z domu,
A namiętność zostanie, sam to Bóg wie komu;
Biorą drugie i gwałtem, a biorą i swoi,
Ale i w hordach część się wielka ich zostoi,
Gdzie w niewoli pogańskiej i w służbie sromotnej,
Łzy swe piją, czekając śmierci wszystkokrotnej.
Tego twej wdzięcznej dziewczce bać się już nie trzeba,
Która w swych młodych leciech wzięta jest do nieba,

JAN KOCHANOWSKI.

Żadnych frasunków tego świata nie doznawszy,
Ani grzechem dusze swej drogiej pomazawszy.
Jej tedy rzeczy synu! (nie masz wątpliwości)
Dobrze poszły, ani ztąd używaj załości;
Swoje szkody tak szacuj i omyłki swoje,
Abyś nie przepamiętał, że baczenie twoje
I stateczność jest droższa; w tę bądź przedsię panem,
Jako się kolwiek czujesz w pociechy obranym.
Człowiek urodziwszy się zasiadł w prawie takim,
Że ma być jako celem przygodom wszelakim;
Z tego trudno się zdzierać; pocznijmy co chcemy,
Jeśli po dobrej woli nie pójdziem, musimy;
A co wszystkich jednako ciśnie, nie wiem czemu
Tobie ma być synu mój! nieciężej jednemu?
Śmiertelna, jako i ty, twoja dziewczka była,
Póki jej zamierzony kres był, póty żyła,
Krótko wprawdzie, ale w tem człowiek nic nie włada,
A wyrzec też, co lepiej? nie łącno przypada.
Skryte są pańskie sądy; co się jemu zdało,
Nielepiej żeby się też i nam podobało?
Łzy w tej mierze niepłatne; gdy raz dusza ciała
Odbieży, próżno czekać, by się wrócić miała.
Ale człowiek nie zda się praw szczęściu w tej mierze,
Że szkody pospolicie tylko przedsiębierze,
A tego baczyć nie chce ani mieć w pamięci,
Co mu też czasem padnie wedle jego chęci.



JAN KOCHANOWSKI.

Tac jest władza fortuny mój najmilszy synie!
Że nie tak uskarzać się, kiedy nam co zginie,
Jako dziękować trzeba, że wzdam co zostało —
Bo to wszystko nieszczęście w ręku swoich miało.
A tak i ty, folgując prawu powszechnemu,
Zagroź drogę do serca upadkowi swemu,
A w to patrzaj, co uszło ręku złej przygody;
Zyskiem człowiek zwać musi, w czem nie popadł szkody.
Nakoniec: w co się on koszt i ona utrata,
W co się praca i twoje obróciły lata,
W któreś ty niemal wszystkie strawił nad księgami,
Mało się bawiąc świata tego zabawami?
Terazby owoc zbierać z swojego szczepienia
I ratować w zachwianiu mdłego przyrodzenia.
Cieszyłeś przedtem insze w takiejże przygodzie,
I będziesz w cudzej czulszy, niżli w swojej szkodzie?
Teraz mistrzu! sam się lecz, czas doktor każdemu;
Ale kto pospolitym torem gardzi, temu
Tak próżnego lekarstwa czekać nie przystoi;
Rozumem ma uprzedzić, co insze czas goi.
A czas co ma za fortel? dawniejsze świeżemi
Przypadkami wybija — czasem weselszemi.
Czasem też z tejsze miary, co człowiek z baczeniem
Pierwej, niż przyjdzie, widzi i takim myśleniem
Przeszłych rzeczy nie wściąga, przyszłych upatruje
I serce na oboje fortunę gotuje.

JAN KOCHANOWSKI.

Tego się synu! trzymaj, a ludzkie przygody
Ludzkie noś: jeden jest pan smutku i nagrody.
Tu zniknęła, jam się też ocknął — aczciem prawie
Nic pewien, jeślim przez sen słuchał, czy na jawie.

O CNOTCIE.

Wszystko pospołu umiera z człowiekiem,
Lecz święta cnota, ta trwa wiecznym wiekiem.

Cnota jest klejnot nieoszacowany,
Bo ta ozdabia ubogie i pany.

Cnota się błyszczy nad wszystkie szmaragi,
Na żadnym targu jej nie najdzie wagi.

Wszystko się musi zmienić przy człowieku,
Lecz cnota święta, ta z nim trwa do wieku.

Z ciałem przypadki odmienić się muszą,
Lecz cnota święta i ta w niebie z duszą.

Niech się jako chce mieszać wszystko będzie,
Cnota każdego ma ozdobić wszędzie.

Z zacnych postępków a z poczciwej sprawy,
Zawždy cnotliwi dostawali sławy.

Mocna to zbroja z poczciwością cnota:
Ta sławy strzeże a broni kłopotą.

MIKOŁAJ REJ.

Piękniej każdemu przy cnocie sławnym być,
Niż przy niecnocie smętnych czasów użyć.

Kiedy niecnota jaka ruszy ciebie,
Niemasz li kogo? zawstyдай się siebie.

Cnota na świecie jest wielka królowa,
A w dziwnej sławie swe dworzany chowa.

Gdy kogo widzisz wszetecznym na świecie,
Łajesz, a przecze cię to samo gniecie?

Wszeteczny zawždy co swą cnotę depce,
Mniema by o nim, gdy kto z drugim szepce.

Pocziwy wszędy, gdy swą sławę czuje,
By orzeł zawždy w górę przepatruje.

Wielki to klejnot mieć pocziwe oczy,
Kto przez niecnotę w ziemię ich nie tłoczy.

Nadobnie cnota swe kochanki stroi,
A żaden tych słów: „ty milcz“ — się nieboi.

Nikczemny to sklep kędy skarbu nie masz,
Takież bez cnoty dobrego mi ukaż.

Niech się jako chce zdobi kształty ciało,
Wszystko szpetny strój, kiedy cnoty mało.

MIKOŁAJ REJ.

Najpiękniejszy strój, nadewszystkie złota
Kogo ozdobi z poczciwością cnota.

Najpiękniejsza to na sławę delia,
Kto z cnotą dzierży a niecnotę mija.

Cnota z fortuną nigdy z sobą wiernie:
Ta w górę wzlata — a ta wszystko miernie.

Rozliczne burzki około człowieka,
Jako go cnota ma zdobić do wieka.

Koń twardym krygiem bywa załomiony,
A ciało cnotą, ten szczerbiec szalony.

W fortunnych czasach cnota się więc niszczy,
Ale w przeciwnych najjaśniej się błyszczy.

W szczęściu mało znać człeka cnotliwego,
Bo wszyscy chwalą i źle sprawy jego.

Kiedy nieszczęście przypadnie na kogo,
To już swe handle cnota ceni drogo.

Cnota z fortuną różno z sobą chodzą;
A nigdy w jednym gmachu się niezgodzą.

Z „FLISA“.

Dwa bracia z siostrą w drogę się wybrali,
Z Litwy Niemen, Bug z Wołynia zuchwały,
I Narew bystra, jako siostra starsza
Przyszła z Podlasza.

Wziąwszy przymierze bez gniewu i trwogi,
Zażyla sobie przyjacielskiej drogi
W małym orszaku, co więc nie nowina,
Zgodna rodzina.

Potem lepszego bytu chcieli użyć,
Zachciało im się u królowej służyć,
Co do niej płyną ze wszech stron poprzeki,
Sarmackie rzeki.

Przystali tedy do nowego dworu
Narew i z bracią, puściwszy się toru,
I tak służyli Wandzie Krakusowej,
Jako królowej.

SEBASTYAN KLONOWICZ.

Czując do siebie Narew śliczną gładkość,
Czując też w braci siłę i też wartkość,
Chciała być równa w rodzaju, w urodzie,
Wandalskiej wodzie.

Pani ślicznością i domem chwalebna,
Niechcąc być tańszą niż panna służebna,
Wyzwała Narew, chcąc ją wywieść z błędu,
Pozwem do sądu.

Na którym zasiadł strumień nieujęty,
Do tego wolnie z obu stron przyjęty,
Ów, co u Gniewa swemi wroty wpada,
Wisłę rozbada.

Sędzia roztropny puścił przed się strony,
I zagaił sąd tuż u samej brony;
Szła para panien każda z nich z osobna,
Gwiazdzie podobna.

I długo myślił, niż wszystkie przymioty
Wybaczył w obu, i wrodzone cnoty;
Chwilę tak okiem poglądał na obie
Czujnem o sobie.

Upatrzył sędzia, iż nad księżnę, owa
Osobliwszego coś miała królowa;

SEBASTYAN KLONOWICZ.

Jako nad leśne Nimfy ma Dyana,
W złoto ubrana.

A także zatem wnet uczynił wyrok,
Jako sumienie świadczyło i też wzrok;
Skazał, iż gładsza królowa, rzecz ista,
Niżli służbista.

Narew i z bracią wnet się rozgniewała,
A inszą drogą płynąć się wezbrała.
Więc miejsce sądu na brzegu, na lewym,
Nazwano Gniewem.

A gdzie się Narew na prawo chynęła,
A od królowej na różno płynęła
Pod sławny Olbiąg: — Nogatem to zową,
Flisowską mową.

MIKOŁAJ SEP SZARZYŃSKI.

1555 † 1581.

O NIETRWAŁEJ MIŁOŚCI.

Y niemiłować ciężko i miłować
Nędzna pociecha, gdy żądze zwiedzone
Myśli, cukrują nazbyt rzeczy one,
Które i mienić i muszą się psować.

Komu tak będzie dostatkami smakować,
Złoto, scepter, sława, rozkosz i stworzone
Piękne oblicze, by tem nasycone,
I mógł mieć serce i trwóg się warować?

Miłość jest własny bieg życia naszego,
Ale z żywiołów utworzone ciało,
To chwając, co zna początku równego —

Zawodzi duszę, której wszystko mało;
Gdy ciebie wiecznej i prawej piękności
Samej nie widzi, celu swej miłości.

MIKOŁAJ SĘP SZARZYŃSKI.

O WOJNIE Z POKUSAMI.

Pokój, szczęśliwość. Ale bojowanie,
Był nasz podniebny, on srogi ciemności
Hetman, i świata łakome marności,
O nasze pilno czynią zepsowanie.

Nie dosyć na tem, o nasz możny Panie,
Ten nasz dom ciało, dla zbiegłych lubości,
Niebacznie zajrząc duchowi zwierzchności,
Upaść na wieki żądać nieprzestanie.

Cóż będę czynił w tak straszliwym boju,
Wątły, niebaczny, rozdwojony w sobie?
Królu powszechny, prawdziwy pokoju

Zbawienia mego, jest nadzieja w Tobie.
Ty mnie przy sobie postaw, a przepiecznie
Będę wojował — i wygram statecznie.

STANISŁAW GROCHOWSKI.

1554 † 1612.

H Y M N .

W ieczny Twórco, co swą mocą,
Dzień sprawujesz z ciemną nocą,
Ty chcesz nam ulżyć tęskności,
Prowadzisz czas w odmienności.

Już się stróż nocny odzywa,
Co piejąc dzień obwoływa;
Kaganiec podróżnych gości,
Rozdzielca nocnych ciemności.

Przezeń Lucyfer wzbudzony,
Oświeca niebieskie domy,
Zbójce z zasadzek pierzchają,
Skoro ten głos poczuwają.

Ten morskie skromi rozruchy,
Ztąd żeglarz lepszej otuchy;
Na ten kościelna opoka,
Łzy swe wylewała z oka.

Wstańmyż zaren, tenżeć isty
Budzi nas stróż grzebienisty,

STANISŁAW GROCHOWSKI.

Ten i ospałych strofuje,
Ten w zaprzeniu grzech skazuje.

Głos w nocnych cieniach kurowy,
Źle nie tuszy, chorym zdrowy,
Miecz łotrowski w poszwy wraca,
Upadłym wiarę przywraca.

Jeżu wejrzyj — a krewkości
Ratuj pogrążnionych w złości;
Jeśli wejrzysz, powstaniemy,
I łzami złości zmyjemy.

Tyś sam słońce, oświeć zmysły,
Przebudź i śpiące umysły,
Zkąd Cię naprzód, Boże żywy,
Nasz niech wyzna głos chętny.

Bądź chwała Bogu Ojcowi,
Bądź chwała Jego Synowi,
I z Duchem świętym społecznie,
Teraz i bez końca wiecznie.

DAFNIS.

Kozy, ucieszne kozy! ma trzodo jedyna!
Tu kępy, tu zarosła poziomo leszczyna,
Tu gryźcie liść zielony, gryźcie chruścik młody;
Ja tymczasem przy strugu tej ciekącej wody,
Przylegnę i frasunku lubo snem swobodnym,
Lubo będę zabywał śpiewaniem łagodnym.
Ponieważ mię tak moja Filis wyprawiała,
Że mię na wieki wolnych myśli pozbawiła.
Cóż czynić, jakie szczęście o człeka się kusi,
Tak sercu bywa błogo i tem się paść musi.
Okrutna Filli! tobie ani zdrowie moje,
Ani starganych myśli ciężkie niepokoje,
Ani serce związane, ani zbytne chęci,
Ani słowo oddane zostawa w pamięci,
Chociaż tobie i sady moje zaradzały,
Chociaż koszary mleka i słodkie nabiały,
I co piękniejsze jagnię i kozłeta małe,
I za tobą szły barci i pasieki całe —
A nadewszystko ja sam, i pieśniami memi
Rozsławiłaś się między pasterzmi wszystkimi.

SZYMON SZYMONOWICZ.

Przedtem albo nic, albo niewiele cię znano:
I krępą i cyganką czarną przezywano —
Dziś i pleć i postawa u ciebie nadobna,
I uroda do jedlin wysokich podobna,
Lica do mleka z różą — wargi koralowi,
Zęby perłom, miękkiemu włosy jedwabowi,
Dziś cię co żywo, chwali — a co uczyniły
Pieśni moje, które cię wszędzie rozgłosiły.
Ty przecie mną pogardzasz, a ledwie nie tego
Pragniesz, abyś mię w rychle miała nieżywego.
Teraz, jako to słońce w południe dogrzewa,
I ptak i bydło w cichych chłodach odpoczywa,
I oracz wolno puścił woły wyprężone,
I pod krzami ucichły jaszczurki zielone —
Ja tylko nędznik w sercu mam ustawną trwozę,
Ani strapionych myśli uspokoić mogę.
Lwica za wilkiem pędzi, za kozą wilczyca,
Kozą za wrzosem, a mnie do ciebie tęsknica:
Każdego swoja lubość, swoja żądza pędzi,
Każdego swój mól gryzie, swoja nędza śwędzi.
Ułapiłem sarneczek parę: jeszcze mają
Srokacinki na grzbiecie, co dzień wysysają
Dwie dojne kozie, a te chowam samej tobie;
Dawno Tystelis chciała uprosić je sobie,
I podobno otrzyma — ponieważ przez twoje
Zbytnią hardość, u ciebie w wzgardzie dary moje.

SZYMON SZYMONOWICZ.

Tu lasy, tu po lesiech ptaszkiwie śpiewają,
Tu łąki, a po łąkach piękne stada grają,
Tubyśmy z sobą wieku miłego zażyli,
Tubyśmy aż do śmierci lata przetrawili —
Byś się tylko pasterską budą niebrzydziła,
By tylko umysł ku mię cały przykloniła.
Tu jamy mchem odziane, tu deprze, tu cienie,
Tu strugi uciekają szemrząc przez kamienie;
Tu wyniosłe topole, lipy rozłożyste,
Tu jawory, tu dęby stoją wiekuiście:
Ale bez ciebie żadne rzeki, żadne gaje,
Bez ciebie żadne miejsce k' sercu nie przystaje.
Nie owszem też mię możesz potępić w urodzie,
Widziałem się niedawno z brzegu w jasnej wodzie;
Nie każdy z sąsiad moich, byś też i ty zgoła
Sądzić miała, podle mnie, w tej mierze wydoła.
Owiec u mnie na polach ruskich tysiąc chodzi,
Tyle drugie z nich co rok jagniąt się przypłodzi;
Tu koło mnie kóz tysiąc, mleka mam bogato,
Mam świeże całą zimę, świeże całe lato;
Potrafię też na gęślach i o dwojej kwincie,
Jako więc na aktejskiej grawał aracyncie
Amfion, muzyk derski, gdy chodził za stady,
A lasy i zwierz dziki szedł za jego ślady.
Cóż po tem, gdy ja próżno śpiewam, próżno proszę,
Gdy od ciebie żal jawny i wzgardę odnoszę.

SZYMON SZYMONOWICZ.

Okrutna Filli! lecz i ja mało rozumny,
Co narzekaniem złamać chcę twój umysł dumny,
A ty się z tego kędyś pośmiewasz na stronie,
Abo kogo inszego piastujesz na łonie.
Śmieć się zdrowa, okrutnej lwice srogie plemię!
Potem, kiedy nasypią na me oczy ziemię,
Niechaj ten napis niesie wyniosła mogiła:
Fillis sroga, nędznego Dafnisa zabiła.

KASPER MIASKOWSKI.

1549 + 1622.

ROZMOWA PANIENKI Z ŚMIERCĄ.

PANNA.

Kiedy tę bystrą gotujesz kosę?

ŚMIERĆ.

Gdzie twój dopiero kwiat pije rosę.

PANNA.

Młodo jej dotniesz i nie na dobre.

ŚMIERĆ.

Taki nawdzięczniej wonieje w grobie.

PANNA.

Sierp aż kłosa biały za zagon kładzie.

ŚMIERĆ.

Dość i zielonych leży po gradzie.

PANNA.

Nie męztwo dobyć na dziecię broni!

ŚMIERĆ.

Przestępstwo żywić kogo Bóg goni!

PANNA.

Subtelne jeszcze do rany kości.

KASPER MIASKOWSKI.

ŚMIERĆ.

Ale z nich żartki duch w niewinności
Jako z cięciwy strzała, dobieży
Pałaców górnych i złotej wieży.

PANNA.

Jeszczem rodzicom nie usłużyła,
Bom ledwie pięć lat z niemi przeżyła:
Niech wždy im dalej wdzięczną się stawię,
Niżli je w gorzkim żalu zostawię.

ŚMIERĆ.

Najmniej im potem; ale tam w niebie,
Pożytek wieczny odniosą z ciebie;
Kiedy w zielonej przykłękniesz skroni,
Ściągając na nie obiedwie dłoni,
Uprzejmie żebrząc przed jasnym tronem
Że ten wiek zawrą szczęśliwym zgonem.

PANNA.

Jeśli tak, już się ciebie nie boję.

ŚMIERĆ.

A ja też żądzę poślę tam twoję!
— Pociągnie kosą, ciało wnet mdleje,
A duch wykrzyka pełen nadzieje!

SZYMON ZIMOROWICZ.

1604 † 1629.

Z ROKSOLANEK.

Cokolwiek w sobie ma ten świat odmienny,
Wszystko przemija, jako jednodzienny
 Kwiat, który pięknie się rozwinie
 Rano, a w południe zaginie.
Halino, dziewczę moje ukochane!
Skorom obaczył usta twe różane,
 Wyznałem między wszystkim światem,
 Najpiękniejszym być one kwiatem;
Albowiem twoja uroda nadobna
Do różanego krzaku jest podobna,
 Który wydaje na przemiany
 Kwiat czerwony, z białym zmieszany.
Dla czegoż tedy dziewczko okazała,
Zabraniasz zbierać kwiatów z swego ciała?
 Czemu od twych uciech, proszę,
 Tak często odmioty ponoszę?
Samaś i sobie i mnie zawiniła,
 Żeś różaniec na twarzy zasadziła,
 Żeś na wargach i uściech kwiaty,
 Rozpostarła jako szkarłaty.

SZYMON ZIMOROWICZ.

Te mnie do siebie wabią, te zuchwała
Wenus, na wieniec zerwać mi kazała.
Jeśli w tem usłucham bogini,
Nie ja, ona tobie przewini.
Ale daremnie darów bożych bronisz,
Bo niezadługo przecie je uronisz,
Gdy ze starością szkaradną,
Piękne róże z twarzy opadną,
A tylko ciernie dotkliwe zostanie,
Że młódź się nawet ani pojrzy na nie.
Tam wspomniawszy na wdzięczności
Pierwsze, zapłaczesz od żalości.
A przetoż póki nie dozna odmiany,
Młodości twojej ogródek różany,
Dopuść mi, proszę cię, w nim bywać,
I róże przyrodzone zrywać.

II.

Czemu narzekają smutne moje strony,
Czemu żalobliwie kwili flet pieszczony?
Dla ciebie nadobna Halino,
Dla ciebie kochana dziewczyno!
Miasto lubyh pieśni, miasto słodkiej lutnie,
Muszę ciężko wdychać, lamentując smutnie,

SZYMON ZIMOROWICZ.

Niemasz cię nadobna Halino,
Niemasz cię kochana dziewczyno!
Kędy teraz oczy są powabne twoje,
Z których miłość codzielną wypuszczala roje?
Niemasz cię nadobna Halino,
Niemasz cię kochana dziewczyno!
Jużże to zagasły ust twych ognie żywe,
Któremiś paliła serce natarczywe?
Niemasz cię nadobna Halino,
Niemasz cię kochana dziewczyno!
Daremnie się ten świat w ludziach coraz młodzi,
Bo takiej Haliny drugiej nieurodzi;
Niemasz cię nadobna Halino,
Niemasz cię kochana dziewczyno!
Próżno mój ogródek fijołki pachniące,
Próżno mój różaniec rozwija swe pącze,
Niemasz cię nadobna Halino,
Niemasz cię kochana dziewczyno!
Gdyby mię Kupido odział swemi pióry,
Żeby mógł polecieć przez lasy, przez góry,
Do ciebie nadobna Halino,
Do ciebie kochana dziewczyno!
Najmniej bym się nie bał skrzydłami pospieszyć
Abym mógł raz oczy tobą me pocieszyć!
Kędyś jest nadobna Halino,
Kędyś jest kochana dziewczyno?

SZYMON ZIMOROWICZ.

Lecz próżno cię moje szukają powieki,
Której nie obaczę pod słońcem na wieki.
Dobranoc nadobna Halino,
Dobranoc kochana dziewczyno!

DO PANNY.

Obrazie bóstwa! nieśmiertelny wzorze
Urody, gładszej nad różane zorze!
Jasna godności gwiazdo, z którą ani
Porówna słońce, ni jej miesiąc zgani!
Przezysta duszo w kryształe zamknięta,
Z którą przebywa każda cnota święta.
Najdoskonalsza natury roboto;
Pociecho oczu, serc ciężkich ochoto;
Śniegu na pozór — ogniu w samej rzeczy:
Ty panno, chciej mię mieć na swojej pieczy!
Którejem tak swe niezwiędłej pamięci
Wiersze poświęcał, jako oddał chęci.
I jakoś we mnie wznieciła pochodnię,
Tak daj, żebym mógł śpiewać cześć twą godnie,
Żeby świat wszystkim usłyszał oboje:
Okowy moje — i zwycięztwo twoje!

ANDRZEJ MORSZTYN.

NOWE SŁOŃCE.

Gdym blisko ciebie, o mój niepokoju!
Pałam — i ciało w zbytnim tleje znoju.
Jak się oddalisz — marznę — i z ochłody
Zmarzlej krwi w żyłach ścinają się lody.
Mogę cię tedy nazwać słońcem za to,
Że mi przynosisz i zimę i lato.

KWIATEK DAROWANY.

Kwiateczku suchy ale mnie kochany,
Dla ręki — którąś zerwany i dany,
A suchy od mych ogniów — i przed srogiem
Serca mojego zwiędniały pożogiem;
Ani cię mogę oczerstwić i łzami,
Bo i te płyną zmieszane z ogniami.
Pokaż mej pani twe zbledniałe liście,
I swem wędzieniem spraw to oczywiście,
Że widząc, jako gładkość — klejnot rzadki
Ginie, da owoc — a nie tylko kwiatki.

WACŁAW POTOCKI.

1622 + 1693.

Z POEMATU
WOJNA CHOCIMSKA

(z pieśni czwartej).

Zabielaly się góry i Dniestrowe brzegi,
Rzeklby kto, że na ziemię świeże spadły śniegi,
Skoro Turcy stanęli, skoro swoje w loty
Okiem nieprzemierzone rozbili namioty.
Nie toczyli obozu, nie ciągnęli sznurów,
Ale tak małą garstką wzgardziwszy giaurów,
Kędy kto szedł, tam stanął; na mocy się czują,
Jeśli nas niewystraszą, to pewnie zaplują.
Nie ma ich tu co bawić, nie chcą się rozgościć,
Wisła im głowę psuje, jako ja pomościć?
Gdzie sam cesarz pagórek opanował wyżni,
Widomie się odyma, źrejomo się pyszni,
Że monarchy Azji, Afryki, Europy,
Trzech części świata pana depcą po nim stopy.
Biedny Dniestr, acz przeciwko orłowi motylem,

WACŁAW POTOCKI.

Śmie gardzić Eufratem, śmie się równać z Nilem,
I ledwo w swem lichota trzyma się pobrzeżu,
Ale mu właśnie służy: nie kol miły Jezu!
Skoro Osman zobaczył nasze szanice z góry,
Jako lew krwi pragnący wyciąga pazury,
Jeży grzywę, po bokach maca się ogonem,
Jeżeli żubra w polu obaczy przestronem,
Chce się i on zaraz bić, zaraz chce na nasze
Wsieć obozy; hetmany zwoławszy i basze
Każe wojska szykować, choć już i niesprawą
Dla pola cieńszego iść na nas oblawa.
Kto mu wspomni nie w polskim wieczszą obozie,
Choć najwierniejszy sługa, będzie na powrozie.
Tedy o tak haniebnej usłyszawszy karze,
Biednego ognia składać nie śmieli kucharze.
Nie zdaloć się to starszym, ale z tak porywczym
Trudno co radzić panem, bo ich nigdy ni w czym
Nie słucha, za swą dumą idąc i uporem.
Zawsze drwi, zawsze mści się, swych drew, z nich nad
którem

I teraz, acz to wszyscy dobrze widzą, żeby
Ledwo tak uszło w łowy iść nie do potrzeby;
Ale kędy mus rządzi trudno być ostrożnym,
Niezrozumiawszy miejsca? w odzieniu podróżnym?
Nie miawszy słońca? wiatru? nie miawszy fortelu?
Nie znając serca, ani sił w nieprzyjacielu?

WACŁAW POTOCKI.

Bić się z nim, jakby o reszt ślepą kością rzucić?
Choćby tam wszyscy spali, mogą się ocucić;
Nie bać się, ale ani lekceważyć trzeba,
Kto ma serce, broń, rękę i zażywa chleba.
Nie mów, gdy idziesz na plac, że będę bił, ale
Będziem się bić; i Mars ma obojętne szale.
Teraz, gdy Osman każe, lub zysk lubo strata,
Walą się wojska, idzie i groźna armata,
Straszne się bisurmańskich z góry garną roje,
A białe jako gęsi migocą zawoje.

Janczarga we śródku ustrzmiwszy w puch pawi,
Ogniste swoje pułki na czele postawi,
Sam dosiadszy białego Arabina grzbieta,
Jako między gwiazdami iskrzy się kometa,
W barwistym złotogłowi pod źórawią wiechę,
Buńczuk na nim z miesiącem, ottomańską cechą.
Dwanaście tylko było tysięcy janczarów,
Prócz piechot Gaborego i dwu gospodarów,
Na dwadzieścia-ć pieniądze pełna z skarbu dano,
Ale to, co miało być na ośm, ukraszano.
Wszędy pełna nierządu, gdzie niemasz dozoru!

.....
W prawo i w lewo janczar, na widoku stały
Nieznane oczom naszym dotąd specyały:
Straszne słonie, co trąby okrom mają kielców,

WACŁAW POTOCKI.

Każdy swą wieżę dźwiga, każda wieża strzelców
Po trzydziestu zawiera; tak gdzie tyko chodzą
Rozdrażnione bestyje, nieprzyjaciół szkodzą.

Konne wojska po skrzydłach, wyniósłszy swe dzidy,
Patrzą, rychło się do nich sunie giaur gidy,
Albo im każą skoczyć, gdzie z niezmiernej chuci,
Śmiały spahij na naszych dziryty wyrzuci.
Wszyscy siedzą od złota, od rzędów, od pukli,
I nie jako na wojnę daleką wysmukli;
Nie widziałeś kirysów, nie widział pancerzy,
Każdy się złotogłowi, jedwabi i pierzy;
Ogromne skrzydła sępie, forgi, kity, czuby,
Trzęsą się im nade łby, a ono, nie tu by
Te prezentować cienie i nikle ozdoby,
Kędy wróble takimi z prosa straszą boby.
Wszystko znieśli, wszystko to dziś na się włożyli,
Z czego świat przez lat tyle zdarli i złupili.

.

Osman sam stał na górze pod zielonym znakiem,
Opasany po świetnym kaftanie sajdakiem,
Zkąd mógł wojska obaczyć, jako trzeba, obie,
Mając grono zwyczajnych pochlebców przy sobie.
Ztamtąd ludzi szykuje niecierpliwy zwłoki,

WACŁAW POTOCKI.

Posyła na przemiany, żeby jednooki
Husein, sylistryjski basza, po Skinderze,
Przy którym był wszytek rząd, następował szczerze,
Nim się słońce nachyli na giauroskie baby.
Jak z woru wysypawszy Turki i Arabcy,
Razem bando na dwór swój wyda w onym czesie,
Kto pierwszej wiktoryej nowinę przyniesie,
Sto tysięcy we złocie da i konia z rzędem,
I znacznym go obieca opatrzyć urzędem.

Taka straszna zawziętość, takie aparaty,
Nieprzyniosły Polakom żadnej serca straty,
Którzy Bogu oddawszy swej nadzieje skutki,
Skoro hetmańskie kotły ogłoszą pobudki,
Pod przestronne swych wodzów schodzą się namioty,
Gdzie kapłani jarzące zapaliwszy knoty,
Przed żałośną figurą śmierci jego smutnej,
Ofiarę mu, a oraz akt skruchy pokutny,
Upokorzonym duchem oddają, a przytem
Zebrzą, żeby raczył być swym ludziom zaszczytem.
Gdy poganie jako lwi i okrutni smocy
Na nich całego świata następują mocy,
Aby im ich odpuścił miłościwie winy,
Choć przynajmniej odłożył pomstę na czas inny;
A tu, kędy względ jego nieśmiertelnej chwały,
Gniewu sprawiedliwego przytrzymał zapalę.

WACŁAW POTOCKI.

Każdy potem z osobna, skoro serce skruszy,
Kładzie w kapłańskie swoje niedostatki uszy;
Toż czynią i hetmani, a świętym obrokiem
Wsparłszy dusze, wszyscy dnia czekają z widokiem.

UCIECZKA

DO NAJŚWIĘTSZEJ PANNY.

Jak się owo dziecko bierze,
Rozkwilone do macierze,
Kiedy swawolne, bojąc się chabiny,
Gniewnemu ojcu czyni przeprosiny.
Więc do Matki ręce wznosi,
I ratunku od niej prosi,
Pod nią się tuli, jej zakrywa szatą,
Aż je pojedna z rozgniewanym tatą.
Polsko moja, w tak złej toni,
Któż cię dźwignie, kto obroni?
Zkąd ci tak wczesne suppecyje przydą,
Któraż cię Pallas zasłoni egidą.
Apollo swej bronił Troi,
Mars przy Rzymie mocno stoi,
Jupiter swemi opiekął się Greki,
Jako wierzyły dawno błędne wieki.
A my dokąd bliżsi zguby,
Udamy się z swemi śluby,
Kiedy niebieski Ojciec rozgniewany,
Przepuścił gorsze Szwedy niż pogany?

WESPAZYAN KOCHOWSKI.

Pójdźmy boskiej prosić Matki,
Aza Polski te ostatki
 Pożarte, wydrze z łakomej paszczeki,
 I nie da zginąć Sarmatom na wieki.
Pokaż się nam Matko Pani,
Prosim upadli poddani,
 Broń nas zaszczytem o Królowo czulem:
 Tym cię na wieki Polska cześci tytułem.
Ukój Ojca w gniewie srogim,
Przeproś winy nam ubogim,
 Aby pamiątka była w polskim państwie:
 Nie ginie kto jest u Maryi w poddaństwie.

POCHWAŁA LASÓW.

Zważywszy życia ludzkiego obroty,
Uchodzę w lasy i wesołe knieje,
Mając w nich więcej gustu i ochoty;
Niech kto chce z mojej dzikości się śmieje,
Niedbam nic na to, wolę z swej prostoty
Las, aniżeli świat pełen niecnoty.

Lasy kochane, zielone chłodniki,
Drzewa przyjemny szum dające z siebie;
Trawy, pagórki, biegące strumyki,
Przy was niech mieszkam choć o suchym chlebie;
Zdrowszy mi napój z waszych źródeł żywych,
Niż drogie trunki — gdy z rąk nieżyczliwych.

Jak ranna zorza swój rumieniec śliczny
Pokaże, rosa perłowe kropelki
Pozbiera, już ci pasterz okoliczny
Niezaśni, a ptak wyśpiewuje wszelki;

ELŻBIETA DRUŻBACKA.

Ci trzody owiec żoną między wrzosa,
Te, mokre skrzydła otrzepują z rosy.

Wnet różnych głosów stroją instrumenta,
Po drzewach skacząc wysoko, to nisko,
Krzykną roślejsze i drobne ptaszęta,
Bespieczne, chociaż słuchamy ich blisko;
Za nic koncerty i włoskich nut sztuki,
Ich miłsze głosy bez mistrza nauki.

Odpocznie ptactwo, aż zaczną pasterze
Smutne wywodzić dumy na fujarzy,
Inni zaś skoczne mazury na lerze
Tańcząc z nami każdy w swojej parze;
My wdzięczne pieśni śpiewamy kolejną,
Lasy słuchają a gaje się śmieją.

Niewiem co tęsknić, pasąc owiec trzodę,
Z pilnością strzec ich potrzeba od wilka,
Przebrnąwszy potok, oczyma powiodę,
Aż pastereczek bieży ku mnie kilka,
Z temi się witam chwytając za szyję,
Wnet jedna drugą zczesze, splecie, zmyje.

Usiądziem sobie pod jaworem ciemnym,
Nad czystym źródłem pryskającej wody,

ELŻBIETA DRUŻBACKA.

Ze skał fontanny, natura foremnym
Kunstem, zrobiła pasterzom ochłody;
Nie nam słoneczny upał niedokuczy,
Jawor zaszumi a strumyk zamruczy.

Zacniemy mówić o naszych zabawach,
Na czem dzień cały przeminie godziną;
O pięknem kwieciu w jakich rosną trawach;
Ta powie: jest tu miejsce nad doliną
Na którym kwiaty w rozliczne kolory
Kwitną, posiane od bogini Flory.

Więc wszystkie w zawód bieżąc, jedna drugą
Popchnie w bok, by się wyprzedzić nie dała;
Ta w miękką trawę upadnie jak długą,
Ta już tymczasem kwiatków nazbierała;
Z tych wieńce wijąc, głowy sobie stroim,
O brylantowe korony nie stoim.

Szczera wesołość, śmiech, żarty niewinne,
Nikogo zgorszyć — owszem cieszyć mogą;
Prostoty naszej niech się uczą inne,
Przystojnych zabaw z nami idą drogą,
To co ma która, wybiera z koszyka,
Jemy ser z chlebem i masło z jaszczyka.

ELŻBIETA DRUŻBACKA.

Po tym bankiecie, chcący trunku zażyć,
Spieszno biegniemy do naszej piwnicy,
Którą nad winne więcej trzeba ważyć,
Czystej jak kryształ pod skałą krynicy,
Z tej, codzien dzbanem pijąc nie ubywa,
W pełni zostaje, nikt jej nie doléwa.

Gdy już z południa słońce niezbyt grzeje,
Wychodzim z gęstych lasów na krzewiny,
Tam gdzie chłód miły od pagórków wieje,
Igramy w babkę pomiędzy jedliny.
Patrząc przez niskie krzaczki i jałowce,
Czy dobrze nasze napasły się owce.

Samym wieczorem zbliżając ku domu,
Zganiamy trzody społem do gromady;
Poznają owce co należy komu,
Bierzemy swoje bez swaru, bez zwady,
Żadna nie zbłądzi do cudzej owczarnie,
Każda do swego szałasu się garnie.

PACIERZ STARCA.

Głończe złotego słońca, różana jutrzeńko!
Jużeś to w chatki mojej zajrzała okienko?
O jak ślicznie z twej twarzy promień bije czysty,
Przez te młode gałązki leszczyny krzewistej!
I ty, coś tu pod belką zlepila gniazdeczko,
Nucąc sobie, świt biały witasz jaskółeczko!
Już i ranny skowronek wdzięczny głos wydaje,
Wzbiwszy się lekkim skrzydłem na powietrzne kraje.
Wszystko ze snu głuchego przyrodzenie wstawa:
Zwilżona chłodną rosą podniosła się trawa,
Każdy się kwiat rozwija i kształt bierze żywy,
I mnie się zdaje, że mój włos odmłodnia siwy.
Kiju mój! ty starości mej wierna podporo,
Prowadź mię, już bez ciebie w tym wieku niesporo.
Za tym sobie ogródkiem na wschód słońca siędę,
I łąkom się zielonym przypatrywać będę.
Lasy, pagórki, pola nieścignione okiem,
O jak cudnym myśl błędną karmicie widokiem.
Którekolwiek mych uszu dolatują pienia,
Wszystkie są głosem szczęścia, głosem dziękczynienia.

ADAM NARUSZEWICZ.

Pastuszek na ugorze, ptaszek na gałęzi,
Opiewa słodką radość, co mu serce więzi.
Skaczą wesołe trzody po wzgórkach zielonych;
Po dolinach czystemi strugi przeplecionych,
Harcują tłuste capy, byk się zbija z bykiem,
Każdy hucznym wesele okazując rykiem.
Długoż, ach! długoż jeszcze, Twórcu mój laskawy,
Patrząc będę na dziwne Boskiej ręki sprawy,
I świadkiem twej dobroci? Już dziewiąty schodzi
Krzyżyk wieku, jako się w śliczną postać młodzi
Po białej zimie wiosna, a gdy myśl skrzydłata,
Patrząc na czas upłynny, ściga zbiegłe lata,
I plac ów dwoma kresy otoczony mierzy,
Co się między mym grobem i kolebką szerzy;
Cała ta niezmierna perspektywa okiem
Dni jasnych, dni fortunnych, upływa potokiem.
Ach, jak serce me pała wiekuisty Boże!
Ta radość niezwyčajna, którą ledwo może
Zająkliwy wyrazić język; te łez tonie,
Które hojnym strumieniem biegną po mem łonie,
Znam dobrze, jak są małe, jak słabe podzięki
Za wszystkie dobrodziejstwa którem wziął z twej ręki.
Płynicie hojnym potokiem, płynicie oczy moje,
Wytaczajcie obfite łez rzęśistych zdroje.
Przeżyłem tyle latek, miło wspomnieć na to,
Że mi wszystkie tak zeszły jak rozkoszne lato.

ADAM NARUSZEWICZ.

He dni — tyle pociech; a lubo je która
Naglego smutku czasem zasępiła chmura.
Były to owe tylko krótkie drzewo-łomy,
Co z gęstym deszczem straszne wysypawszy gromy,
Po małej chwili nikną, a swemi przechody
W cudniejszy kształt obloką pola i ogrody.
Nigdy bystrego słońca bystreimi pożogi
Nie zmniejszyły się na mych gruntach plenne brogi;
Nigdy mróz tęgi rosłych szczepów mi nie skaził;
Nigdy przymrozek dojnych krówek nie zaraził;
Nigdy, srogimi brzucha zmęczony przymory,
Nie wlaź wilk krwawożerca do mojej obory,
Ani mi kiedy tłustych baranów podławił.
Nigdy w mej chatce długo zły wróg niezabawił;
Wszystko szło mi szczęśliwie, wszystko jako z płatka,
Była bogata chatka, poczciwa czeladka.
A któż jeszcze wyrazić radość ową zdoła,
Gdy mię nadobne dziatki obsiadły dokola?
Kiedym jedne prowadząc za drobniuchne ręce,
Uczył bezpiecznie stawiać stopki niemowlęce;
Drugie skacząc na łonie, z uciesznym pośpiechem
Bawiły płochą mową i wdzięcznym uśmiechem?
Teraz, gdy już pod twoją opieką urosły,
Twórco mój! i niepłonne owoce przyniosły;
Ciesząc się z trosk podjętych i złożonej prace
Czekam, póki śmierć w domek mój nie zakolace.

ADAM NARUSZEWICZ.

Tak właśnie rosły moje najmilsze pociechy,
Jako oto te gruszki, te oto orzechy,
Com je przed laty, by mi skwar letni nie wadził
Okolo chatki mojej we dwa rzędy sadił.
Teraz, gdy roztoczyły szerokie ramiony
Mam z nich w jesieni owoc, mam w lecie zasłony.
Ty sama, ty trosk moich, tych żalów jedyną
Stalaś się, ukochana małżonko, przyczyną!
Tyś bieg radości trwałych, niestety przerwała,
Gdyś mi z oczu w podziemne kraje uleciała.
Pomnę, ach pomnę, kiedy przy ostatnim zgonie
Złożyłaś na pół martwą głowę na mem łonie;
Kiedym struchlałą ręką oczy twe zawierał,
I z tobą razem z srogich frasunków umierał.
Już to dwunasta wiosna mija od tej daty,
Jak twój grób łzami zlewam i sypię nań kwiaty;
Lecz wkrótce dzień wesoły, dzień przyjdzie fortunny,
Co me kości położy obok twojej trumny;
A te serca, co w ślicznej wiek spędziły dobie,
I po śmierci spoczywać będą w jednym grobie.

ŻONA MODNA.

— **A** ponieważ dostaleś coś tak drogo cenil,
Winszuję panie Pietrze, żeś się już ożenił.
— Bóg zapłać. — Cóż to znaczy? ozięble dziękujesz,
Alboż to szczęścia twego jeszcze nie pojmujesz?
Czylić się już sprzykrzyły małżeńskie ogniwa?
— Nie ze wszystkim: luboć to zazwyczaj tak bywa,
Pierwsze czasy cukrowe. — Toś pewnie w goryczy?
— Jeszczeć. — Bracie trzymaj więc, coś dostał
w zdobyczy,
Trzymaj skromnie, cierpliwie: a milcz tak jak drudzy,
Co to swoich małżonek uniżeni słudzy,
Z tytułu ichmościowie, dla oka dobrani,
A jejmość tylko w domu rządczynia i pani.
Pewnie może i twoja? — Ma talenta śliczne,
Wziąłem po niej w posagu cztery wsi dziedziczne.
Piękna, grzeczna, rozumna — Tym lepiej: — Tym
gorzej,
Wszystko to na złe wyszło i zgubi mnie sporzej.
Piękność, talent, wielkie są zaszczyty niewieście;
Cóż potem, kiedy była wychowana w mieście.

IGNACY KRASICKI.

— Alboż to miasto psuje? — A któż wątpić może!
Bodaj to żonka ze wsi! — A z miasta? — Broń Boże!

— Żłem tuszył, skorom moją pierwszy raz obaczył:
Ale, żem to, com postrzegł, na dobre tłumaczył,
Wdawszy się już, a nie chcąc dla damy ohydy . . .
Wiejski Tyrsys wzdychałem do mojej Fillidy.
Dziwne były jej giesta i misterne wdzięki:
A nim przyszło do ślubu i dania mi ręki,
Szliśmy drogą romansów, a czym się uśmięchał,
Czym się skarżył, czy milczał, czy mówił, czy wzdychał!

Widziałem, żem nie dobrze udawał aktora:
Modna Fillis gardziła sercem domatora
I ja byłbym nią wzgardził, ale punkt honoru,
A czego mi najbardziej żal, ponęta zbioru;
Owe wioski, co z memi graniczą, dziedziczne,
Te mnie zwiodły, wprawily w te okowy śliczne.

— Przyszło do intercyzy. Punkt pierwszy: że w mieście
Jejmość przy doskonałej francuzkiej niewieście,
Co lepiej, bo Francuzka, potrafi ratować,
Będzie mieszkać, ilekroć trafi się chorować.
Punkt drugi: chociaż zdrowa czas na wsi przesiedzi,
Co zima jednak miasto stołeczne odwiedzi.

IGNACY KRASICKI.

Punkt trzeci: będzie miała swój ekwipaż własny.
Punkt czwarty: dom się najmie wygodny, nie ciasny:
To jest, apartamenta paradne dla gości,
Jeden z tyłu dla męża, z przodu dla jejmości.
Punkt piąty: a broń Boże! zląkłem się. — A czego?
— Trafia się, rzekli krewni, że z zdania wspólnego,
Albo się węzeł przerwie, albo się rozłączy.
— Jaki węzeł? — Małżeński. — Rzekłem: ten śmierć
kończy!

Rozśmieli się z wieśniackiej przytomni prostoty.
I tak płacąc wolnością niewczesne zaloty,
Po zwyczajnych obrządkach rzecz poprzedzających,
Jestem wpisany w bractwo braci żalujących.

— Wyjeżdżamy do domu. Jejmość w złych humorach:
— Czem pojedziem? — Karetą. — A nie na resorach?
Daliż ja po resory. Szczęściem kasztelanic,
Co karete angielską sprowadził z zagranic,
Zgrał się co do szeląga. Kupilem. Czas siadać,
Jejmość słaba. Więc podróż musimy odkładać.
Zdrowsza jejmość, zajeżdża angielska karyta,
Siada jejmość, a przy niej suczka faworyta;
Kładą skrzynki, skrzyneczki, woreczki i paczki,
Te od wódek pachnących, tamte od tabaczki,
Niosą pudło kornetów, jakiś kosz na fanty;
W jednej klatce kanarek co śpiewa kuranty,

IGNACY KRASICKI.

W drugiej sroka; dla ptaków jedzenie w garnuszku,
Dalej kotka z kocięty i mysz na łańcuszku.
Chcę siadać, nie ma miejsca; żeby nie zwlec drogi,
Wziąłem klatkę pod pachę, a suczkę na nogi.
Wyjeżdżamy szczęśliwie, jejmość siedzi smutna,
Ja milczę, sroka tylko wrzeszczy rezolutna.
Przerwała jejmość myśli: — Masz waćpan kucharza?
— Mam, moje serce. — A pfe! koncept z kalendarza;
Moje serce! proszę się tych prostactw oduczyć.
Zamilkłem, trudno mówić, a dopieroż mrużyć.
Więc milczę. Jejmość znowu o kucharza pyta.
— Mam, mościa dobrodziko. — Masz waćpan stangryta?
— Wszak nas wiezie. — To furman, trzeba od parady
Mieć inszego. Kucharza dla jakiej sąsiady
Możesz waćpan ustąpić. — Dobry. — Zkąd? — Poddany.
— To musi być zapewne nieoszacowany,
Musi dobrze przypiekać recuszki, łazanki,
Do gustu pani wojskiej, panny podstolanki,
Ustąp go waćpan, przyjmą pana Matyasza,
Może go i ksiądz pleban użyć od kiermasza.
A pasztetnik? — Umiałci i pasztety robić.
— Wierz mi waćpan, jeżeli mamy się sposobić
Do uczciwego życia, weźże ludzi zgodnych,
Kucharzy cudzoziemców, pasztetników modnych;
Trzeba i cukiernika. Serwis zwierciadlany,
Masz waćpan i figurki piękne z porcelany?

- Nie mam. — Jak to być może? Ale już rozumiem,
I lubo jeszcze trybu wiejskiego nie umiem,
Domyślam się. Na wety zastawiają pulki:
Tam w pięknych piramidach krajanki, gomulki,
Tatarskie ziele w cukrze, imbir chiński w miodzie,
Zaś ku większej pociesze razem i wygodzie,
W ładunkach bibułowych kmin kandyzowany,
A na wierzchu toruński piernik pozłacany.
Szkoda mówić, to pięknie, wybornie i grzecznie,
Ale wybacz mi waćpan że się stawię sprzecznie:
Jam niegodna tych parad, takiej wspaniałości. —
Zmilczałem, wolno było żartować jejmości.
Wjeżdżamy już we wrota, spojrzala z karety:
— A pfe mospanie! parkan, czemu nie sztachety?
Wysiadła: a z nią suczka i kotka i myszka.
Odepchnęła starego szafarza Franciszka,
Ezy mu w oczach stanęły, jam westchnął. W drzwi
wchodzi:
— To nasz ksiądz pleban. — Kląniam. — Zmarszczy
się dobrodziej.
— Gdzie sala? — Tu jadamy. — Kto widział tak jadać!
Mała izba, czterdziestu nie może tu siadać.
Aż się wzdrygnął Franciszek skoro to wyrzekła,
A klucznica natychmiast ze strachu uciekła.
Jam został: idziem dalej; tu pokój sypialny.
— A pokój do bawienia? — Tam gdzie i jadalny.

— To być nigdy nie może. — A gabinet? — Dalej,
Ten będzie dla waćpani, a tu będziem spali.
— Spali? proszę mospanie do swoich pokojów.
Ja muszę mieć osobne od spania, od strojów,
Od książek, od muzyki, od zabaw prywatnych,
Dla panien pokojowych, dla służebnic płatnych,
A ogród? — Są kwatery z bukszpanu, ligustru:
— Wyrzucić; nie potrzeba przydatniego lustru,
To niemieczyna. Niech będą z cyprysów gaiki,
Mruczające po kamykach gdzieniegdzie strumyki,
Tu kiosk, a tu meczecik, holenderskie wanny,
Tu domek pustelnika, tam kościół Dyanny;
Wszystko jak od niechcienia, jakby od igraszki:
Belwederek maleńki, klateczki na ptaszki.
A tu słowik miłośnicie szczebioce do ucha,
Synogarlica jęczy, a gołąbek grucha:
A ja sobie rozmyślam pomiędzy cyprysy,
Nad nieszczęściem Pameli albo Heloisy . . .
Uciekłem, jak się jejmość rozpoczęła zżymać,
Już też więcej nie mogłem tych bajek wytrzymać,
Uciekłem. Jejmość w rządy: pełno w domu wrzawy,
Trzy sztafety w tygodniu poszło do Warszawy;
W dwa tygodnie już domu i poznać nie można.
Jejmość w planty obfita a w dziełach przemożna,
Z stołowej izby belki wyrzuciwszy stare,
Dała sufit, a na nim Wenery ofiarę.

IGNACY KRASICKI.

Już alkowa złożona w sypialnym pokoju,
Gipsem wymarmurzony gabinet od stroju.
Szły słoiki z apteczki, poszły konfitury,
A nowem dziełem kunsztu i architektury,
Z półek szafy z mahoniu, w nich książek bez liku,
A wszystkie po francuzku; globus na stoliku.
Buduar szkli się złotem, pełno porcelany,
Stoliki marmurowe, zwierciadlane ściany.
Zgoła przeszedł mój domek warszawskie pałace,
A ja w kącie nieborak, jak płacę, tak płacę.

To mniejsza, lecz gdy hurmem zjechali się goście,
Wykwintne kawalery i modne jejmoście,
Bal, maski, trąby, kotły, gromadna muzyka:
Pan szambelan za zdrowie jejmości wykrzyka,
Pan adjutant wypija moje stare wino,
A jejmość w kącie siedząc z panią starością,
Kiedy się ja uwijam jako jaki sługa,
Coraz na mnie pogląda, śmieje się i mruga.

Po wieczerzy fajerwerk, goście patrzą z sali:
Wpadł szmermel między gumna, stodoła się pali!
Ja wybiegam, ja gaszę, ratuję i płacę . . .
A tu grzmią coraz głośniejsze wiwat trębaczki!
Powracam zmordowany od pogorzeliśki;
Nowe żarty, przymówki, nowe pośmiewiska.

IGNACY KRASICKI.

Siedzą goście, a coraz więcej ich przybywa,
Przekładam zbyt ni ekspens: jejmość zapalczywa,
Z swojemi czterma wsiami odzywa się dwornie:
— I osiem nie wystarczy, przekładam pokornie.
— To się wróćmy po miasta. — Zezwoliłem, jedziem;
Już tu od kilku niedziel zbytkujem i siedzim.
Już . . . — Ale dobrze mi tak, choć frasunek bodzie:
Cóż mam czynić? próżny żal, jak mówią, po szkodzie.

KUPIDO POKORNY.

Wara chłopcze bo cię zranię,
Strzałki do jednej połamię,
I na większe ukaranie,
Ugodzę cię w piersi same.

Piórka z skrzydełek wyskubię,
Sajdaczek na popiół spaleę,
Wreszcie samego oczubię,
I ani się nie użalę.

Takem lajał, takem fukał
Na chłopczyka, co mnie zblizka
Stojąc, czegoś w rzeczy szukał,
Ażeby ujść pośmiewiska.

Rączki mu na dół opadły,
Nosek zwiesił, oczka spoił,
Jagódki mu obie zbladły,
I minkę smutną nastroił.

STANISŁAW TREMBECKI.

Potem wzroczek wzniosłszy miły:
„Jeżelim ci jest na zdradzie,
I jeżeli masz dość siły
Bij mnie!“ — To rzekłszy się kładzie.

Waham się, nie wiem co robić,
Tak mię zmięczył, tak mię strwożył.
Jakże tu go było obić,
Kiedy mi się sam położył.

ANAKREONTYK

przy odebraniu czaszy wina z pięknych rąk.

O! wdzięków zbiory,
Piękności wzory,
Panie, królowe, boginie!
Niech wasze oko,
Sięga głęboko,
Nie sądząc gracza po minie.

Włos mi ubiełił,
I twarz podzielił,
Srogi czas w różne zagony;

STANISŁAW TREMBECKI.

Lecz na tę szkodę,
Dał mi w nagrodę,
Serdeczny zapal zwiększony.

Tak Hekla siwa,
Śniegiem pokrywa
Swoje ogniste pieczary;
Wierzch ma pod lodem,
Zielona spodem,
I wieczne karimi pożary.

Płyn mi w potoku,
Bachowy soku,
Ręką przelany życzliwą.
Gdy na cześć waszę,
Pełniąc tę czaszę,
Przygaszam ogień oliwą!

KUPIDYNEK.

Ocząt jasnych, ustek z róży,
Włos złoty zwity w warkoczek,
Chłopczyk sam sobą nie duży,
Ku mnie swój obracał kroczek.

STANISŁAW TREMBECKI.

Zastanowiłem się troszkę,
Chcąc się od niego dowiedzieć,
Czego zachodzi mi drożkę,
Czy nie ma mi co powiedzieć.

Na dobre róży rzucenie,
Postrzegam mego chłopczyka,
Że nie mogąc pod odzienie,
Pod skrzydełka strzałki wtyka.

Nie było tam czego czekać,
Żeby się zdrady uchronić,
Począłem co tchu uciekać,
Tak, że mnie nie mógł dogonić.

Od samych szczęśliwszy bogów,
Uszedłszy burzy i gromu:
Wpadam do *Temiry* progów,
Szukam jej po całym domu.

Wiecież co mnie tam spotyka?
Oto — jak niespodziewanie,
Tego samego chłopczyka,
Zastąłem na jej kolanie.

MÓJ ŚWIAT.

Niech kto chce wielbi dawne swobody,
I złote wieki Astrei,
I Adamowe rajske ogrody
Z wiekiem Saturna i Rhei:
Ja jeden kontent przecie,
Że teraz żyję na świecie.

Wiek ten złośliwy, wiek oplakany,
Czei ani wiary niegodny,
Niech sobie będzie jak chce nazwany,
Dla mnie on bardzo wygodny.
I to mi jest bardzo miło,
Że dziś mi się żyć zdarzyło.

Kocham się w zbytkach, pieszczoty lubię,
Kunszta i życie wygodne;
Porządek chwale, gustem się chlubię,
I to mi ładne — co modne;
Niech to gust będzie złośliwy,
Tak myśli każdy uczciwy.

KAJETAN WĘGIERSKI.

Bawi to duszę moją zwodniczą,
Gdy mi dostatek obficie
Nowe potrzeby, z nową słodyczą,
Na moje znosi użycie.
A ja, mych przodków wyrodek,
Wszelkich używam wygodek.

Ziemia swą żywność, niebo widoki,
Ogień mi daje wygodę;
Ptactwo i ryby swojemi zwłoki,
Mnożą mi moją swobodę.
Wszystko mi w życiu przyjazne:
Szczęśliwe wieki żelazne!

Jeśli to u mnie w małym jest względzie,
Że nie tak żyli przodkowie;
Że wolę biszkokt niżli żołędzie;
Niech mi kto na to odpowie?
On żołędź smaczną rozumiał,
Bo chleba upiec nie umiał.

Mało dbam o to, że tem nie będę,
Czem próżność może mię łudzić;
Spokojny zawsze z cnotą usiędę,
Ni się dam pysze przebudzić.
Nikomu nic nie zazdroszczę,
Sam się o przeszłość nie troszczę.

KAJETAN WĘGIERSKI.

A jeśli sobie kto wyżej ceni,
Życ pól w nadziei, pól w strachu,
Mnie lepszy własny wróbel w kieszeni,
Niż cudzy gołąb na dachu.
Myślcie sobie jako chcecie,
Dla mnie dość w dzisiejszym świecie!

MELANCHOLIA.

Nudów gromada zewsząd mię opadła,
Tęskność po całej rozeszła się duszy,
Serce ból trapi a namiętność zjadła
Głowę mi suszy.

Fortuna szydząc omija mię bokiem,
Ubiegła młodość, gnuśne pełzną lata;
Dziewczyna namet krzywem patrzy okiem
I mną pomiata.

Ej! jeśli sprzyjasz *węgrzynie* kochany!
Podaj ty przecie, podaj mi ratunek;
Podaj na głowę i na serca rany
Skuteczny trunek!

KAJETAN WĘGIERSKI.

Ani mię płomień ususzyć miłości,
Ani do szczętu zdoła los utraścić,
Bylebym jeszcze mógł w dolegliwości:
Wina się napić!

FILOZOF.

Czy mam złoto, czy bez złota,
Zawszem żwawy i wesoły;
Pocziwego zdobi cnota,
Ani mu wstyd — kiedy goły.

Żony nie mam — mieć jej nie chcę,
Bo znam co to być żonatym;
Próżna duma mię nie lechce:
I na cóż mam być bogatym?

Gdy mi dobrze idą rzeczy,
Fortunie bardzo dziękuję;
Gdy mi swoich względów przeczy,
Wcale się tem nie turbuję . . .

Żeby mię nie wiem jak srogim
Ciosem, fortuna ścisłała:

KAJETAN WĘGIERSKI.

Nie zrobi mię tak ubogim,
By mi cnota nie została.

Niewielkich skarbów potrzeba,
Na moje drobne ekspensa:
Żyję bez białego chleba,
I bez kosztownego mięsa.

Ni mnie trzeba kosztu na to,
Żebym coś na świecie znaczył;
Ani się stroję bogato,
By mnie ktoś przywitać raczył.

Nie zabieram spółki z temi,
Których przyjaźń ma kosztować:
Bo nie chcę pieniędzmi memi,
Przyjaciół sobie kupować.

Przyjaźń, co odbiega w nędzy,
Co nie jedna się z przymioty,
Co jest tylko dla pieniędzy:
Traci u mnie imię enoty.

Tak więc żyjąc w własnym domu,
Mam się za dość bogatego:
Kiedym niedłuzny nikomu,
Kontent jestem z losu mego!

FR. DYONIZY KNIAŻNIN.

1750 † 1807.

DO WASÓW.

Ozdobo twarzy, wąsy pokrętne,
Powstaje na was ród zniewieściany;
Dworują sobie dziewczęta wstrętne,
Od dawnej Polek dalekie chwały.

Gdy pałasz mierzył cudze granice,
A wzrok marsowy sercami władał,
Ujmując wtenczas oczy kobięce,
Bożek miłości na wąsach siadał.

Gdy szli na popis rycerze nasi,
A mężstwem tchnęła twarz okazała;
Maryna patrząc szepnęła Basi:
„Za ten wąs czarny — życie bym dała“.


Gdy nasz Czarniecki sływał żelazem,
I dla Ojczyzny krew swą poświęcał;
Wszystkie go Polki wielbiły razem,
A on tymczasem węża pokręcał.

FR. DYONIZY KNIAŻNIN.

Jana trzeciego gdy Wiedeń słaWił,
Głos był powszechny między Niemkami:
„Oto król polski co nas wybawił,
Jakże mu pięknie z temi wAsami!“

Smutne w narodzie dzisiaj odmiany . . .
Rycerską twarzą Nice się brzydzi;
A dla niej Dorant wódkami zlany,
I z wAsa razem i z męztwa szydzi.

Kogo wstyd matki, ojców i braci,
Niech się z swojego kraju natrzAsa,
Ja zaś z ojczystej chlubny postaci,
Żem jeszcze Polak pokręcę wAsa.

 DO MIRTU.

Drzewo miłości! gdy piękny Adoni,
Goniąc za zwierzem siły swoje znużył,
Pod tobą, wsparłszy skroń na białej dłoni,
Oczy przymrużył.

Włos mu po barkach igrał rozpuszczony,
Rumieniec mleczne roztwarzał oblicze;

FR. DYONIZY KNIAŻNIN.

A uśmiech puszczał z pod sennej zasłony,
Wdzięków słodycze.

W tej go postawie, przechodząc tamtędy,
Królowa Cypru pierwszy raz ujrzała;
I wnet nań tkliwe obracając względy,
Krok zatrzymała.

Ta czułość, którą serca ludzkie darzy,
Nad samej sercem wzięła panowanie:
Wstyd na jej bozkiej różując się twarzy,
Wydał kochanie.

Gracye, skoro na jej twarz spojrzwały,
Z swoją się razem zapłonily panią:
Spuściwszy oczy, więcej ich nie śmiały
Podnosić na nią.

Tymczasem orszak pacholąt życzliwy,
Rzeźkim na drzewo wskakując polotem,
Prosto mu w serce, niechybnym cięciwy
Wymierza grotom.

Złękła się Wenus i zagrozi wzrokiem,
By snu słodkiego jemu nieprzerwały.
Ufna swym wdziękom, że twarzą i okiem,
Stanie za strzały.

FR. DYONIZY KNIAŻNIN.

Posłusze dzieci, co matka im każe,
Do swych sajdków groty poskładają.
Więc po gałazkach odprawując straże,
Broń zawieszają.

Ona westchnąwszy: — „Niechże te kołczany
Na znak pamiętnej zostaną wdzięczności;
O! *mircie!* — rzekła — bądź odtąd nazwany
Drzewem miłości!“

POWRÓT NA WIEŚ.

Otóż mój dom ubogi, też lepione ściany,
Też okna różnoszybne, piec nie polewany,
I niska strzecha moja! Wszystko tak jak było,
Tylko się ku starości więcej pochyliło!
Szczęśliwy! kto na małym udziale przebywa,
Spokojny siadł przy stole wiejskiego warzywa,
Z swej obory ma mięso, z ogrodu jarzynę,
Z domu napój i wierną przy boku drużynę.
Obym ja był tak dawniej myślał oszukany!
I w ukrytym gdzieś kącie żył raczej nieznany:
Gdyby o mnie w powiecie nawet nie wspomniano,
I tylko mię sąsiadem dobrym nazywano!
Bym się żywił z krwawego rąk moich wyrobku,
Żył na świecie bez wieści — umarł bez nagrobku.
Com zyskał? że rzuciwszy ubogie zagrody,
Chciałem nieopatrzony płynąć przeciw wody?
I widząc na me oczy jak drudzy tonęli,
Jam sobie myślał: „oni płynąć nie umieli”.

FRANCISZEK KARPIŃSKI.

Com zyskał, na wysokie pnąc się pańskie progi,
Gdzie po śliskich ich stopniach obrażając nogi,
Nic się z moim lepszego nie zrobiło stanem,
Prócz marnego wspomnienia że gadałem z panem.

Kiedy mię ojciec stary żegnał przy swym zgonie:
— „Idź, mówił, synu na świat: w jakiej będziesz stronie
Pamiętaj, że na prawdzie nikt nigdy nie traci;
Zostawiam cię ubogim, prawda cię wzbogaci”. —
Słuchałem cię mój ojczy! goszcząc między pany,
Takem pisał lub mówił, jak był przekonany.
Nie brałem sobie za cel ludzkie głosić winy,
A jeśli kogo chwalił — nigdy bez przyczyny.
Cóżem zyskał, pochlebstwem nie służąc nikomu?
Otom wrócił uboższym niż wyjechał z domu.
Nie przeto święta cnoto porzucić cię trzeba,
Że wieku dzisiejszego nic nie dajesz chleba;
Choćby mi jeszcze wolniej miało szczęście pociec,
Bo i z prawdą pięknie jest i tak kazał ociec.

Trzeba wyznać jak było — że mi coś dawano:
Ale wszystkie godziny życia kupić chciano,
Żebym wieczny niewolnik nosił jarzmo czyje,
Żył cały komuś a sam zapomniał że żyję;
A wreszcie mi nadzieją szafowano szczerze:
Nikomum źle nie zrobił, ani mnie nikt dobrze.

FRANCISZEK KARPIŃSKI.

Nadziejo! czyż ja ciebie w złotej chciałem mieć szacie,
Żeby oczy pospółstwo obracało na cię?
Żeby mi słynął majątkiem, drugimi pomiatał?
Nie otom ja pod drzwiami Fortuny kołatał:
Jedna wioska do śmierci, jeden dom wygodny,
Gdziebym jadł nie z wymysłem, ale wstał nie głodny;
Gdziebym się nie usuwał nikomu do zgonu,
Swym pługiem zoranego pilnował zagonu;
Spokojny będąc na tem co stan mierny niesie,
Stałbym sobie na dole, niech kto inny pnie się.
W tym zamiarze praca mię całe życie tłoczy;
Nad książkami straciłem i zdrowie i oczy:
Nad książkami, które ja, co gębie odjąłem,
Może zbyt czynnym na mnie nakładem ściągnąłem.
Co mi książki oddały? Jak niewierna niwa,
Co zgubiła nadzieję rolnikowi żniwa;
Po wieku mego wiosny niewróconej szkodzie,
Nachylony ku zimie, zostałem o głodzie.

Za lat Simonidesów albo Kochanowskich,
Może znalazłbym sobie Zamojskich, Myszkowskich,
Przy których bym wygodnie wieku mego użył,
I pismem pożytecznym narodowi służył.
Dziś, zabierz mi kto księgi, ten sprzęt nieszczęśliwy,
Do których mię przywiązał nałóg uporczywy;
I co mi będzie lepiej w ubóstwie usłużne,

FRANCISZEK KARPIŃSKI.

Zamieniaj na motyki i żelaza płuźne.
Porzucę nad pismami myśli kłopotliwe;
A serce niech mi tylko zostanie dotkliwe,
Żebym się mógł nad losem biedniejszych litować,
I przy pracy miał sposób bliźniego ratować.

Maryo! siostró moja! jakżeś się kwapiła!
Prawieś z moim powrotem i ty tu przybyła!
Czego stojąc w tym kącie z twarzą wyniszczoną,
Otoczona dziatkami nieszczęśliwa żono,
Poglądasz mi na ręce, rychło jakim datkiem
Wesprę cię, już goniącą majątku ostatkiem.
Nędza was, jak popadła tak statecznie gniecie!
I tyś także jak widzę prawdę szła na świecie.
Oplakana rodzino! Wy myślicie ślepi:
„On był między panami i nam będzie lepij“.
Byłem — i byłbym pewnie panom na coś zdatny —
To wiem, a tego niewiem za com niepoplatny.
Stało się! nie mam swojej — kopmy cudzą grzędę,
Podeprzeć tę lepiankę — jeszcze w niej przebędę!

FRANCISZEK KARPIŃSKI.

DUMA LUDGARDY.

Powiejcie wiatry od wschodu,
Z wami do mojego rodu,
Poszlę skargę obciążoną,
Miłością moją skrzywdzoną.
Smutna matka w dłoń uderzy,
Nieszczęściu zaraz uwierzy,
Przyszle mi braty obrońce,
I luków serbskich tysiące.
Powiejcie wiatry od wschodu, i t. d.

Ale stójcie Serby mężne!
Hamujcie razy potężne.
Choć mię Przemysław chce zgubić,
Ja go jeszcze wolę lubić.
Ja się tylko żalę na to,
Że moje upływa lato,
Że mię mej młodości zbawił;
On by się może poprawił.
Powiejcie wiatry od wschodu, i t. d.

Szczęśliwsza wiejska dziewico!
Której miłość tajemnicą,
Nie zna jeszcze serca pana:
I ty, co kochasz, kochana.

FRANCISZEK KARPIŃSKI.

Ja króla mężnego żona,
Kochając go, pogardzona:
Gdy mię dojmie rozpacz sroga,
Błuzniąc, klnę siebie i Boga.
Powieście wiatry od wschodu, i t. d.

Czego błyszczysz złoto marne?
Wszystko w oczach moich czarne;
Ten lud przedemną schylony,
I te Przemysława trony.
Obejrzyj się mężu twardy!
Jeden uśmiech — a mniej wzgardy,
Wróci szczęściu postać własną,
Da wszystkiemu barwę jasną.
Powieście wiatry od wschodu, i t. d.

Ale on nieubłagany:
Pójdę do matki kochanej,
Pójdę choć w jednej koszuli:
Ona mię w smutku utuli.
Przechodząc lasów tajniki,
Może litościwy, dziki
Zwierz, mi życia nie uszkodzi;
Na które srogi mąż godzi.
Powieście wiatry od wschodu, i t. d.

FRANCISZEK KARPIŃSKI.

Gdzież mię ślepa miłość niesie?
Ona mię zbłąka po lesie,
Fałszywe ścieżki poradzi,
I tu mię nazad sprowadzi;
Żebym zgon mój nieszczęśliwy
Widziała, jak popędliwy
Uderzy hartowną strzałą,
W serce — które go kochało!
 Powieście wiatry od wschodu,
 Z wami do mojego rodu,
 Poszlę skargę obciążoną,
 Miłością moją skrzywdzoną!

MODLITWA ZA SWEGO PASTERZA.

Władco narodów! nieśmiertelny Panie!
Ty, niegdy na znak z Twym ludem ugody,
Kazałeś sobie zbudować mieszkanie;
Był on szczęśliwy pomiędzy narody,
Pókiś z nim mieszkał; zginął strasznym gromem,
Gdyś wzgardził jego ofiarą i domem.

Owa budowa, wieków tylu dzieło,
Co świat dziwiło ozdoby wytworem,
Rumem obalin okropnych gruchnęło,
Lud został wzgardą i tułaczów zbiorem.
Raz tylko tamte wieki to widziały,
A nasze tego po stokroć doznały.

Jeszcze Cię nasze nie gniewają winy,
Gdy nas nie karzesz gromów takich gradem,
Gdy liche bierzesz z rąk naszych daniny,
I chcesz być naszym w tym domu sąsiadem.
Potwierdź tak święte tych związków obchody,
Dzień ten, niech będzie dniem z Tobą ugody.

J. P. WORONICZ.

Tyś naszych ojców pracy błogosławił,
Gdy Ci ołtarze i domy stawili;
Tyś ich pomiędzy sąsiady rozslawił,
Że się ich bali, kochali i czcili.
Nie karz potomków: Twój to zwyczaj stary,
Ochraniać syny — dla ich ojców wiary.

Błogosław naszym ogrodom i roli;
Tego — coś władzy namiestniczej cechą
Wybrał na zbawcę ich klęsk i niedoli:
Uczyni i naszą i wnuków pociechą;
Wspomnij i o tych, co Cię ofiarami
I modły swemi — błagają za nami!

Wszak to o wiarę idzie twego ludu. . .
Tyś im powierzył pasterstwo nad nami,
Widzisz szacowne owoce ich trudu:
Że Tve świątnice nie stoją pustkami;
Ni świętych winnic gluszą dzikie krzaki;
Mamy w nich mistrzów, ojców, — nie próżniaki.

Spraw Panie, by ten stróżów orszak drogi
Owczarni Twojej, żadnej smutnej chwili
Nie widział nigdy przed swojemi progami.
On na to żyje — byśmy Tobie żyli,
Więc Ty ich życie chciej dla nas zachować:
Broń, byśmy kiedy ich mieli żałować!

JULIAN URSYN NIEMCEWICZ.

1758 † 1841.

POGRZEB

KSIEŹCIA JÓZEFA PONIATOWSKIEGO.

Ł pomiędzy bojów i gradów ognistych,
Wierna swej sprawie, nieodstępna znaków,
Szła wolnym krokiem do siedlisk ojczystych,
Garstka Polaków.

Skoro lud postrzegł, jak wzdęte wiatrami,
Białe z czerwonym proporce migają,
Wstrzęsło się miasto radości głosami:
„Nasi wracają!”

Niedługa radość; każdy pyta chciwie:
Kędyż jest wódz nasz dzielny, okazały,
Co nam tak długo przewodził szczęśliwie,
Na polu chwały?

Już go nie widać na czele tych szyków,
Których był niegdyś duszą i ozdobą;
Okryte Orły, zbroje wojowników,
Czarną żalobą.

JULIAN URSYN NIEMCEWICZ.

Już go nie widać w pośród hufców dzielnych,
Gdzież jest? — Czy słyszysz żal wszystkich głęboki:
Patrzaj, złożone na marach śmiertelnych,
Rycerza zwłoki.

Te mary, wóz ten, spoczynek po znoju,
Lud wdzięczny łzami oblewa rzewnemi,
Ciagną go wierni towarzysze boju,
Piersi własnemi.

Idzie za trumną koń jego waleczny,
Z schyloną głową, czarną niosąc zbroję;
Idź koniu smutnie, już pan twój bezpiecznie,
Zamknął dni swoje.

Żalodne trąby, wy flety płacziwe,
Wy, chwiejących się Orłów srebrne dźwięki,
Umilczcie — ranią piersi moje tkliwe,
Te smutne jęki.

Patrz! przed świątynią, przy światłach gasnących,
Porywa młodzież z wozu ciężar drogi,
I wnosi w pośród grzmotu dział bijących,
W wieczności progi.

Modły kapłanów, braci twoich łkania,
Wznoszą się tam gdzie mieszka Bóg przedwieczny;

JULIAN URSYN NIEMCEWICZ.

Ach! przyjm ostatnie te ich pożegnania,
Wodzu waleczny!

Dzieliłeś z nami ciężkie utrapienia,
Wielkie ofiary, prace bez nagrody,
I zamiast słodkich nadziei ziszczenia,
Gorzkie zawody!

Tulmy lzy nasze! już jesteś szczęśliwy:
Kto za Ojczyznę walczył, poległ śmiały,
Już temu wieniec dał Bóg sprawiedliwy,
Wieczystej chwały.

Wdzięczni ziomkowie ceniąc zgon i życie,
Nie dadzą wiekom zatrzeć twoich czynów;
Wzniosą grób pyszny, zawieszą na szczycie,
Wieniec wawrzynów.

Wyryją na nim — jak w ostatniej toni,
Śmierć, nad nadzieje przenosząc zgubione:
Runąłeś z koniem i orężem w dłoni,
W nurty spienione.

Posąg twój będzie lud otaczał mnogi;
Ten napis twarde zachowają głazy:
„Tu leży rycerz, co walczył bez trwogi,
I żył bez skazy“.

JULIAN URSYN NIEMCEWICZ.

Tam żołnierz, pełen rycerskiej ochoty,
Zaostry oręż o krawędź twej tarczy,
Pewien — że przez to nabywszy twej cnoty,
Tysiącom starczy.

CYPRIAN GODEBSKI.

1765 † 1809.

WYJĄTEK Z WIERSZA

„DO LEGIONÓW“.

Co za widok wspaniały uderza me oczy!
Tam, gdzie Erydan nurty lazuruwe toczy,
Gdzie Gallów z Germanami Ren dzieli szeroki,
I gdzie Tyber skrapiając Scypionów zwłoki,
Zazdrośny sławy Rzymu, w swem łonie głębokiem
Ukrywa twórcze dzieła przed najeźdźcy okiem,
I skąd niesyty niegdyś i sławy i danin,
Jednym berła — a drugim szał pęta Rzymianin,
Który dla swych widoków i wojennych trudów,
Nieznał innej granicy na pokorę ludów;
Gdzie potem, na Trajanów i Tytusów tronie,
Siadłszy święty rybolów w troistej koronie,
Ze schodów marmurowych, nakształt majestatu,
Dwa palce, zamiast berła pokazywał światu;*
Gdzie bystry Dunaj, świadek tylu krwawych bojów,

* *Urbi et orbi.*

CYPRIAN GODEBSKI.

Niesie morzu daninę krajoróżnych zdrojów,
I gdzie Wulkan z swej paszczy czarną lawę ziewa:
Wszędzie sztandar zwyciężki Sarmatów powiewa;
A wśród ojczystej mowy, stroju, obyczaju,
Zda mi się, że na łonie mego jestem kraju;
I nie pędzej to słodkie omamienie ginie,
Aż gdy wzrok mój, po obcej zapuszczę krainie.

Liczbą zbrojnych przychodniów mieszkańiec żdziwiony,
Trwożnem okiem przebiega obce legijony;
Jakie ich przedsięwzięcie, jaki zamysł, bada,
Sam siebie zapytuje i sam odpowiada:
— Może umysł napadów albo zwycięstw chciwy,
Nowych wie dzie Attyłów na Auzońskie niwy? —
Nie! To naród szlachetny, łagodny, spokojny,
Zawsze był mężny w boju lecz nie szukał wojny.
— Może klima niewdzięczne, chciwość lub potrzeba,
Zagnały tych wędrowców pod te szczęsne nieba,
Gdzie ziemia, co rok płodna, nieznając odłogów,
Lubym niegdyś pobytom była ojca bogów? —
Nie! Zamożny i w niwy i stada i trzody,
Ten lud inne odziewał i żywił narody!
Gościnnie, dzielił z obcym dostatek krajowcem,
Lubił wspierać przychodniów, sam nie był wędrowcem.
— Może smutne Pergamu rzuciwszy zwaliska,
Nowi jacy Trojanie szukają siedliska,

CYPRIAN GODEBSKI.

Chcąc na wzór Eneasza nowem państwem słynać? —
Nie! Przyszli za kraj walczyć lub za niego zginąć.

.....

Brzeg Auzoński za mały na wasze był czyny,
Sława was w odleglejsze wzywała krainy;
Kędy ojce szukały winy odpuszczenia,
Ich dzieci szły na hasło Ojczyzny zbawienia.
Tam, okryty laurami na werońskim polu,
Dzienne rozkazy Polak dawał z Kapitolu;
I gdzie bagna pontyńskie dech zabójczy zioną,
Wszędzie widziano ziemię krwią jego zbroczoną;
Walcząc mężnie na polach nowej Partenopy,
Utkwił sztandar Sarmacki na krańcach Europy.
Tam obiegłszy zwyciężkim krokiem okolicę,
Zdobił w pamiątki męztwa niewdzięczną stolicę.*

Może kiedyś życzliwsze od swych ojców plemię,
Patrząc na shołdowane i ludy i ziemie,
Na zwycięskich w swym grodzie znaków skład bogaty:
Wspomni imię z wdzięcznością mężnego Sarmaty.

* Generał Kniaziewicz złożył na uroczystem posiedzeniu
Direktoriatu w Paryżu, chorągwie neapolitańskie.

WYJĄTEK Z WIERSZA

„DO PŁCI PIĘKNEJ“.

O ty bogów obrazie, śmiertelnych zaletó!
Źródło naszych rozkoszy i cnoty podnięto;
Co przez niesłuszne prawa lub ich nadużycie,
Liczysz więcej zasługi przy mniejszym zaszczycie:
Wyzuta w społeczeństwie z władzy i nagrody,
Dzielisz jego ciężary, nie dzieląc swobody,
W czuciach nawet srogimi związana ustawy,
Nieraz tworzysz niewdzięcznych z ofiarą twej sławy;
Co swą krasą podobna wiosennemu kwiatu,
Niesiesz razem ozdobę i nadzieję światu:
Płci piękna! Nie gardź słabą ofiarą poety!
Rys błahy, świetnych wzorów nie zmniejsza zalety.
Wszak częstokroć w obrazie powabów i cnoty,
Niezważając na pędzel, wielbimy przedmioty.
Często kapłan przed bóstwem czią przejęty kłęka,
Które licha kreśliła bohomasów ręka.
Choć mnie inni w tak ważnym ubiegli przedmiocie,
Możnasz nadto powiedzieć o wdziękach i cnocie?
Jeśli lepiej im sprzyjał rym dla mnie uparty,
Gdy ich sława z poetów wymaże mnie karty,
W tych waszych słowach dla mnie dość będzie nagrody:
„On dla nas w niebezpieczne puścił się zawody!“

.

CYPRIAN GODEBSKI.

Przymiot różni płci nasze; dziełem twórczej ręki,
Jedna z nich wzięła siłę, drugiej dano wdzięki;
Pysznił się z mocy człowiek, lecz jednym wejrzeniem
Pokonany, ukłękął przed słabszem stworzeniem.
Bóstwo chcąc śmiertelnikom osłodzić zgryzoty,
Dało im w upominku rozkosz i pieszczoty;
Ażeby zaś te różne przymioty i siły
Zrodzonych do kochania istot nie różniły,
Więc gruntując swe szczęście na wzajemnej wierze,
Jedno z drugim dozgonne zawarło przymierze,
I dwie istoty skutkiem ścisłego spojenia,
Stały się tylko jedną w oczach przyrodzenia;
A człek pierwszy, w tym nowym zakochany bycie,
Dał piękności w ofierze i wolność i życie.
Gdy przedwieczny rzemieślnik na boskim warsztacie,
Wyrabiał świat i w różne stroił go postacie,
Pierwej nadał kształt niebu i ziemi i słońcu,
Utworzenie człowieka miało być na końcu.
Przyszedł człowiek, świat bierze doskonalszą postać;
Ale jeszcze to dzieło nie mogło tak zostać,
I gdy czegoś wszechmocnej robocie braknęło:
Bóg utworzył kobietę i zakończył dzieło.

.
Płci piękna! twoja władza bez różnicy stanu,
Rozkazuje zarówno poddanym i panu;
A łamiąc od przesądu wytknięte granice,

CYPRIAN GODEBSKI.

Śmieje się z pychy naszej i znosi różnice;
Książę z kmiotkiem pospółu czeka u twych progów:
Ty łączysz pług z koroną — a z ludźmi półbogów!

.

Ale mamże opiewać same tylko wdzięki,
Kiedy świat darów tyle z twej odbiera ręki?
Ja w tobie widzę pierwszą po Bogu istotę,
On stworzył, lecz ty jego ukształcasz robotę.
Każdy z rąk przyrodzenia wziął zwierzęcia postać,
Tobie winien, jeżeli mógł człowiekiem zostać.
Ty zaraz jego serce zdobisz od powicia,
On ci najdroższe chwile winien swego życia.
O! święte imię matki! za twoje ofiary
Żadna wdzięczność powinnej niedopelni miary,
Ani pióro, godnego ciebie uwielbienia:
Matka jest najwspanialszem dziełem przyrodzenia!

.

Wprzód nim gienjusz oświaty rzucił blask na kraje,
Wyście były jutrzenką co przed słońcem wstaje!
Z pośród świetnych narodów, Grek pierwszym się mienił,
Lecz im więcej chciał słynąć, tem więcej was cenił.
Obok walecznych mężów, ojczyzny zaszczytu,
On wam stawiał wspaniale posągi z granitu.
Tyś mu wdzięczność w pamiątkach opłacała żywych,
Synów czyniąc walecznych — a mężów szczęśliwych.

.

CYPRIAN GODEBSKI.

Trzeba mieć duszę z lodu lub twardym być glazem,
Ażeby nieukłęknać przed boskim obrazem.
Ty nim jesteś płci piękna! i któryż z śmiertelnych,
Może oprzeć się mocy twych powabów dzielnych?
Panujcie więc, lecz bądźcie w zwycięstwie wspaniale,
Użyjcie władzy waszej na podbitych chwałę!
Niech każda z was przez swoje wdzięki i pieśczoły,
Zrobi swego kochanka miłośnikiem cnoty:
Okryjcie nikczemników wzdargą i sromotą,
A tak cnota rozkoszą, rozkosz będzie cnotą.
Jakikolwiek los świata będzie na ostatek,
Zawsze trwać będzie władza kochanek i matek!

SMUTNO MI PANIE.

Smutno mi Panie na tej nędznej ziemi!
Odarty z siły, pociech i swobody,
Przebijam nieba oczyma łzawemi,
Czy tam weselszej nieznajdę gospody;
Bo tu, gdzie zwrócę oko me lub ucho,
Wszędy pustynię napotykam głuchą;
Bo przez ubiegłe od młodości lata,
O klucz do szczęścia pytałem u świata,
Lecz świat na moje nie odrzekł pytanie.
Aż potargawszy w ciężkim trudzie siły,
Gdy drżącą stopą dotykam mogiły:
Smutno mi, smutno o Panie!

Minęła wiosna wśród rajskich uniesień,
Lato swym skwarem znękało pielgrzymą,
Przeszła bez żniwa życia mego jesień,
I dziś mordercza przyciska mię zima.
Czyż sny młodości i złote nadzieje,
Zanim z nich burza wonny kwiat obwieje,
Po długim życiu, choćby raz przed zgonem,
I najskromniejszym nie pocieszą plonem?

FRANCISZEK WĘŻYK.

Czy w twojem słowie święte zaufanie,
Z którem wychodzim w drogę życia śliską,
Wyjdzie wierzącym na urągowisko?

Smutno mi, smutno o Panie?

Dałeś mi serce i trochę zdolności;
Rychłom ku enocie ramiona wyteżył,
Zwiodłem walk mnóstwo z hydrą przeciwności,
Opierałem się — alem nie zwyciężył.
Próżno, młodzieńczym uniesion zapałem,
Echa mym czuciom wśród ludzi szukałem;
Próżno przez życia wzburzone bałwany,
Brnąłem sam jeden i niezrozumiany.
Są, którym zdolność, przyjaźń lub kochanie,
Snują nić złotą i w dojrzałych latach. . .
Lecz pocóż marzyć o powiędłych kwiatach?

Smutno mi, smutno o Panie!

Dar pieśni brzmiących jest potężnym darem:
To balsam z niebios na ludzkości rany;
Lecz ołowianym dar ten jest ciężarem,
Gdy śpiew o głuche rozbija się ściany.
Inny czas — innych śpiewaków powołał,
Ci, do serc których śpiew ten trafić zdołał,
Stargani w krwawych a płonnych wysiłach,
Już od lat wielu drzemią po mogiłach.

FRANCISZEK WĘŻYK.

Tak, z lutni wziętej pod dni mej zaranie,
Z lutni, w bolesnych rozstrojonej jękach,
Co się dziś w moich potrzaskała rękach,
Zwracam ci drzazgi, o Panie!

— Cóż to? cud stał się! Rozprysłe kawały
Lutni, moc jakaś w dziwne kształty klei.
Nieznane dźwięki z jej głębi zabrzmiały:
Słyszę hymn wiary, miłości, nadziei!
Jakaż potęga życiem ją natchnęła?
Dźwięcz lutni! wyższe opiewając dzieła,
I ogłoś światu boskie panowanie!
Pod wpływem blasku cudotwórczej tęczy,
Niech głos twój gromi, pociesza lub jęczy,
A ty skończ pieśń tę, o Panie!

PRZECHADZKA WIECZORNA.

Dzień rumiany spuścił oczy,
Cień kwitnące krzewy mroczy,
Po wsi ścigają się dziatki,
Niosąc jagódki i kwiatki.

Tam pasterka w głębi siola,
Błędne krówki na noc woła,
Słońce za lasy uchodzi,
Bramy złocone odwodzi.

Koń opuszcza żółte lany,
Wraca miedzą popętany,
Grusze co w polu się bielą,
Długi ku drodze cień ścielą.

Już zaporą skrzypla chatka,
Gdzie przy dziatwie sama matka,
Skowronek zniża się w lany,
Żegnając dzień prześpiewany.

Na głos dzwonka wstał ubogi,
Który siedział koło drogi,

KAZIMIERZ BRODZIŃSKI.

Nucąc nabożnie przez gaje,
Na spoczynek się udaje.

Na kościółku krzyż blaszany,
Błyszczą blaskiem zórz oblany,
Ptaszki ruszyły się z wieży,
Zkąd wołanie dzwonek szerzy.

Z pola idąc z wiązką siana,
Pada matka na kolana;
Z dzwonkiem pod nieba sklepienie,
Maryi szle pozdrowienie.

Wzniosła lipa przy kościele,
Długi cień na pola ściele;
Jakoby łzami żałoby,
Rosa upada na groby.

Krzyż spruchniały, pochylony,
Nad mogiłą wyniesiony,
Wiatr chorągiewką kołysze,
Smutne przerywa zacisze.

Za parkanem między krzewy,
Zaczął słowik dźwięczne śpiewy,
Kwiatkom drzemiącym na łące,
Świecą robaczki błyszczące.

KAZIMIERZ BRODZIŃSKI.

Na pagórku po nad lany,
Stoi prosty krzyż drewniany,
Na nim w cierniowej koronie,
Zbawca świata schylił skronie.

Tam pobożnych ojców dziatki,
Nastawiły w dzbankach kwiatki,
Pod nim okropna mogiła,
Ciało nieszczęsne pokryła.

Od przechodniów w noc stroniona,
Choinami przywalona;
Człowiek z nadzieją zwaśniony,
Szukał u śmierci ochrony.

Nie chciał w smutku ufać Bogu,
Nie śpi przy kościółka progu,
W nocy bez pieśni kapłana,
Jego mogiła sypana.

Wiatry tylko między skały,
Między bory zaszumiały,
Kiedy na trawę rzucona,
Biedna płakała go żona.

DO KONIKA POLNEGO.

Zkądże to wiejski śpiewaku,
Pod mem oknem twoje głosy?
Jakież cię miły żebraku,
Aż tu zapędziły losy?

Wysieczono twoje łany,
Gdzieś swobodnie pieśni nucił;
Aż do miasta zabłąkany,
Jakżeś mię bardzo zasmucił!

Nie tobie śpiewaku polny
Miejskie przystało schronienie;
Ciche gaje, umysł wolny
Natchnie tylko lube pienie.

I mnie teraz miasto więzi,
Com lubił wiejskie zacisze;
Zawieszoną na gałęzi,
Wiatr moją lutnię kołysze.

Więc gościnę w równym stanie
Przyjm śpiewaku w domku moim,
Z kwiatów ci zrobię posłanie,
Czystym uroszę je zdrojem.

KAZIMIERZ BRODZIŃSKI.

Siądziesz czasem na mej lutni;
Tu samotni w wolnej chwili —
Oba tęskni, oba smutni,
Po wiejsku będziemy nucili.

KOBIETA.

Trzy razy żyjąc na świecie,
Świat cały tulisz do łona;
Na piersiach matki jak dziecko,
Szczęśliwa nie wiesz o świecie.

Kochanka tuląc do łona,
Jak w świecie w nim zatopiona,
Zapomnisz wcale o świecie.

A tuląc własne swe dziecko,
Świat cały tulisz do łona.

FRANCISZEK MORAWSKI.

1785 † 1861.

GIERMEK.

Smutnie w polskiej było ziemi,
Smutne wojsko i lud smutny:
Wszystko siły przygniótł swemi,
Pobił, zajął Szwed okrutny.

W długim cieniu drzew lipowych,
Koczowały zbite szyki,
Przy ogniskach obozowych,
Stały nieme wojownicy.

Gdy w tem, siwym strojny włosem,
Którym lekki wiatr powiewał,
Wieszcz się znanym ozwał głosem,
Trącił w lutnię i tak śpiewał:

„Mile gadka dawnej treści
Brzmi dla ucha, w serce wpływa;
W starych czasach to powieści,
Stara dzielność się ukrywa.

Był czas, gdyśmy za przedmurze,
Za tarcz ludom, światu stali;

FRANCISZEK MORAWSKI.

Był czas, gdyśmy wschodnie burze,
Piersią naszą odpierali.

Lasem polskich dzid, narody
Zasłaniane od podboju:
Wynucaly pieśń swobody,
Pieśń miłości, pieśń pokoju.

Naszym hymnem był szcęk broni,
Trąb wojennych dzikie dźwięki,
Wrzawa bitew, grzmot pogoni,
I rozległe rannych jęki.

Złoci wieczór łąn Podola,
Ciagną wojska, tabor, wozy,
Tętnią całe lasy, pola,
Stoją groźne dwa obozy.

Z jednej strony sztandar wiary,
Siwy hetman, młodzież dziarska;
Z drugiej wściekłość, krew, pożary,
I straszliwa czerń tatarska.

Jutro, jutro z rannym brzaskiem,
Dzień gonitwy, dzień rozprawy;
Słońce krwawym zaszło blaskiem,
Bój to będzie straszny, krwawy!

FRANCISZEK MORAWSKI.

Ledwie pierwszy zmrok zapada,
Siwy hetman kord przypasze,
Z młodym giermkim na koń siada,
I objeżdża czaty nasze.

Jedzie, patrzy w obóz dziczy,
Słucha gwaru, rżenia koni,
Pyta, zważa, ognie liczy,
I już w myśli łamie . . . goni . . .

O! nie ciesz się wodzu stary,
Zmienne wojny są koleje,
Nie tak łatwo to z Tatary;
Słuchaj, patrzaj co się dzieje.

Hurra! hurra! pędzi horda,
Nocny napad w obóz leci;
Giermek za broń, wódz do korda:
Na koń! woła, na koń! dzieci!

Spieszą, biegną do swych szyków,
W pośród nocnych pędzą cieni;
Gdy w tem z grzmotem nowych krzyków,
Zewsząd czernią otoczeni.

Tną i walczą na przebicie,
Rąbie hetman, giermek łamie;

FRANCISZEK MORAWSKI.

Całą młodość, ogień, życie,
W wojujące przelał ramię.

I już słyszą, słyszą w dali,
Jak nadbiega polska wiara;
Ale już ich nie ocali,
Już nie wyrwie z rąk Tataru.

Wzięty giermek, hetman wzięty,
Krzyczy, huczy motłoch dziki;
Bucha gniewem ban zacięty,
Patrząc na swe niewolniki.

Wre — i zemstą ryczy srogą:
Każe jednym skuć żelazem
Nogę giermka z wodza nogą,
I tak obu więzić razem.

Smutnie wzrok ich wzniosł się, zwrócił,
Na niebieskie gwiazd sklepienia . . .
Ale na cóż bym wam nucił,
Ich boleści, ich marzenia?

O! kto nigdy pęt nie nosił,
Kto nie jęczał w wrogów mocy!
Strawy swojej lżą nie rosił,
Nie przetęsknił długich nocy;

FRANCISZEK MORAWSKI.

Kto w pól dzikm, podłym tłumie,
Nie włókł ciężkich lat niedoli:
Ten nie pojmie, nie zrozumie,
Jak jest gorzkim chleb niewoli!“

I na chwilę, marząc smutnie,
Wieszcz ucicha — łzę wylewa;
I znów nagle trąca w lutnię,
I tak dalej gra i śpiewa:

„Zasnął hetman siwobrody,
Zasnął, jakby między swemi;
Nie śpi, czuwa giermek młody,
Długo o swej duma ziemi.

I łza tryska mu w źrenicy,
Żal i rozpacz serce tłoczy;
Gdy w tem nagle w swej ciemnicy,
Zapomniany topór zoczy.

Patrzy, duma — drży i marzy,
Serce szczytnym ogniem płonie;
Wielki w duszy zamiar waży,
Topór w obie chwyta dłonie —

I podnosi rękę śmiałą,
Mężnie ku swym pętom zwróci,

FRANCISZEK MORAWSKI.

Tnie — odcina nogę całą,
I hetmana swego cuci.

— Wolnyś, rzeczce, straż zaspana . . .
Uchodź, ocal twą krainę!
Spiesz i pobij wojsko hana . . .
Ja z radością tutaj zginę!

Powstał hetman i wznosił dłonie,
Rzewnemi się łzami zalał . . .
Żegnał, boskiej zdał obronie,
Ścisnął — uszedł — i ocalał!

A w tem straż się ze snu zrywa,
Wieść ucieczki wodza szerzy,
I sam wreszcie han przybywa,
I zaledwie oczom wierzy.

Długo, długo wzrok swój wryty,
W śmiałych topi mu źrenicach;
Stoi jakby gromem zbity,
Po dostojnych czyta licach.

I odpycha wszystkie straże;
Cnota dzikość zwyciężyła . . .
Każe leczyć, darzyć każe,
I do Lachów go odsyła.

FRANCISZEK MORAWSKI.

W świetnem dworzan, wodzów gronie,
Szkarłatnemi szaty odzian,
Siadł król polski na swym tronie,
Wdzięczny przed nim stanął młodzian.

W miejscu nogi — prosta kula
Ujmującą postać wspiera;
I dwór cały się rozczuła,
Z szmerem dziwu nań spoziera.

I dwaj wiodą go rycerze:
Kornie przed tron przystępuje.
Król z wezglowia Szczerbiec bierze,
I rycerzem go pasuje.

Gdy w tem, z pośród wodzów koła,
Hetman nogę niesie złotą:
— Oto herb twój, król zawoła,
Wysłuszony twoją cnotą.*

I porywa dłoń rycerza,
Wśród okrzyków ludu wiedzie,
I przed ołtarz pański zmierza,
I sam klęka z nim na przedzie.

* Według legendy heraldycznej: — herb „Złotogoleńczyk“.

FRANCISZEK MORAWSKI.

O blask, chwałę swych orężów,
Korne w niebo dłonie wznosił,
I o więcej takich mężów,
Dla ojczyzny swojej prosił“.

Tu dźwięk lutni mdał, opadał,
Coraz głuchszem cichła pieniem:
A wieszcz w duszach śledził, badał,
Co w nich swoim wzbudził pieniem.

ANTONI MALCZEWSKI.

1793 † 1826.

Z POWIEŚCI UKRAIŃSKIEJ:

„M A R Y A“.

Pod staremi lipami Miecznik dumiał stary,
I dźwigał w zwiędłej głowie utrapień ciężary.
Chociaż ten czarny żupan smutny przy siwiźnie,
Nosił i jasne barwy, gdy służył ojczyźnie —
Ojczyźnie! której imię wśród boju i rady,
I spornego wyboru i lucznej biesiady
Czystym gorzało ogniem — a serce, jak w wiośnie
Ptak do słońca, do niego skakało radośnie!
Ale czas świetnych uczuć już ściemniał — ej! minął!
I boli tylko życie, a kwiat jego zginął.
Dumał — i przez złe żale, obecne zgryzoty,
Pokrył kir nieprzebity grożące sromoty.
O! poki tchu przynajmniej, tak łatwo i marnie
Płomień zawziętej pychy gniazda nie ogarnie!
O! póki czarny żupan żywe członki ciśnie,
Wyschła ręka w potrzebie starą szablą błysnie!
Lecz potem? — dumiał Miecznik i wzrok wodził hardy,
Pelen niechęci — gniewu — a może i wzgardy.



Do poematu A. Malczewskiego „Marya“.

Rysunek Aleksandra Lessera.



ANTONI MALCZEWSKI.

Przy nim młoda niewiasta — czemuż, kiedy młoda,
Tak zamglonym promieniem świeci jej urodu?
Ni ją ubiór udatny, ni ją stroją kwiaty,
Czarne oczy spuszczone i żałobne szaty;
A w twarzy smutek, czoło co schyla w cichości,
Którego całym blaskiem — uśmiech cierpliwości!
Lub jeśli kiedy nagle, w pośród gęstych cieni,
Jaka myśl, czy pamiątka jej lica zrumieni,
To tak mdłem, bladym światłem, jak gdy księżyc w pełni,
Niezwykłym życiem rysy posągu napelni.
Piękna, szlachetna postać — do Aniołów grona
Dążyła, ich czystości czarem otoczona;
Ale trawiący oddech światowych uniesień
Owiał pąk młodych uczuć i zwarzył jak jesień.
To jeszcze jest na drodze, gdzie nią wichher miota,
W ciężkich kajdanach ziemi dla nieba istota;
Serce nosi uschnięte, a świeci jak zorza,
Podobna do owoców umarłego morza,
Pod których śliczną farbą, śród trudu, mozoły,
Podróżny widzi nektar, — znajduje — popioły.
Jakaś posępna słodycz w jej każdym ruszeniu,
Ani łzy, ani żalu w jej mglistym spojrzeniu.
O! nie — przeszłych już zgryzot nie widać tam wojny,
Tylko znikłej nadziei grobowiec spokojny,
Tylko się lampa szczęścia w jej oczach paliła,
I zgasła, — i swym dymem całą twarz zaćmiła.

*

ANTONI MALCZEWSKI.

Przy nim młoda niewiasta nad księgą Żywota,
Jak trwożna gołębica, pod jasności wrota
Wzbijała ducha wiary, i skrzydły drżącemi
Szukała swego gniazda daleko od ziemi.
A że nad przepych świata i blasków pozory
Widniejsze pióra białe zniżonej pokory,
I drży nić, którą serce do nieba związane:
To kropla słodkiej rosy upadła w jej ranę.
I wznosząc w górę oczy z tym tklivym wyrazem,
W którego jednym rzucie wszystkie czucia razem,
Gdzie przyszłość do przeszłości po jasnym promieniu
Biegnie jak czuła siostra łączyć się w spojrzeniu —
I wznosząc w górę oczy — doznała — jak lubo
Rozbłąkanej w swym żalu swego szczęścia zgubą,
Gdy już z ziemskich i chęci i strachu ochłodła,
Tęsknić szlachetnej duszy do swojego źródła!
Jak miło by nie wadzić w światowym zamęcie,
Zniknąć — na zawsze zniknąć pod śmierci objęcie!
A kto by widział wtedy jej twarz promienistą,
I smutnego Miecznika duszę przejrzał czystą,
Te lipy rosochate — starodawne stroje,
Których dla wyobraźni tak przystoją kroje;
A kto by widział jeszcze jak jasność i wonie
Męczeńskim wieńcem nagle oblekły im skronie: —
Oh! może się przenosząc w odleglejsze wieki,
Świecniejsze okolice, kraj sławny, daleki,

ANTONI MALCZEWSKI.

Nad brzegami Jordanu, pod palmy drzewiną,
Usiadłby zamyślony z hebrajską rodziną,
I w spółnictwie niedoli czując twogę świętą,
Poznał — też samą rękę wieczną, niepojętą,
Co swe łaski i kary zsyła lub odwleka,
Też same zawsze troski wygnańca, człowieka,
Któremu nawet w szczęściu jeszcze czegoś trzeba,
I tylko wtenczas błogo — gdy westchnie do nieba!

*

„Ojczy! ja nazbyt długo, w miłych myśli kole,
Obląkałam się dzisiaj — a na twojem czole
Ciemne następstwo zgryzot zawsze się przebija;
A kiedy radość mignie, to zaraz i mija,
Jak promyk co z obłoków na wyniosłe góry,
Błyśnie — i znów go skryją wiatrem gnane chmury.
Och! czemuż już nie spocznie twoja głowa siwa —
Tu — na łonie? — nie bój się — teraz żal nie spływa
Jak wtedy, coś w mych rękach usnął zmordowany!
I wstał, schylonej córki łzami zapłakany!
Sroga nieszczęść igraszka: — i tak zżółkły parosć
Popsutym karmił sokiem swego dębu starość;
I tak zaparte czucia długiem uciśnieniem,
Rwąc tamę mej rozwagi, łały się strumieniem.
Ach! jakże to boleśnie nazad się obrócić,
Widzieć rozpacz grożącą, i nie móż się wrócić.

ANTONI MALCZEWSKI.

Było więcej niż szczęście, było dla mnie niebo —
Ten, co pączek tkliwego, lubego marzenia,
Rozwinął swoim wdziękiem, ocucił z uśpienia,
Pił jego świeżą rosę, a na jego kwiecie
Zostawił lżę wdzięczności której czas nie zmiecie:
O! póki ten mój miły, ten świat mojej duszy,
Łańcucha naszych węzłów swą wzdargą nie skruszy,
Wierny zostanie cnocie, miłości, pamiątkom,
A gdy znikł pałac szczęścia, wierny jego szczątkom;
Jeszcze się dla mnie życia nie zamknęło wieko,
Jeszcze myśl jego o mnie, chociaż on daleko,
Płynąć będzie tajemnie w umarłe uczucia,
I jak cudowny balsam bronić od zepsucia.
I tę straszną ofiarę — i to rozdzielenie —
Zniosę — cierpliwie zniosę — póki nasze cienie
W słodkich, czystych krainach złączone na zawsze,
Ludzi już nie zobaczą, lecz niebo łaskawsze!“
Rzekła — i jak w stojącej a popsutej wodzie,
Wzruszone nagle męty osiadły na spodzie,
Z serca jej wyszły uczucia co w łzach długo mokły,
I zielonym odcieniem jej bladość powlokły.
— „Wolałbym dźwigać więzy u brodacza Turka,
Niż żeby mi tak marnie wędznąć miała córka.
Wolałbym w ciemnej turmie pewnej czekać zguby,
Niżli patrzeć spokojnie na te smutne śluby!
Alboż to w naszej Polsce braknie na młodzieńcach,

ANTONI MALCZEWSKI.

Co to pannom umięją wyskoczyć w rumieńcach,
I tak jak dawniej było — rycerskie kolano
Raz w życiu tylko ugiąć — po wianek — za wiano!
Nie, Maryo, nie trza wzdychać — twego nie obrażam!
Mężny jest i cnotliwy — wiesz że go poważam;
Lecz mnie jego rodzica pycha niecierpliwi —
A kiedy łzami Maryi swoje serce żywi,
Ha, toć i u mnie szabla nie czczym tylko blaskiem,
I mignie mu pod oczy święconym obrazkiem.
Toż to u naszej szlachty dawne przywileje,
Skrzesać ognia w pałasze, gdy przyjaźń ściemnieje.
Przyjaźń? a nasze hufy nie z sobą na sejmie,
A nasze *veto* krzyczy jeszcze i w rozejmie!
I gdyby kraju napaść, z Hetmanem umowy,
Nie rzuciły mnie wówczas Szwedowi na głowy!
I gdyby twoja Matka (daj jej niebo Panie!)
W swe rańtuchy nie skryła młodych serc kochanie,
A niewieścim w błyskotkach, tajemnicach, smakiem,
Nie zawarła tych związków z swych matron orszakiem:
Nigdyby w moje kopce wróg się nie mógł schować,
Anibym jego złości pozwolił grasować.
Bo cóż to ja zastałem? żonę zmiotła kosa —
A córę — szczep jedyny — z lez polewa rosa.
Dla starej karabeli zbyt to wielkie dziwy
Znosić tak ciężkie razy, los tak obelżywy.
Alboż choć raz do serca me dziecię przytulił?

Już on wisiał w powietrzu — jako plamka szara,
Wielkości wróbla, motyla, komara,
Potem się całkiem w błękitcie roztopił.
Pędź latawce białonogi,
Skały z drogi, sępy z drogi!

Wtenczas obłok zachodni wyrwał się z pod słońca,
Gonił mię białem skrzydłem po błękitnem sklepie;
On w niebie za takiego chciał uchodzić gońca,
Jakim ja byłem na stepie!
Nad głową moją zawisnął,
Taką groźbą za mną świsnął:

„O! szalony, gdzie on goni!
Tam pragnienie piersi stopi;
Obłok deszczem nie odkropi
Osypanej kurzem skroni;
Strumień na błoniu jałowem
Nie ozwie się srebrnem słowem;
Rosa nim na ziemię spadnie,
Wiatr ją głodny w lot rozkradnie!“

Daremnie grozi! Pędzę i podwajam razy! . . .
Obłok strudzony zaczął po niebie się ślaniać,
Coraz niżej głowę skłaniać,
Potem oparł się na głazy.

ADAM MICKIEWICZ.

A gdym oczy raz jeszcze ze wzdargą obrócił,
Jużem o całe niebo w tyle go porzucił.
Widziałem z twarzy co on w sercu knował:
Zaczerwienił się od złości,
Oblał się żółcią zazdrości,
Nakoniec jak trup zczerniał i w górach się schował! . . .

Pędź latawce białonogi,
Stepy z drogi, chmury z drogi!

Teraz oczy, kręgiem słońca
Okręciłem koło siebie:
I na ziemi i na niebie
Już niebyło za mną gońca . . .
Tu natura snem ujęta,
Nigdy ludzkich stóp nie słyszy:
Tu żywioły drzemią w ciszy
Jak niespłoszone zwierzęta,
Których stado nieucieka
Widząc pierwszą twarz człowieka.

Przebóg! jam tu nie pierwszy. . . Śród piaszczystej kępy
Oszańcowane świecą się zastępy . . .
Czy błędzą, czy z zasadzki czatują na łupy?
Jeźdźce w bieli i konie straszliwej białości!
Przybiegam — stoją; wołam — milczą . . . To są trupy!

ADAM MICKIEWICZ.

Starożytna karawana,
Wiatrem z piasku wyrzebana!
Na szkieletach wielbłądów siedzą jeźdźców kości.
Przez jamy gdzie były oczy,
Przez odarte z ciała szczęki,
Piasek strumieniem się toczy
I złowrogie szemrze jęki:
„Beduinie opętany!
Gdzie lecisz? tam huragany!“

Ja pędzę, ja nieznam trwogi.
Pędź latawce białonogi,
Trupy, huragany — z drogi!

Huragan, z afrykańskich pierwszy wicherzycieli,
Przechadzał się samotny po żwiru topieli.
Obaczył mię zdaleka, wstrzymał się i zdumiał,
I kręcąc się na miejscu, tak do siebie szumiał:
„Co tam za jeden z wichrów, moich młodszych braci,
Tak poziomego lotu, nikczemnej postaci,
Śmie deptać lądy, którem w dziedzictwie osiągnął?“
Ryknął — i ku mnie w kształcie piramidy ciągnął.
Widząc, że był śmiertelny i nieustraszony,
Ze złością łąd nogą trącił,
Całą Arabię zamącił,
I jak gryf ptaka, porwał mię w swe szpony.

Oddechem ognistym palił,
Skrzydłami kurzawy walił,
Ciskał w górę, bił o ziemię
Nasypywał piasku brzemie . . .
Ja zrywam się, walczę śmiało;
Targam jego członków kłęby;
Ćwiertuję piaszczyste ciało;
Gryzę go wściekłemi zębami.
Huragan chciał z mych ramion w niebo uciec słupem:
Nie wydarł się! W pół ciała zerwał się i runął,
Deszczem piasku z góry lunął,
I legł u nóg mych długim, jak wał miejski, trupem!

Odetchnąłem! Ku gwiazdom spoglądałem dumnie;
I wszystkie gwiazdy oczyma złotemi,
Wszystkie poglądały ku mnie:
Bo oprócz mnie — nie było nikogo na ziemi.
Jak tu mile oddychać piersiami całami!
Oddycham pelno, szeroko!
Całe powietrze w Arabistanie
Ledwie mi na oddech stanie.
Jak tu mile poglądać oczyma całami!
Wytężyło się me oko,
Tak daleko, tak szeroko:
Że więcej świata zasięga,
Niż jest w kole widnokręga.

ADAM MICKIEWICZ.

Jak miło się wyciągnąć ramiony całemi!
Wyciągnąłem ku światu ramiona uprzejme,
Zda się, że go od wschodu na zachód obejmę.
Myśl moja ostrzem leci w otchłanie błękitu,
Wyżej, wyżej i wyżej — aż do niebios szczytu.
Jak pszczoła topiąc żądło i serce w niem grzebie,
Tak ja, za myślą — duszę utopiłem w niebie.

Z SONETÓW KRYMSKICH.

I.

STEPY AKERMAŃSKIE.

Wpłynąłem na suchego przestwór oceanu;
Wóz nurza się w zieloność i jak łódka brodzi;
Śród fali łąk szumiących, śród kwiatów powodzi,
Omijam koralowe ostrowy burzanu.

Już mrok zapada, nigdzie drogi ni kurhanu;
Patrzę w niebo, gwiazd szukam przewodniczek łodzi:
Tam zdala błyszczą obłok, tam jutrenka wschodzi...
To błyszczą Dniestr, to weszła lampa Akermanu!

Stójmy! ... Jak cicho ... Słyszę ciągnące zórawie,
Którychby niedościgły źrenice sokoła;
Słyszę, kędy się motyl kołysa na trawie —

ADAM MICKIEWICZ.

Kędy wąż śliską piersią dotyka się ziola.
W takiej ciszy, tak ucho natężam ciekawie,
Że słyszałbym głos z Litwy . . . Jedźmy, nikt nie woła!

II.

GRÓB POTOCKIEJ.

W kraju wiosny, pomiędzy rozkosznemi sady,
Uwiędłaś, młoda róžo! bo przeszłości chwile,
Ulatując od ciebie jak złote motyle,
Rzuciły w głębi serca pamiątek owady.

Tam na północ, ku Polsce, świecą gwiazd gromady . . .
Dla czegoż na tej drodze błyszczą się ich tyle?
Czy wzrok twój ognia pełen, nim zgasnął w mogile,
Tam wiecznie leżą, jasne powypalał ślady? . .

Polko! i ja dni skończę w samotnej żalobie;
Tu niech mi garstkę ziemi dłoń przyjazna rzuci!
Podróżni często przy twym rozmawiają grobie:

I mnie wtenczas dźwięk mowy rodzinnej ocuci,
I wieszcz, samotną piosnkę dumając o tobie,
Ujrzy bliską mogiłę, i dla mnie zanuci.

III.

AJUDACH.

Lubię poglądać wsparty na Judachu skale,
Jak spienione bałwany, to w czarne szeregi
Ścisnąwszy się buchają, to jak srebrne śniegi
W milionowych tęczach kołują wspaniale.

Trącą się o mieliznę, rozbijają na fale,
Jak wojsko wielorybów zalegając brzegi,
Zdobędą ląd w tryumfie, i napowrót zbiegi,
Miecią za sobą muszle, perły i korale.

Podobnie na twe serce, o poeto młody!
Namiętność często groźne wzburza niepogody:
Lecz gdy podniesiesz bardon, ona bez twej szkody —

Ucieka w zapomnienia pogrążyć się toni,
I nieśmiertelne pieśni za sobą uroni,
Z których wieki uplotą ozdobę twej skroni!

ADAM MICKIEWICZ.

ODA DO MŁODOŚCI.

Bez serc, bez ducha, — to szkieletów ludy:
Młodości! podaj mi skrzydła!
Niech nad martwym wzleczę światem,
W rajsłą dziedzinę uludy,
Kędy zapał tworzy cudu,
Nowości pótrząsa kwiatem,
I obleka nadzieję w złote malowidła! . . .
Niechaj, kogo wiek zamroczy,
Chyląc ku ziemi poradłone czoło,
Takie widzi świata koło,
Jakie tępemi zakreśla oczy.

Młodości! ty nad poziomy
Wylatuj, a okiem słońca,
Ludzkości całe ogromy,
Przeniknij z końca do końca!

Patrz na dół! Kędy wieczna mgła zaciemia
Obszar gnuśności zalany odmgłem:
To ziemia! . . .
Patrz, jak nad jej wody trupie,
Wzbił się jakiś płaz w skorupie.
Sam sobie sterem, żeglarzem, okrętem;

ADAM MICKIEWICZ.

Goniąc za żywiolkami drobniejszego płazu,
To się wzbija, to w głąb wali,
Nie lgnie do niego fala, ani on do fali:
A wtem, jak bańka prysnął o szmat głązu!
Nikt nie zna jego życia, nie zna jego zguby:
To samoluby!

Młodości! tobie nektar żywota
Natenczas słodki, gdy z innymi w dziele:
Serce niebieskie poi wesele,
Kiedy je razem nić powiąże złota.

Razem młodzi przyjaciele!
W szczęściu wszystkiego — wszystkich są cele.
Jednością silni, rozumni szalem,
Razem młodzi przyjaciele! . . .
I ten szczęśliwy, kto padł w śród zawodu,
Jeżeli poległem ciałem
Dał innym szczebel do sławy grodu.
Razem młodzi przyjaciele!
Choć droga stroma i śliska,
Gwałt i słabość bronią wchodu:
Gwałt niech się gwałtem odciska,
A ze słabością łamać uczmy się za młodu!

Dziekiem w kolebce kto leb urwał hydrze,
Ten młody — zdusi Centaury,

ADAM MICKIEWICZ.

Piekłu ofiarę wydrze,
Do nieba pójdzie po laury!
Tam sięgaj — gdzie wzrok nie sięga;
Łam, czego rozum nie złamie.
Młodości! orla twych lotów potęga,
A jako piorun twe ramię.

Hej! ramię do ramienia! Spólnemi łańcuchy
Opaszmy ziemskie kolisko!
Zestrzelmy myśli w jedno ognisko
I w jedno ognisko duchy!
Dalej z posad bryło świata,
Nowemi cię pełniemy tory,
Aż opleśniałej zbywszy się kory,
Zielone przypomnisz lata.

A jako w krajach zamętu i nocy,
Skłóconych żywiołów waśnią,
Jednem „stań się“ z bożej mocy
Świat rzeczy stanął na zrębie;
Szumią wichry, cieką głębie,
A gwiazdy błękit rozjaśnia.

W krajach ludzkości jeszcze noc głucha . . .
Żywioły chęci jeszcze są w wojnie.
Oto miłość ogniem zionie:
Wyjdzie z zamętu świat ducha!

ADAM MICKIEWICZ.

Młodość go pocznie na swoim łonie,
A przyjaźń w wieczne skojarzy spojnie.

Pryskają nieczułe lody,
I przesady światło ómiać:
Witaj, jutrzeńko swobody,
Zbawienia za tobą słońce!

Z PANA TADEUSZA.

Rówienniki litewskich wielkich kniaziów, drzewa
Białowieży, Świtezi, Ponar, Kuszelewa!
Których cień spadał niegdyś na koronne głowy
Groźnego Witenesa, wielkiego Mindowy,
I Gedymina, kiedy na Ponarskiej górze,
Przy ognisku myśliwskim, na niedźwiedziej skórze
Leżał, słuchając pieśni mądrego Lizdejki,
A Wilii widokiem i szumem Wilejki
Ukołysany, marzył o wilku żelaznym,
I zbudzony, za bogów rozkazem wyraźnym,
Zbudował miasto Wilno, które w lasach siedzi,
Jak wilk pośrodku żubrów, dzików i niedźwiedzi!

ADAM MICKIEWICZ.

Z tego to miasta Wilna, jak z rzymskiej wilczycy,
Wyszedł Kiejstut i Olgierd i Olgierdowicy,
Równie myśliwi wielcy jak sławni rycerze,
Czyli wroga ścigali, czyli dzikie zwierzę.
Sen myśliwski nam odkrył tajnie przyszłych czasów,
Że Litwie trzeba zawsze żelaza i lasów.

Knieje! do was ostatni przyjeżdżał na łowy,
Ostatni król, co nosił kołpak Witołdowy,
Ostatni z Jegiellonów wojownik szczęśliwy,
I ostatni na Litwie monarcha myśliwy.
Drzewa moje ojczyste! jeśli Niebo zdarzy
Bym wrócił was oglądać przyjaciele starzy:
Czyli was znajdę jeszcze? czy dotąd żyjecie?
Wy, koło których niegdyś pełzałem jak dziecię:
Czy żyje wielki Baublis, w którego ogromie
Wiekami wydrążonym, jakby w dobrym domu,
Dwunastu ludzi mogło wieczerzać za stołem?
Czy kwitnie gaj Mendoga pod farnym kościołem?
I tam na Ukrainie, czy się dotąd wznosi
Przed Hołowińskich domem, nad brzegami Rosi,
Lipa tak rozrośniona, że pod jej cieniami
Sto młodzieńców, sto panien, szło w taniec parami?

Pomniki nasze! ileż co rok was pożera
Kupiecka, albo inna niszcząca siekiera!

ADAM MICKIEWICZ.

Nie zostawia przytulku ni leśnym śpiewakom,
Ni wieszczom, którym cień wasz tak miły jak ptakom.
Wszak lipa czarnoleska, na głos Jana czuła,
Tyle rymów natchnęła! Wszak ów dąb gaduła,
Kozackiemu wieszczowi tyle cudów śpiewa!*

Ja, ileż wam winienem, o domowe drzewa!
Błahy strzelec, uchodząc szyderstw towarzyszy
Za chybioną zwierzynę, — ileż w waszej ciszy —
Upolowałem dumań, gdy w dzikim ostępie,
Zapomniawszy o łowach, usiadłem na kępie,
A koło mnie srebrzył się: tu mech siwobrody
Zlany granatem czarnej, zgniecionej jagody,
A tam się czerwieniły wrzosiste pagórki,
Strojne w brusznicę, jakby w koralów paciórki.
W około była ciemność; gałęzie u góry
Wisiały, jak zielone, gęste, niskie chmury;
Wicher kędyś nad sklepem szalał nieruchomym,
Jękiem, szumami, wyciem, łoskotami, gromem:
Dziwny, odurzający hałas! Mnie się zdało
Że tam nad głową morze wiszące szalało.

Na dole, jak ruiny miast: tu wywrót dębu
Wysterka z ziemi, naksztalt ogromnego zrębu;

* Obacz: *Zamek Kaniowski* — Goszczyńskiego.

ADAM MICKIEWICZ.

Na nim oparte, jak ścian i kolumn oblamy,
Tam gałęziste klody, tu wpół zgniłe tramy,
Ogrodzone parkanem traw. W środek tarasu
Zajrzeć straszno: tam siedzą gospodarze lasu,
Dziki, niedźwiedzie, wilki; u wrót leżą kości
Na pół zgryzione jakichś nieostrożnych gości.
Czasem wymkną się w górę przez trawy zielenie,
Jakby dwa wodotryski dwa rogi jelenie,
I mignie między drzewa zwierz żółtawym pasem,
Jak promień, kiedy wpadłszy, gaśnie między lasem.

I znowu cichość w dole. Dzięcioł na jedlinie
Stuka z lekka i dalej odlatuje, ginie,
Schował się: ale dziobem nie przestaje pukać,
Jak dziecko gdy schowane, woła, by go szukać.
Bliżej siedzi wiewiórka, orzech w łapkach trzyma,
Gryzie go; zawiesiła kitę nad oczyma,
Jak piórko nad szyszakiem u kirasyera:
Chociaż tak osłonią, dokoła spoziera,
Dostrzegłszy gościa, skacze gajów tanecznicą
Z drzew na drzewa, miga się jako błyskawica;
Nakoniec w niewidzialny otwór pnia przepada,
Jak wracająca w drzewo rodzime Dryada.
Znowu cicho.

Wtem, gałęź wstrzęsła się trącona,
I pomiędzy jarzębin rozsunione grona,

ADAM MICKIEWICZ.

Krańsze od jarzębin zajaśniały lica:
To jagód, lub orzechów zbieraczka, dziewica.
W króbeczce z prostej kory, podaje zebrane
Brusznice świeże, jako jej usta rumiane.
Obok młodzieniec idzie, leszczynę nagina:
Chwyta w lot migające orzechy dziewczyna.

W tém, usłyszeli odgłos rogów i psów granie:
Zgadują, że się ku nim zbliża polowanie,
I pomiędzy gałęzi gęstwą, pełni trwogi,
Zniknęli nagle z oczu — jako leśne bogi.

TRZECH BUDRYSÓW.

Stary Budrys trzech synów, tęgich jak sam Litwinów,
Na dziedziniec przyzywa i rzece:
„Wyprowadźcie rumaki i narządźcie kulbaki,
A wyostrzcie i groty i miecze.

Bo mówiono mi w Wilnie, że otrąbią niemylnie,
Trzy wyprawy na świata trzy strony:
Olgierd Ruskie posady, Skirgiełł Lachy sąsiady,
A książdz Kiejstut napadnie Teutony.

ADAM MICKIEWICZ.

Wyście krzepcy i zdrowi, jedźcie służyć krajowi,
Niech Litewskie prowadzą was bogi!
Tego roku nie jadę, lecz jadącym dam radę:
Trzej jesteście i macie trzy drogi.

Jeden z was pobiedz musi, za Olgierdem ku Rusi,
Po nad Ilmen, pod mur Nowogrodu;
Tam sobole ogony i srebrzyste zasłony,
I u kupców tam diengi jak lodu.

Niech zaciągnie się drugi, w księdza Kiejstuta cugi,
Niechaj tępi Krzyżaki psubraty:
Tam bursztynu jak piasku, sukna cudnego blasku,
I kapłańskie w brylantach ornaty.

Za Skirgiellem niech trzeci, po za Niemen poleci,
Nędzne znajdzie tam sprzęty domowe:
Ale za to wybierze — dobre szable, puklerze,
I mnie ztamtąd przywiezie synowę.

Bo nad wszystkie ziem branki, milsze Laszki kochanki,
Wesolutkie jak młode koteczki,
Lice bielsze od mleka, z czarną rzesą powieka,
Oczy błyszczą się jak dwie gwiazdeczki.

ADAM MICKIEWICZ.

Ztamtąd ja przed pół wiekiem, gdym był młodym człowiekiem,

Laszkę sobie przywozłem za żonę:
A choć ona już w grobie, jeszcze dotąd ją sobie
Przypominam, gdy spojrzę w tę stronę.“

Taką dawszy przestrogę, błogosławił na drogę:

Oni wsiedli, broń wzięli, pobiegli.
Idzie jesień i zima, synów niema i niema;
Budrys myślał że w boju polegli.

Po śniegowej zamieci, do wsi zbrojny mąż leci,
A pod burką wielkiego coś chowa.

„Ej! to kubał, w tym kuble, nowogrodzkie są ruble?“
— „Nie mój ojciec — to Laszka, synowa!“

Po śnieżystej zamieci, do wsi zbrojny mąż leci,
A pod burką wielkiego coś chowa.

„Pewnie z Niemiec mój synu, wieziesz kubał bur-
sztynu?“
— „Nie mój ojciec — to Laszka, synowa!“

Po śnieżystej zamieci, do wsi jedzie mąż trzeci,
Burka pełna, — zdobyczy tam wiele:

ADAM MICKIEWICZ.

Lecz nim zdobyć pokazał, stary Budrys już kazał,
Prosić gości na trzecie wesele.

ROZMOWA WIECZORNA.

I.

Z Tobą ja mówię, co królujesz w niebie,
A razem gościsz w domku mego ducha;
Gdy północ wszystko w ciemnościach zagrzebie,
I czuwa tylko zgryzota i skrucha:
Z Tobą ja mówię! słów nie mam dla Ciebie;
Myśl Twoja, każdej myśli mej wysłucha,
Najdalej władasz i służysz w pobliżu,
Król na niebiosach — w sercu mem, na krzyżu.

I każda dobra myśl, jak promień wraca
Znowu do Ciebie, do źródła, do słońca.
I nazad płynąc, znowu mię ozłaca,
Szłą blask: blask biore i blask mam za gońca.
I każda dobra chęć Ciebie wzbogaca,
I znowu za nią płacisz mi bez końca:
Jak Ty na niebie; Twój sługa, Twe dziecię,
Niech się tak cieszy i błyszczy na świecie!

ADAM MICKIEWICZ.

Tyś król, o cuda! i Tyś mój poddany!
Każda myśl płocha jako włócznia nowa,
Otwiera Twoje niezgojone rany;
I każda chęć zła jest gąbka octowa,
Którą do ust Twych zbliżam zagniewany —
Póki Cię moja złość w grobie nie schowa,
Cierpisz, jak sługa panu zaprzędany:
Jak Ty na krzyżu, Twój pan, Twoje dziecię,
Niechaj tak cierpi i kocha na świecie.

II.

Kiedym bliźniemu odsłonił myśl chorą
I wątpliwości raka, co ją toczy:
Zły wnet ucieczką ratował się skorą,
Dobry zapłakał — lecz odwracał oczy.
Lekarzu wielki! Ty najlepiej widzisz
Chorobę moją, a mną się nie brzydzisz!

Gdym w obec bliźnich dobył z głębi duszy
Głos przeraźliwszy niżli jęk cierpienia,
Głos wiecznie grzmiący w piekielnej katuszy,
Cichy na ziemi, głos złego sumienia:
Sędzio straszliwy! Tyś ognie rozdmuchał
Sumieniu złemu — i Tyś mnie wysłuchał!

ADAM MICKIEWICZ.

III.

Gdy mnie spokojnym zowią dzieci świata,
Burzliwą duszę kryję przed ich okiem,
I obojętna duma jak mgły szata,
Wewnętrzne pioruny pozłaca obłokiem;
I tylko w nocy, cicho, na Twe łono,
Wylewam burzę we łzy roztopioną!

JULIUSZ SŁOWACKI.

1809 + 1849.

H Y M N

O ZACHODZIE SŁOŃCA NA MORZU.

Smutno mi Boże! Dla mnie na zachodzie,
Rozlałeś tęczę blasków promienistą;
Przedemną gasisz w lazuruwej wodzie
Gwiazdę ognistą.
Choć mi tak niebo Ty złocisz i morze:
Smutno mi Boże!

Jak puste kłosa z podniesioną głową,
Stoję rozkoszy próżen i dosytu;
Dla obcych ludzi mam twarz jednakową,
Ciszę błękitu.
Ale przed Tobą głąb serca otworzę:
Smutno mi Boże!

Jako za matki odejściem się żali
Mała dziecina, tak ja płaczu bliski,
Patrząc na słońce co mi rzuca z fali
Ostatnie błyski!

JULIUSZ SŁOWACKI.

Choć wiem, że jutro błysnie nowe zorze:
Smutno mi Boże!

Dzisiaj na wielkiem morzu obłąkany,
Sto mil od brzegu i sto mil przed brzegiem,
Spotkałem lotne w powietrzu bociany,
Długim szeregim.

Żem je znał kiedyś na polskim ugorze:
Smutno mi Boże!

Żem często dumał nad mogiłą ludzi;
Żem nieznał prawie rodzinnego domu;
Żem był jak pielgrzym co się w drodze trudzi
Przy blaskach gromu:
Że nie wiem gdzie się w mogile położę:
Smutno mi Boże!

Ty będziesz widział moje białe kości,
W straż nieoddane kolumnowym czołom;
Alem jest jako człowiek co zazdrości
Mogił — popiołom.
Więc że nieznanne gotujesz mi łożę:
Smutno mi Boże!

Kazano w kraju, niewinnej dziecinie
Modlić się za mnie codziennie, a ja przecie

JULIUSZ SŁOWACKI.

Wiem, że mój okręt nie do kraju plynie
Płynąc po świecie.
Więc że modlitwa dziecka nic nie może:
Smutno mi Boże!

Na tęczę blasków, którą tak ogromnie
Anieli Twoi w niebie rozpostarli,
Nowi gdzieś ludzie w sto lat będą po mnie
Patrzący — marli . . .
Nim się przed moją nicością ukorzę:
Smutno mi Boże!

W PAMIĘTNIKU.

Niechaj mię Zośka o wiersze nie prosi,
Bo kiedy Zośka do Ojczyzny wróci,
To każdy kwiatek powie wiersze Zosi,
Każda jej gwiazdka piosenkę zanuci.
Nim kwiat przekwitnie, nim gwiazdeczka zleci,
Słuchaj — bo to są najlepsi poeci.

Gwiazdy błękitne, kwiateczki czerwone,
Będą ci całe poemata składać.
Jabym to samo powiedział co one,
Bo ja się od nich nauczyłem gadać;

JULIUSZ SŁOWACKI.

Bo tam, gdzie lkwę srebrne fale płyną,
Byłem ja niegdyś — jak Zośka — dzieciną.

Dzisiaj daleko pojechałem w gości,
I dalej los mię nieszczęśliwy goni.
Przywieź mi Zośko od tych gwiazd światłości;
Przywieź mi Zośko z tamtych kwiatów woni;
Bo mi zaprawdę odmłodnieć potrzeba.
Wróć mi więc z kraju taką — jakby z nieba.

ROZŁĄCZENIE.

Rozłączeni, lecz jedno o drugim pamięta:
Pomiędzy nami lata biały gołąb smutku
I nosi ciągle wieści. Wiem, kiedy w ogródku,
Wiem kiedy płaczesz w cichej komnacie zamknięta.

Wiem, o jakiej godzinie wraca bolu fala,
Wiem, jaka ci rozmowa ludzi lżę wyciska,
Tyś mi widna, jak gwiazda, co się tam zapala;
I lżę różową leje i skrą siną błyska.

A choć mi teraz ciebie oczyma nie dostać,
Znając twój dom i drzewa ogrodu i kwiaty,
Wiem, gdzie malować myślą twe oczy i postać,
Między jakimi drzewy szukać białej szaty.

JULIUSZ SŁOWACKI.

Ale ty próżno będziesz krajobrazy tworzyć,
Osrebrzać je księżycem i promień światłem;
Nie wiesz, że trzeba niebo zwać i położyć
Pod oknami — i nazwać jeziora błękitem.

Potem jezioro z niebem dzielić na połowę,
W dzień zasłoną gór jasnych, w nocy skał szafirem;
Nie wiesz, jak włosem deszczu skałom wieńczyć głowę,
Jak je widzieć w księżycu określone kirem.

Nie wiesz, nad jaką górą wschodzi ta perelka,
Którąm wybrał dla ciebie za gwiazdeczkę stróża;
Nie wiesz, że gdzieś daleko aż u gór podnóża,
Nad jeziorem, dojrzałem dwa z okien światelka.

Przywykłem do nich, kocham te gwiazdy jeziora,
Ciemną mgłą oddalenia od gwiazd nieba krwawsze;
Dziś je widzę, widziałem zapalone wczora;
Zawsze mi świecą smutno i blade, lecz zawsze.

A ty wiecznie zagasłaś nad biednym tulaczem;
Lecz choć się nigdy nigdzie połączyć nie mamy,
Zamilkniemy na chwilę i znów się wołamy,
Jak dwa smutne słowiki co się wabią płaczem.

JULIUSZ SŁOWACKI.

W SZWAJCARYI.

I.

Odkąd zniknęła jak sen jaki złoty,
Usycham z żalu, omdleвам z tęsknoty.
I nie wiem czemu ta dusza z popiołów
Nie wylatuje za nią do Aniołów?
Czemu nie leci za niebieskie szranki,
Do tej zbawionej i do tej kochanki.

II.

W szwajcarskich górach jest jedna kaskada,
Gdzie Aar wody błękitnemi spada.
Pozwól tam spojrzeć zawróconej głowie.
Widzisz tę tęczę na burzy w parowie?
Na mgłach srebrzystych cała się rozwiesza,
Nic ją nie zburzy i nic ją nie zmiesza;
A czasem tylko jakie białe jagnię
Przez tęczę idzie, na skraju doliny
Szczypać kwitnące róże i leszczyny;
Lub jaki gołąb, co wody zapragnie,
Jakby się blaskiem pochwalić umyślnie,
Przez tęczę szybko przeleci i błysnie.
Tam ją ujrzałem! i wnet rozkochany,
Że z tęczy wyszła i z potoku piany



Do poematu J. Słowackiego „W Szwajcaryi“.

Rysunek E. M. Andriollego.

JULIUSZ SŁOWACKI.

Wierzyć zacząłem i wierzę do końca:
Tak jasną była od promieni słońca!
Tak pełna w sobie anielskiego świtu!
Tak rozwidniona źrenicą z błękitu!
Gdy oczy przeszły od stóp do warkoczy,
To zakochały się w niej moje oczy;
A za tym zmysłem co kochać przymusza,
Poszło i serce, a za sercem dusza.
I tak się zaczął romans prędko kleić,
Że chciałem do niej przez kaskadę lecieć;
Bo się lękałem, że jak widmo blade,
Nim dusza ze snu obudzona krzyknie,
Upadnie w przepaść, w tęczę i w kaskadę,
I roztopi się — i zgaśnie — i zniknie.
I byłem jak ci, co się we śnie boją,
Bo jużem kochał, bo już była moją.
I tak, raz pierwszy spotkałem ją samą
Pod jasną tęczy różnobarwnej bramą;
Powiew miłości owiał mię uroczy,
Stałem przed nią i spuściłem oczy.

III.

Poszedłem za nią przez góry, doliny:
I szliśmy razem u stóp tej lawiny,
Gdzie śnieg przybiega aż do stóp człowieka

JULIUSZ SŁOWACKI.

Splaszczoną pletwą, jak delfin olbrzymi;
Para mu z nozdrza srebrzystego dymi,
A Rodan z paszczy błękitnej ucieka.
Pamiętam chwilę . . . poranek był skwarny,
Tameśmy szmerem spłoszyli dwie sarny;
Te, jakby szczęścia ludzkiego świadome,
Stały blisko, złote, nieruchome,
I utopily oczu błyskawice,
W kochanki mojej błękitne źrenice;
I długo patrząc, nieruchome obie,
Głowy płomienne pokładły na sobie.
Rzekłem: one się zakochały w tobie!
Rzekłem — i za to z ust zamkniętych skromnie
Najpierwszy uśmiech jej przyleciał do mnie,
Przyleciał szybko i wrócił z podróży,
Do swego gniazda, do pereł i róży;
A gdy zobaczył, że oczu nie mrużę,
Całą jej białą twarz zamienił w różę.
A wiecie? ani tak za serce chwyta
Rumieniec kwiatu, co świeżo rozkwita;
Ani tak oko wędrowca zachwyca,
Gór nad-alpejskich śnieżysta dziewica,
Kiedy od słońca różane ma lica:
Jak ten rumieniec bez wstydu i grzechu,
Co się na twarzy urodził z uśmiechu.

JULIUSZ SŁOWACKI.

IV.

Odtąd szczęśliwi byliśmy i sami,
Płynąc szwajcarskich jezior błękitami;
I nie wiem, czy tam była łódź pod nami,
Bom z duchy prawie zaczynał się bratać,
Chodzić po wodach i po niebie latać,
A ona tak mię prowadziła wszędzie!
Ach! ona była jak białe łabędzie,
Była jeziora błękitnego panią;
Płynęła lecąc, łódź leciała za nią,
Za łodzią jasność szafirowym szlakiem,
Za tą jasnością rybek korowody,
I wyrzucały się aż do niej z wody;
I z takimeśmy płynęli orszakiem,
Uśmiechając się w błękitu krainie.
Bo ona była jak wodne boginie:
Miała powozy z delfinów, z gołębi,
I kryształowe pałace na głębi,
I księżycowe korony w noc ciemną . . .
I mogła była co chce zrobić ze mną.

V.

Raz, że nie była niebieskim aniołem,
Myślałem całe długie pół godziny,
Wyspowiadałem się potem z tej winy —

JULIUSZ SŁOWACKI.

Słuchajcie! Oto przed Tella kościołem
Pierwsza na kamień wyskoczyła płocha,
I powiedziała mi w głos — że mnie kocha,
I odesłała mnie znów na jezioro;
Łódkę mą — piersią odtrąciwszy białą . . .
A ja, ach! nie wiem, co się ze mną stało!
Czy mnie anieli do nieba zabiorą,
Czy grzmiące fale jeziora pochłoną,
Czy uśmiechami rozrywa się łono,
Czy serce jak lód rozegrzany taje,
Czy dusza skrzydeł anielskich dostaje,
Czyli w nią wstąpił cały anioł złoty?
Czyli uśmiechów pełna, czy tęsknoty?
Wszystkie uczucia gwałtownemi loty
Na serce spadły, jak gołębi chmura
Pić łąy i białe w niem obmywać pióra,
Aby się czyste rozlecić po niebie . . .
Wtem zawołała łódź ze mną do siebie.
Usłyszała ją łódka i spostrzegła,
I sama do niej z błękitu przybiegła.

VI.

Pod ścianą ze skał i pod wieńcem borów
Stoi cichości pełna i kolorów
Tella kaplica. Jest próg tam na fali,
Gdzieśmy raz pierwszy przez usta zeznali,

JULIUSZ SŁOWACKI.

Że się już dawno sercami kochamy;
A pod tym progiem są na wodzie plamy
Od sosen, co się kolyszą na niebie,
I od skał cienia, gdzie mówiąc do siebie,
Wbite do wody trzymaliśmy oczy.
A pod tym progiem fala tak się toczy,
I tak swawolna i taka ruchoma,
Że wzięła w siebie dwa nasze obrazy,
I przybliżała, łącząc je rękoma,
Chociaż nas tylko łączyły wyrazy.
Ach! fala taka szalona i pusta!
Że połączyła nawet nasze usta,
Choć sercem tylko byliśmy złączeni.
Fala tak pełna ruchu i promieni,
Że jednym światła objąwszy nas kołem,
Zmieszała niby anioła z aniołem.
Gdy myślę, boleść dręczy mię niezmierna.
Falo! niewierna falo! — i tak wierna!

VII.

Raz mię ów anioł zaprowadził złoty
Przez jasne łąki do lodowej groty.
Tam ją obielił dzień alabastrowy;
I mróz na czole mej jasnej królowej
Perłami okrył wszystkie polne róże;
I ze sklepienia łązy leciały duże;

JULIUSZ SŁOWACKI.

A we łzach sylfy z jasnością ogromną
Deszczem spadały na białą i skromną.
Słyszając, że ściany płaczą coraz głośniej,
Cała się szatą okryła zazdrośniej,
I wszystko oczom ciekawym ukradła:
I jeszcze ręce skrzyżowane kładła
Na alabastry widne, choć zakryte.
Tak nieruchoma stała, a koło niej
Igrały tęcze w blaski rozmaite.
Ja wtenczas modlić się zacząłem do niej:

Ave Maria!

Jak biała róża, kiedy się rozwija,
Róż pokazuje z piersi odemkniętej:
Taki rumieniec wyszedł z lica świętej.
I zamyślona odwróciła głowę,
Palec na ściany kładąc kryształowe,
Jak ta, co imię ukochane kręśli,
Lub o błękitnych jakich myślach myśli.
Wreszcie się do mnie obróciwszy, rzekła:
Może za miłość ja pójdę do piekła,
I gdzieś w piekielne wprowadzona chłody,
Wszczepioną będę w kryształowe lody,
Jako ta bańka z powietrza i z tęczy . . .
Lecz prawda, rzekła, jeżeli się męczy
Ta jasność słońca stworzona promieniem,
Którą lód w sobie mrozi i zabija,

JULIUSZ SŁOWACKI.

Można ją z lodu uwolnić westchnieniem . . .
Ave Maria!

VIII.

Pójdziemy razem na śniegu korony!
Pójdziemy razem nad sosnowe bory,
Pójdziemy razem gdzie trzód jęczą dzwony,
Gdzie się w tęzowe ubiera kolory
Jungfrau, i słońce złote ma pod sobą;
Gdzie we mgle jeleni przelatuje skory;
Gdzie orły skrzydeł rozwianych żalobą
Rzucają cienie na lecące chmury;
O! moja luba, tam pójdziemy z sobą.
A jeśli z takiej nie wrócimy góry,
Ludzie pomyślą, że nas wzięły duchy
I gdzieś w niebieskie uniosły lazury.
Żeśmy się za gwiazd chwycili łańcuchy
I ulecieli z pelejad gromadą.
I tylko po nas potok spadnie głuchy,
I błyszczącą się łez rzuci kaskadą.

IX.

Ach! najszczęśliwi na ziemi nie wiedzą,
Gdzie duchy skrzydła na ramionach kładną,
Gdzie jak łabędzie zadumane siedzą?

JULIUSZ SŁOWACKI.

Ach! najciekawszi na świecie nie zgadną,
W jakim szalecie żyłem z moją miłą;
I wiele nam róż do okien świeciło,
I wiele wiszeń na około rosło,
Ile słowików na wiszniach się nosiło;
Ile tam w każdą noc miesięczną, bladą,
Kłóteń słowików płaczących z kaskadą;
Ile trzód naszych szło na łąkach dzwonić . . .
Ach! tego nawet śpiącym nie odsłonić,
Ani pokazać, ani zawrzeć w słowie . . .
Łąka i szalet i wisznie w parowie,
W takim parowie, że stróż anioł biały
Rozwijał skrzydła od skały do skały,
I nakrywał ten cały parów dziki,
Szalet — i róże — i nas — i słowiki.

X.

Lecz nadto było cyprysowej woni,
I nadto barwy, co się w różach płoni;
I chciała nas już miłość ująć zdradą.
Było to rankiem, pomnę, pod kaskadą:
Byliśmy niczem niestwożeni, sami,
Czytając książkę pełną lez, ze łzami.
Wtem duch mi jakiś podszeptnął do ucha,
Ażebym na nią z książki przeszedł okiem.
Była jak anioł, co myśli i słucha;

JULIUSZ SŁOWACKI.

I nagle takim przejrzystym obłokiem
Rumieniec smutny twarz jej umalował,
Że nie wiem dotąd, jak się wszystko stało,
Alem ją w usta różane całował,
I czułem ją tu, na mych rękach, białą,
Sercem bijącą, brylantową w oczach.
Wtem nagle, w jasnej kaskady warkoczach
Coś pomieszało się i coś urzekło;
Wiatr na nas rzucił całe wodne piekło,
I z kwiatów spłószył wilgotnemi mgłami.
Odtąd jużesmy nie czytali sami.

XI.

Odtąd w uśmiechach była dla mnie rzadsza,
Smutniejsza, cichsza i bielsza i bladsza.
W głębszych się coraz zanurzała cieniach,
I obrywała róże na strumieniach;
Albo przy kaskad naciągniętej lutni
Stawała słuchać, tak jak ludzie smutni
Z twarzą spuszczoną; lub sama w ustroni
Ręce na białą zakładała szyję,
Jak ta, co boi się, albo się brani.
Lub jako gołąb, co w strumieniu pije,
Do nieba jasnym wzlatywała okiem.
Już wolnym, sennym błąkała się krokiem,

JULIUSZ SŁOWACKI.

I jaskółeczek utraciła zwinność,
I zadumała ją całą — niewinność.

XII.

Widząc ją taką, chciałem bronić siebie
I rzekłem: Luba! jak Bóg jest na niebie,
Z sercaś mi wszystko odpuścić powinna;
Lilija jedna wszystkiemu jest winna.
Otoś ty wczoraj w tem źródle co bije,
Na jasnej łące myła twarz i szyję;
A tam za tobą prosta, niedaleka,
Jak służebnica co z rąbkami czeka,
Lilija jedna, cała jasna, w bieli,
Oczekiwała, aż wyjdiesz z kąpieli.
Widząc was obie takie białe, w parze,
Myślałem, że śpiąc o aniołach marzę;
I drżeć zacząłem i zadrzałem wszystek,
I jeden tylko poruszyłem listek,
Ten listek inne poruszył listeczki,
I szmer się zrobił — ty wybiegłaś z rzeczki;
I takeś prędko uciekała złąką,
Żeś łonem kwiatu potraçała pręty;
I lilijowa wnet lodyga pękła,
I kwiat z niej upadł twoją piersią ścięty;
A jam rozważać zaczął z twarzą bladą,
Jak ten kwiat kruchy, jak ty jesteś zwinna.

JULIUSZ SŁOWACKI.

I oto dzisiaj, rankiem, pod kaskadą,
Nie jam był winien — lecz lilija winna.

XIII.

Płonęła wonna jak kadzidło mirry,
I widać było, że nie wiedząc płonie.
Głębszemi oczów stały się szafiry,
I prędsza fala białości na łonie.
I dziwnym ogniem rozpalone skronie
Wczesne zwiędnięcie dawały bławatkom.
Ona z tych była, co się skarżą matkom;
I skarżyła się gwiazd cichej gromadzie,
Gdy do snu księżyc niepełny się kładzie,
Gdy kwiaty szepcą miłośnie do ucha,
Co zamyślona własnych myśli słucha.

XIV.

Czy ty gdzieś teraz, o miła! z rozpaczą
Aniołom boskim mówisz rozżalona?
Jak ci, co mówią skarżąc się i płaczą,
Że była burza gromami czerwona,
Że była grota posępna i ciemna,
I w grocie z kaskad kryształu zasłona;
Że była trwoga w ciemności tajemna,
Razem niepamięć jakaś boskiej kary;
I skarga smutna czystych Nimf, podziemna,

JULIUSZ SŁOWACKI.

Że nas tam samych dzień odstąpił szary,
I zastał z twarzą ognistą przy twarzy;
I ptasząt nas tak obudziły gwary.
Mówisz ty o tem? jak ta, co sie skarży?
O! nie mów ty tak aniołom, niebieska!
Bo każda twoja brylantowa łezka
Jednemu będzie z tych jasnych pożarem.
Bo ja, ach! gdybym był także aniołem
Z rozpromienionem na błękitach czołem,
I nieskończoność całą miał obszarem,
I mógł zarządzać gwiazdami wszystkiemi:
Nie chciałbym gwiazdy niebieskiemi świecić,
Lecz tylko rzucić błękity i leciść,
I taką, jak ty, mieć moją — na ziemi.

XV.

Z grotty ta piękna wyjść nie śmiała sama.
Słońca się może bała na lazurze,
Że za promienne będzie i za duże,
Albo, że będzie jako czarna plama.
Ale na niebie była z tęczy brama,
Na wypłakanej rozwieszona chmurze.
Wyszła — i naprzód ją zdziwiły róże,
Że takie były jak wczoraj różowe.
Zerwała jedną i podniosła głowę,
I zadziwiła ją ta tęcza ranna,

JULIUSZ SŁOWACKI.

Niebios błękitnych przezroczystość szklanna,
Krażek księżyca tonący w błękiecie.
Zda się, że nowe ją zdziwiło życie,
Tak w ciszy czegoś słuchała, tak biegła
Aż gdzieś w kryształach jeziora spostrzegła
Na licu swoim, przezroczystsą białość,
Żywszy ust koral i większą omdloność,
I uśmiech pełny tęsknoty, i żalność.
Więc osłoniła się cała w warkoczu,
I więcej na mnie nie podniosła oczu.

XVI.

Jest chwila, gdy się ma księżyc pokazać,
Kiedy się wszystkie słowiki uciszą,
I wszystkie liście bez szelestu wiszą,
I ciszej śródła po murawach dyszą;
Jakby ta gwiazda miała coś nakazać,
I o czym cichem pomówić ze światem,
Z każdym słowikiem, z listeczkim i z kwiatem.
Jest chwila, kiedy ze srebrzystą tęczą
Wychodzi blady pierścionek Dyanny;
Wszystkie się wtenczas słowiki rozjęczą,
I wszystkie liście na drzewach zabrzączą,
I wszystkie źródła jęk wydają szklanny;
O takiej chwili, ach! dwa serca płaczą,
Jeśli coś mają przebaczyć — przebaczą;

JULIUSZ SŁOWACKI.

Jeżeli o czem zapomnieć — zapomną.
O takiej chwili, z moją panią skromną
Jużeśmy siedli w naszych progach sielskich,
Już rozmawiali o rzeczach anielskich.

XVII.

Jak śpiewający na niebie skowronek
Z gór słyhać było pustelnika dzwonek.
Rzekła raz: „Chodźmy do staruszka celi,
Może rozgrzeszy, może rozweseli,
Dłonie nam zwiąże i kochać ośmieli“.
Tak mówiąc wbiegła do sosnowej chaty,
Szybko zamknęła wszystkie okiennice,
Ażeby na nią nie patrzyły kwiaty;
I ustroiwszy się jak gór dziewice,
Wybiegła do mnie — myślałem, że padnę! . . .
Ani jej oczy kiedy takie ładne,
Ani jej usta takie były świeże.
Motyla miała czarnego na głowie,
Ten alabastrów od smagłości strzeże;
I przeświecony od słońca w połowie,
Na czoło rzuca skrzydła cieniu duże;
A pod motylem pochowane róże
Z pod czarnej gazy patrzyły ciekawe,
Na pół zamknięte, świeże, jeszcze łzawe;
Wiedząc, że zawsze strzegę serca strony,

JULIUSZ SŁOWACKI.

Złośliwy motyl usiadł przechylony.
Myślałem, że mu to skrzydło połamię . . .
Siadł i na lewe przechylił się ramię.
I któżby wierzył w przeczucia, co straszą,
Gdy wyobraźnia cała szczęściem dumna!
Gdym z góry spojrział na dolinę naszą,
Szałet się oku wydawał jak trumna;
Malańki, cichy; kiedym spojrział z góry,
Nasz ogród z wiszeń jak cmentarz ponury,
I niespokojne o nas gołębnice,
I zadumane o nas w łąkach trzody,
Ziemia smutniejsza, błękitniejsze wody,
Zabite śmierci ćwiekiem okiennice;
Wszystko zaczęło mię straszyc i smucić,
Jakbyśmy nigdy nie mieli powrócić.
Szedłem posepny i drżący na góry . . .
Jeziora czarne, głazy, śniegi, chmury,
Girlandy z orłów na błękitnym lodzie,
Słońce czerwone jak krew o zachodzie,
Dom pustelnika śniegiem przysypany,
I dwa ogromne na straży brytany;
Krzyżyk na celi gdzie siadały gile,
Cela, pustelnik stary, księgi w pyle,
Wszystko to dzisiaj już podobne snowi . . .
Pamiętam tylko, że promień zachodu
Cały się na twarz rzucał Chrystusowi,

JULIUSZ SŁOWACKI.

Kiedy na palec jej zimny jak z lodu
Kładłem pierścionek

XVIII.

Gaje, doliny, łąki i strumienie!
O nie pytacie wy mię smutne o nią.
Są łyzy, co mówić na zawsze zabronią,
A kiedy mówię, wpadam w zamyślenie;
I widzę jasne, błękitne spojrzenie,
Co się zaczyna nademną litować,
I widzę usta, co mię chcą całować,
I drzę — i znow mię orgarną płomienie.
I nie wiem, gdzie iść i gdzie oczy schować?
I gdzie łyzy ukryć? i gdzie być samotnym?
I stoję błądy i kreślę jej rysy,
Lub imię piszę na piasku wilgotnym;
Lub błędę między róże i cyprysy,
Jak człowiek, który skarb drogi postrada,
Zmysły utracił, i płacząc, usiada
Tam, kędy urny na grobowcach siedzą,
Myśląc, że groby o niej co powiedzą.

XIX.

Jest pod mojemi oknami fontanna,
Co wiecznie jęczy zapłakany szumem;

JULIUSZ SŁOWACKI.

Jest jedno drzewo, gdzie harfowym tłumem
Żyją słowiki; jedna szyba szklanna,
Gdzie co noc blada zaziera Dyanna,
I czoło moje smutnym blaskiem mami.
I tak mię budzą zalanego łzami —
To drzewo, księżyc ten i ta fontanna.
I wstaję blady, przez okno wyzieram,
Słuchając różnych płaczów na dolinie.
Słowiki jęczą i fontanna płynie,
Mówią mi o niej — ja serce otwieram
I o śmierć prędką modłę się z rozpaczą,
I schnę, i więdnę — i — ach! nie umieram . . .
I co dnia budząc mnie, fontanny płaczą.

XX.

Kiedy się myślą w przeszłości zagłębię,
Nie wiem, jak sobie jej postać malować?
Czy kiedy przyszła śpiącego całować,
Jak z rozwartemi skrzydłami gołębie?
Czy wtenczas, kiedy uciekała trwożna?
Czy, gdy na jedną z mną księgi kartę
Wbijala oczy błękitne, otwarte,
Na każde moje spojrzenie ostrożna?
Czy, kiedy wiejskim otoczona dworem
Chodziła gdyby zakłeta królowa?
Czy kiedy cicho uśnie pod jaworem?

JULIUSZ SŁOWACKI.

Czy kiedy goni, czy kiedy się chowa
W księżycu blasku biała, lub wieczorem
Od Alp na śniegu różowych, różowa.

XXI.

Zkąd pierwsze gwiazdy na niebie zaświecą
Tam pójdę, aż za ciemnych skał krawędzie.
Spojrzę w lecące po niebie łabędzie,
I tam polecę — gdzie one polecą.
Bo i tu, i tam, za morzem, i wszędzie,
Gdzie tylko poszlę przed sobą myśl biedną,
Zawsze i smutno, i wszędzie mi jedno;
I wszędzie mi źle — i wiem, że źle będzie.
Więc już nie myślę teraz tylko o tem,
Gdzie wybrać miejsce na smutek łaskawe;
Miejsce, gdzie żaden duch nie trąci lotem
O moje serce rozdarte i krwawe;
Miejsce, gdzie księżyc przyjdzie aż pod ławę,
Idąc po fali . . . zaszeleści złotem,
I załaskocze tak duszę tajemnie,
Że stęskni, ocknie się — i wyjdzie ze mnie.

DO KOBIETY.

Choć serce znęcisz krwawych ocz kryształem,
Lub je podeptasz czeźej myśli suchością,
Nie będziesz jeszcze żywym ideałem,
Nie będziesz jeszcze niewieścią pięknością.

Skromność bez wiedzy, lub rumiane lice,
Również się dzisiaj na mało przydały —
Nie być — lecz wyrość musisz na dziewicę,
Przechodząc zwolna świat ten bolu cały.

A gdy z twych natchnień i mąk i łez mnóstwa,
Wybłyśnie w końcu święty promień Bóstwa,
I twarz ci zleje światłem wiecznotrwałem;

Gdy na twem bladym, marmurowym czole,
W wieniec się mocy spleją życia bole:
Wtedy Pięknością, wtedy Ideałem!

ZYGMUNT KRASIŃSKI.

UŁAMEK

Z GLOSSY ŚW: TERESY.

Przed życiem czuję, nie przed śmiercią trwogę —
Bo takie światy widzę tam przed sobą,
Że mi ten ziemski, grobową żalobą,
I tem umieram — że umrzeć nie mogę!

Umrzec lub cierpieć! a cierpieć bez miary!
Bo mnie się z Tobą trza zlać w Twojem niebie,
Lub gdy niemożna — żyć w piekle dla Ciebie!
Ślij mi więc męki jak niebieskie dary!
Im sroższe będą — tem mi więcej błogie —
Ja przed spokojem tylko czuję trwogę
I tem umieram, że umrzeć nie mogę.
Jedynej ulgi na moje męczarnie,
— A jedna tylko i śmierć się nazywa —
Śmierci dać sobie niezdolam bezkarnie!
O! bardzom Panie, bardzom nieszczęśliwa!
Tę jedną szczęścia Tyś zamknął mi drogę:
I tem umieram, że umrzeć nie mogę!

Czasem Cię tylko widuję w widzeniu,
Lecz Ty nie raczysz długo ze mną zostać,
Wnet niknie Bożo-człowiecza Twa postać,

ZYGMUNT KRASIŃSKI.

I w gorszem jeszcze konam znicestwieniu!
— Przed chwilą byłam w wieczności rozlana,
Nikt nie rozeznałby sługi od Pana —
Ty Bóg, Ty dla mnie stawałeś się mały,
A ze mnie małej — wyrastał Bóg cały!
Tyś się zamykał w mem sercu jak w grobie —
Jam się jak bezmiar szerzyła ku Tobie!
Przez nieskończonej łaski zezwolenie,
Stwórca przechodził na chwilę w stworzenie —
Stworzenie w Stwórcę, przez jedno westchnienie.

Mnie już tak było jakby po pogrzebie —
Bez ciała byłam na ziemi i w niebie.
Na wieki z Tobą, przy Tobie, u Ciebie!
W twarz Ci patrzałam — ale nie oczyma,
Bo na to wzroku ócz śmiertelnych niema.
Głos Twój słyszałam, lecz nie ziemskim słuchem,
Wszystkom widziała i słyszała — duchem!
A jednak Panie, Tyś jaśniał przedemną
Jakby słońce słońce, w którym kształt człowieka!
Ach! światło dzienne nocą wiecznie ciemną,
Przy tym promieniu co z Twych skroni ścieka.
Choć nie cielesny, widomszy niż ciało,
I słowo każde, co z ust Twych sphywało —
Dźwiękiem, dźwięczniejszym niż dźwięk ssan przez uszy,
Nie brzmiające, brzmiało jak pieśń w mojej duszy.

ZYGMUNT KRASIŃSKI.

I byłam z Tobą, oglądałam Ciebie —
Nie ukrytego w przenajświętszym chlebie,
Nie tajonego przesłonami cudu:
Lecz jakim bywasz wśród Aniołów ludu,
Tam, gdzie nad światem królujesz z Świętymi!
Takim Cię, takim tu miałam, na ziemi! —
Lepiej od Świętych widziałam Cię Panie,
Bo silniej kocham, goręcej niż Oni!
Już w domu wiecznym Tyś dał im mieszkanie,
A ja gdzie mieszkam? — co mnie strzeże, broni?
Gdy mnie porzucasz, zostaję w rozpacz —
Lecz ból i rozpacz, cóż to dla mnie znaczy?
Im bardziej tęsknię, tem kocham goręcej,
Im więcej męki — tem miłości więcej,
W tem piekle bożem bożego kochania,
Gdzie Twa obecność mnie nawet rozrania —
Bo chwilę później, Tyś znowu daleki,
I nim powracasz, upływają wieki!
Bez Boga mego — a z Boga wspomnieniem
Leżę na ziemi grobowym kamieniem —
A pod tym głazem mej niezruszoności,
Smutek przejada do szpiku me kości!
Żądam bez miary, miłuję bez granic,
Miłość i żądza nie zdały się na nic,
Zmienionam cała w jedno upragnienie,
Lecz Twojej woli w tych chwilach nie zmienię!

ZYGMUNT KRASIŃSKI.

Pan nieśmiertelny nie zstąpi do sługi,
Aż kiedyś, kiedyś, znowu po raz drugi!
I mimo Twoją — o Ty mój! przestroge,
Ja tem umieram że umrzeć nie mogę!

Albo Ty myślisz, o Ty wiecznie żywy,
Że Ciebie kocham za przyszłe nagrody,
Za obiecane w królestwie Twem gody,
Za palmy, harfy i cuda i dziwy —
Za jakąkolwiek bądź w niebie zapłatę,
Którąbys spłacił mi dni mych utratę?
Ja Ciebie kocham, żeś był nieszczęśliwy!
Że przebolełeś tu wszystko co boli,
Że zniósłeś wszystko co tylko poniża,
Ty Bóg, w kajdanach cielesnej niewoli,
Ty Bóg, przez katów prowadzon do Krzyża!
Ja Ciebie kocham — że Cię o tej chwili
Niebo odbiegło i ludzie zdradzili!
Ja Ciebie kocham — żeś był przymuszony
Wołać do Ojca: „O! ja opuszczony!“
Ja Ciebie kocham za Twoje konanie
I za śmierć więcej niż za zmartwychwstanie!
Bo mi się zdaje, że Ty zmartwychwstały,
Nie tyle biednej potrzebujesz sługi;
Już wtedy służy Ci Twój wszechświat cały, —
Stopą, powietrzne przelatujesz smugi!

ZYGMUNT KRASIŃSKI.

Lecz kiedy konasz, mnie się wiecznie zdaje,
Że wracam duchem w widziane już kraje,
Że oglądałam już wprzód to wzgórze
I krzyż Twój zboczony w krwi Twojej purpurze.
Że Magdalena, ta święta, Twa miła,
Co tam tak jęczy — to ja chyba była!
Bo w sercu mojem jej serce mi płacze,
Bo drżą mi w oczach wszystkie łzy jej oka,
I rozpacz moja, tak straszna, głęboka —
Że być nie mogą dwie takie rozpaczce!
Nie — ona Ciebie więcej nie kochała,
Ja wiem że ona wielka, a ja mała,
Bo mniej czynami Tobie zasłużona —
Lecz więcej Ciebie nie kochała ona!
Jakżeż to będzie mój Panie, mój Boże?
Jakżeż rozdzielić sądem Salomona
Tę jedną miłość, między te dwa łona?
— Bo dwóch miłości być takich nie może!

Nie, Ciebie więcej nie kochała ona!
Raz tylko w życiu, na Golgockim pyle
Leżała w płaczu, krwią Twoją zroszona —
Raz tylko jeden — a ja razy tyle!
Bo co noc prawie dla mnie się odtwarza
Kalwaryjskiego przytomność cmentarza,
I z po za wieków upłynionych tyła

ZYGMUNT KRASIŃSKI.

Wraca ta do mnie zobecniona chwila,
W której śród Niebios i ziemi zaćmienia
Zmarł Wszechstworzyciel — w obec wszechstworzenia!
Aż padnie z zorzą pierwszy promień dzienny
Widuję w celi tej krzyż Twój męczenny,
I na tem drzewie oglądam Twe ciało
Ostatkiem światła jeszcze tłące białe,
Gdy wszystko w okoł, jak w grobie, zczerniało!

Ty i ja Panie! nikt więcej — my sami
Tak bliscy siebie, a tak rozdzieleni;
Bo ja tu w dole pod Twemi stopami,
A Ty nademną, w tej strasznej przestrzeni,
Do kłód tych z cedru przybity gwoździami!
Zrazu ja klęczę w milczeniu, a cała
Drgająca ciałem od mąk Twego ciała.
Kolcują w skroniach mi kolce Twych skroni,
Rwą mnie w mych dłoniach żeleźca Twych dłoni —
W boku mnie szarpie boku Twego rana —
I choć tum w dole, takem z Tobą zлана,
Żem z Tobą w górze, tam, ukrzyżowana! . . .

Z PRZEDŚWITU.

Czy pamiętasz nad Alp śniegiem
Rozwieszony Włoch błękitny?
Nad jeziora włoskim brzegiem
Czy pamiętasz Alp granity?
Tam, z daleka — w niebo, przodem,
Pną się ostrza kryte lodem,
A tu bliżej, a tu niżej
Po za wzgórzem, sływa wzgórze;
Z winnic kapią bluszcz i róże,
Jednym rajem gór podnóże!
W wieczór, z rana — zwierciadlana
Fala bije niebios smug!
Na wód dole, na skał czole,
Jedna piękność — jeden Bóg!

Widzę jeszcze, widzę ciebie!
Z harfą stoisz na mej łodzi,
Gwiazd już kilka drży na niebie,
Z nad Alp szczytu księżyc wschodzi!
Widzę jeszcze, widzę Ciebie;
Na twych strunach twoje dłonie,
Iskra natchnień skrzy ci z lica,
Światłokręgiem twoje skronie



Do „Przedświtu“ Zygmunta Krasińskiego.
Rysunek E. M. Andriollego.

ZYGMUNT KRASIŃSKI.

Rozanielil blask księżycyca!
W fal przezrocza, w sieć z promieni
Zewsząd postać twa ujęta,
Na błękitnem tle przestrzeni,
Całaś srebrna, wniebowzięta!

Nabijaną światłem drogą
Łódka moja zwolna płynie;
Jakże lubo, jakże błogo,
Na szafirów tej głębinie.
Za jeziora przezrociami
Majaczeją wzgórza, skały,
I ty ze mną i my sami,
I tak piękny świat ten cały!

Nabijaną światłem drogą
Coraz dalej łódź ma płynie;
O! Anieli czuć nie mogą,
Co ja czuję w tej godzinie.

.

Coraz dalej twarz miesiąca
Nas prowadzi smugiem fal . . .
Płyńmy, płyńmy tak bez końca
W ciszę, w jasność, w błękit, w dal!

ZYGMUNT KRASIŃSKI.

Wód zwierciadła — gór widziadła,
Ziemia — niebo — jeden kraj!
Rzeczywistość się pomału
W świat przemienia ideału,
W sen ze srebra i kryształu!
— Daj mi teraz marzyć, daj!

ZAWSZE I WSZĘDZIE.

O! nie mów o mnie, gdy mnie już nie będzie,
Że ciebie tylko goryczą zraniłem,
Bo ja goryczy kielich także piłem:
Zawsze i wszędzie.

O! nie mów o mnie, gdy mnie już nie będzie,
Że tobie tylko los życia popsulem,
Bo własną dolę ja także zatrulałem;
Zawsze i wszędzie.

Ale mów o mnie, gdy mnie już nie będzie:
Że Bóg jest dobry że mnie schował w grobie,
Bo byłem sobie nieszczęśny i tobie:
Zawsze i wszędzie.

ZYGMUNT KRASIŃSKI.

Ale mów o mnie, gdy mnie już nie będzie:
Żem żył na świecie dzikim serca szalem,
Bo z serca ciebie — choć gorzko kochałem,
Zawsze i wszędzie.

Z AUTOGRAFU.

Jak kawał lodu skrzepło serce moje,
W oczach mi wyschły dawnych płaczów zdroje,
Żadnych już ułud niezaprzęgam nowych,
Spokój mój wielki jak głazów grobowych.
Wszystko marnością — i tem słowem koję
Duszę, co jeszcze wpada w niepokoje.
Co miłość? — nie wiem, z przyjaźni się śmieję,
Wiarem straciła, straciłam nadzieję,
I tak przed ludzi jak Boga obliczem —
Nic mi jest *wszystkiem* — i wszystko mi *niczem*.

Choć ziemia jęknie, niebo się zachmurzy,
Choć świat się wzruszy jak morze wśród burzy,
Wszystek rozpienion kłęsk i wścieklizn zlewem,
A z góry przykryt czarnym Bożym gniewem —
Zimną zostanę, ni będzie powodu

ZYGMUNT KRASIŃSKI.

Coby odłodził mą istotę z lodu;
Zimną zostanę jak owi umarli,
Co z siebie całkiem człowieczeństwo zdarli,
I bez współczucia patrzą z wichrów gdzieści,
Z mgły, z za chmur, z czyśca — na ludzkie boleści,
Sami męczarnią bez życia tak zdjęci,
Że tylko życia ten brak im w pamięci.
Ja taka sama umarła jak oni:
Nic już ziemskiego w mego serca toni,
I tak przed ludzi jak Boga obliczem,
Nic mi jest *wszystkiem* — i wszystko mi *niczem*.

Choćby krzyknęła nagle w okół tłuszcza:
— Oto na chmurach sam Chrystus się spuszcza,
Oto już trąbią na sąd aniołowie:
Duch mój i na to nic już nie odpowie.
W ciemnym pokoju moim pozostanę,
Ani wybiegnę na próg spojrzeć w górę
W niebo rozdarte, w zachwianą naturę,
I na dół, w tłumy strachem rozdeptane.
Choćbym i chciała ręce w modlitwiany
Krzyż jaki złożyć — zeschnę serca rany
Nie dadzą rękom. Chyba jak kolumna
Święta upadnę — i tak się potoczę
Bezuczuciowa, trupia, bezrozumna,
Bo duszy we mnie zagasło przezrocze,

ZYGMUNT KRASIŃSKI.

I tak przed ludzi, jak Boga obliczem
Nic mi jest *wszystkiem* i wszystko mi *niczem*.

Nic, nic niestety! oto słowa moje!
Oto ma wiara, moja tajemnica!
Przez nią, niczego w świecie się nie boję,
Przez nią mię w świecie już nie zachwyca!
Ach! jakże dawniej lękać się umiałam,
Ach! jakież dawniej rwały mnie zachwyty:
Kochałam morze, ląd, gwiazdy, błękity,
Cała z strun drżących — a dziś z głazu całam!
Ach! bo jednego człowieka kochałam . . .
I świat mi wszystek wyglądał od niego
Rajem dóbr świętych — dziś pustynią złego,
Złego i nudy — ciemnością, milczeniem,
Wszeczmartwiałością — a nie wszechstworzeniem.
Trumna bezdenna mnie się wydrążyła
W mem sercu, kędy nie mieszka już siła
Dawnych przywiązań — i najgorzej rani
Mnie, że ran dawnych niema w tój otchłani!
Póki ból — póty duch się jeszcze pieści,
Lecz bezboleśność — to piekło boleści!
Ach! za łzę jedną, z tych oczu mych lejną,
Dziesięć lat życia! bo bez tej łzy jednej
Jam potępioną już i beznadziejną
Na wieki wieków . . . i chleb mój powszedny

ZYGMUNT KRASIŃSKI.

Będzie: śmierć wieczna. O! ja biedna, biedna!
Boże! mój Boże! gdzie jest ta łza jedna?
Niech mi ją Anioł jaki tam wyjedna . . .
By mi przed ludźmi i Twojem obliczem
Wszystko nie było — tak jak jest — ach! *niczem!*

LEGIA TEBAŃSKA.

Zwycięstwo! zwycięstwo! Gall pierzcha w nieładzie,
Przed legią rzymską na polu;
I Cezar Maxymin już w myśli swej kładzie,
Na czoło swe laur w Kapitolu.

I niżli sam wrędcę, jak tuszy i marzy,
Cześć boską wśród Romy odbierze:
U stopni dla Marsa wzniesionych ołtarzy,
Bić sto głów rozkazał w ofierze.

Lecz cóż to? Falanga co tryumf odniosła,
Nie łączy się sama do innych;
I stoi jak głazem do ziemi przyrosła,
Zdała od obrzędów dziękczynnych.

Obaczył Maxymin starszyznę przewodnią;
Obwieszcza: starszyzna jak głucha.
Szyk stoi bez ruchu . . . O! zgrozo, o! zbrodnio,
Legia Cezara nie słucha!

A. E. ODYNICZ.

Gniew zawrzał w mocarzu: wtém wódz się jej zbliża
I rzecze: „Chcesz prawdy — o panie!
Tyś Wódz nasz i Cezar . . . lecz Bóg nasz, Bóg krzyża:
My Grecyi syny — Tebanie.

Bóg dał nas w moc twoją i wolę w tem Jego
Szanujem i znosim na ziemi;
Lecz On nam zakazał czić Boga cudzego...
W Nim żyjem — i umrzem wolnemi!“

— „Ha! śmierć więc wam wszystkim!“ I na głos tyrana,
Gromadzi się tłuszcza siepacza;
Zawiścią bodzona, wściekłością pijana,
Skazanych na zgubę otacza.

Lecz ostrzem ich włóczni pół pola się jeży,
Jak mury szeregi ich tarczy:
Przed ciosem zbójceckim co zewsząd w nich mierzy,
Czyż sił im na odpór nie starczy?

I tysiąc serc mężnych w szeregach pogańskich
Na hasło ich tylko drżąc czeka, —
By stanąć w obronie — nie praw chrześcijańskich,
Lecz swobód i prawa człowieka.

I Wiktor, Rzymianin, na świetnym rydwanie
Przybieżał i woła: — „O! Grecy!

Kto prawy syn Romy, ten za was dziś stanie;
Więc naprzód! wy piersi — my plecy!“

A na to wódz Greków: — „Nie nasza to droga,
Nie siłą ludzkiego oręża,
Lecz czystą ofiarą za prawdę, dla Boga,
Duch boży przez ludzi zwycięża“.

Wtem zabrzmiał znak straszny i zbójców okrzyki; —
I wpadli . . . Tebanie w tej chwili
Zrobiwszy znak krzyża, rozwarli swe szyki,
I oręż na ziemię rzucili.

I wszyscy: czy który pierś swoją odsłania,
Czy słabszy, co w żalu i skrusze
W modlitwie sił szuka na chwilę skonania:
Wszyscy radzi oddali swe dusze.

I widział Rzymianin i poczuł sam w sobie
Moc prawdy i krzyża zwycięstwo;
Uwierzył i wyznał i dotrwał w tej probie,
I z Greki podzielił męczeństwo.

Poganie sztydzi z słabości swych wrogów,
Maxymin się cieszył z ich zgonu;
Ci, widząc w nim pomstę i tryumf swych bogów,
On — pewność swej władzy i tronu.

A. E. ODYNEC.

Lecz w niebie Wszechmocny osądził inaczej:
Ta święta pokora ofiary,
Ta krew tyłu wiernych pod mieczem siepaczy,
Mąk i prób dopełnia snąc miary.

I w mało lat potem, krzyż z nieba widomy,
Oświecił pogromcą Cezarów:
Konstantyn go zatknął na szczycie wśród Romy,
I nad świat wznosił na ostrzu sztandarów.

BRANKI LITWINÓW*

DO LUCI, TERENI I MANI.

Lucia, Terenia, Mania, — łzami ubolewania,
Płacząc losu tych żon „Trzech Budrysów“:
Co to Łaszki, baranki, niewiniątka a branki,
U Litwinów, niedźwiedzi! tygrysów!

Zkądże takie współczucie? O! dość spojrzeć na Lucię,
Na Terenię — wesołe koteczki;
Dość się wpatrzeć w te czarne, Mani oczki figlarne,
Co się błyszczą jak z chmur dwie gwiazdeczki;

* Patrz Mickiewicz: „Trzech Budrysów“ str. 153.

A. E. ODYNIEC.

By dojść, że się w tym razie, same czując w obrazie,
Tak drżą przed nim ze wstrętem i trwogą...
Ach! a gorsza przyczyna, że snąć ze mnie, Litwina,
O Litwinach zdań zmienić nie mogą.

Lecz nie płaczcie! albowiem ja wiem i wam opowiem,
Dalszy koniec tej całej przygody:
Wieszcz ją przerwał na chwili, gdy synowie wrócili,
A dziad posłał zapraszać na gody.

A tymczasem trzy one, rozżalone, strwożone,
Nuż w płacz głośny, pokląkszy na ziemi!
Stary w głowę zachodził, cieszył, koił, łagodził,
Aż nakoniec, nuż płakać wraz z niemi!

Bo w myśl weszła mu Ona, ukochana, stracona:
Taką była, gdy wioził ją do domu;
Taką nieraz bywała, gdy go płacząc błagała,
Aby krzywdy nie czynił nikomu!

Zrozumiały filutki, łez i modłów swych skutki —
Więc do dziada z błagalnem wejrzeniem!
Nuż go chwycić za dłonie, nuż się tulić na łonie,
Dziad roztopniał jak wosk przed płomieniem.

— „Dzieci! krzyknął nareście — gośćmi memi jesteście,
Stary Budrys nie Krzyżak, nie zbojca!

A. E. ODYNYEC.

Przez Znicz i przez Perkuna! ja wam za opiekuna,
Ja wam stanę za stróża i ojca!

Hola! słuchać mię chłopcy! To me córki, — wy obcy;
Chcę was z niemi poswatać — lecz proba!
Nie dam żadnej żadnemu, aż się skłoni ku niemu,
Aż go sama bez musu podoba!“

Luci, Mani, Tereni, z ócz się radość promieni:
„O! z tych Laszek nie będzie Litwinek!“
Poczekajcie, bo przecie z *Lamè-Fleury* to wiecie,
Jak to było z porwaniem Sabineek.

Rzecz nie moja powody ich miłości i zgody;
Lecz jak prawdę największą rzekł Adam:
„Że nad wszystkie ziemianki, milsze Laszki kochanki“ —
Tak ja prawdę niemniejszą powiadam:

Że na całym tym świecie nie ma — i nie znajdziecie
Mężów lepszych, jak męże Litwini!
Każdy z nich na głos żony, jest jak niedźwiedź uczony,
A cierpliwy — jak wielbłąd pustyni.

A pytam pannę Lucię: nie mileż to uczucie
Czuć się w domu królową i panią?
Pytam pannę Terenię: źle to na swe skinienie
Mieć to wszystko co zechce? — A Manio?

A. E. ODYNEC.

Nieraz ci, jestem pewny: śnią się wschodnie królowy,
Słoń za konia i tron w palankinie!
Otóż, wszystko to prawie znaleźć możesz na jawie
W wsi litewskiej — i w mężu Litwinie.

A cóż mówić o lidze: o Jadwidze? . . . Lecz widzę
Że dość tego, co rzekłem już wprzody.
Mani, Tereni, Luci; nie dziwi już, nie smuci,
Że bez musu odbyły się gody.

MIŁOŚĆ I PRACA.

I gniew mię burzy i żal mię wzrusza,
Ilećroć widzieć mi trzeba,
Jak się anielska piękność i dusza,
Unuża w pracy dla chleba.

A tak dziwnego jest coś w tym razie
W owym i gniewie i bólu:
Jak gdybym świętą, com czcił w obrazie,
Ujrzał u żniwa na polu.

A. E. ODYNICZ.

I w tem uczuciu zda się odsłania
Tajna przeznaczeń zawilość:
Czem tu, z Boskiego snąć powołania,
Winny być: praca i miłość!

Praca na ziemi jest z sądu Pana
Karą ludzkiego rodzaju;
Lecz mu na ulgę miłość zesłana,
By nie zapomniał o raj.

Pracą grzech ciała odkupić trzeba,
Krewkość utrzymać w pokorze;
Lecz się przez miłość tylko, do nieba
Duch oczyszczony wznieść może.

I tylko miłość pracę uświęca,
Jak w pracy dla niej opieka.
Na to Bóg siłę tchnie w pierś młodzieńca,
Dziewicę w piękność obleka.

Wstyd więc młodziana trwodze próżniaczej,
Co się jej zrzeka opieki!
I drżąc przed pracą, woli się raczej
Miłości wyrzec na wieki.

A. E. ODYNIĘC.

Żal was i za was, córki Adama!
 Że wasza miłość i krasa,
Zamiast być pracy pobudką, — sama
 W ziemskich jej znojach zagasa!

Lecz jest Kto widzi, jest Kto zapłaci,
 Ku niemu tylko myśl wzniescie!
I kto wie — żali win męskiej braci
 Bóg nie odkupi w niewiście!

J. B. ZALESKI.
1802 † 1886.

ROJENIA WIOŚNIANE.

O! widać i słyhać — w ogródku skowronek
Z piosenką podleci, upadnie:
I moje kwiateczki z rozpukłych nasionek
Już wschodzą zielono i ładnie!
O! milsze krosienka,
I milej z okienka
Zadzwoni piosenka:
La — la — la — piosenka!

Po kwietnej, po świętej — z przewodnią niedzielą
Rozrosną się w słońcu kwiateczki,
I w pączki się zwiną, — rozwiną, wystrzelą
W czerwone, niebieskie listeczki.
O! milsze krosienka — i t. d..

Po cichu coś szepczą i młodzi i starzy,
O! łatwo odgadnąć z ich oczu:
Coś o mnie, o kwiatkach, — co? jakie do twarzy,
Co? jakie w mym upleść warkoczu?
O! milsze krosienka — i t. d.

J. B. ZALESKI.

O! wiem ja, wiem kogoś, co wszystko mi powie,
Zwierciadło mi prawdę odsłoni;
Liliję uplotę u wstążek na głowie,
Różyczkę we włosach u skroni.
O! milsze krosienka — i t. d.

Wieczorem, za dworem, gościniec w kurzawie,
Gość jedzie na wronym koniku;
O! prędzej, co prędzej u włosów poprawię,
Przepaskę zacisnę w staniku.
O! milsze krosienka — i t. d.

Gość jedzie: już w bramie; rzy konik z podwórka,
Mój Boże! ach, co go przywiódło?
I woła i pyta: „a państwo, a córka?”
I cugle zarzuca na siodło.
O! milsze krosienka — i t. d.

Od brzęku, od dźwięku ostrogi, szabelki,
Aż brzęczą, aż dźwięczą pokoje;
Aż skacze serduszko, bo wojak to wielki,
Wszelako, nie bardzo się boję.
O! milsze krosienka — i t. d.

Groziła mi ciocia . . . o! gdzie tam — co cioci!
Groziła z uśmiechem, nie szczerze:

J. B. ZALESKI.

„Bałamut!!“ — o gdzietam! — to anioł dobroci!
Bałamut? — nie wierzę, nie wierzę.
O! milsze krosienka — i t. d.

On idzie i kłania i zbliża się do mnie,
I mówi tak pięknie i z cicha;
Wstyd oczu mi podnieść — tak chwali nieskromnie;
Pochlebnik! O biedny! on wzdycha ...
O! milsze krosienka — i t. d.

O! dobry i grzeczny i miły chłopczyna!
Lecz będę, o będę ostrożna!
Całować chce różę ... dalibóg zaczyna ...
O! proszę! nie można! nie można!
O! milsze krosienka,
I milej z okienka,
Zadzwoni piosenka:
La — la — la piosenka!

PANNA MŁODA.

Owoż insza dzisiaj wcale!
W licach grają niby żale,
Słowo księdza u ołtarza
Ciągłe w uszach się powtarza,

„Mnóżcie się ku Bożej chwale,
Wierność — miłość — i na wieki!“
Mokre łzami jej powieki;
Widzi nowe obowiązki,
Świat nieznany i rozległy;
Śni o łatkach co ubiegły,
Jeszcze pachnie kwiat z gałązki:
Ale oto wnet obleci;
Pełna czarów jego krasa
Sama w sobie już przygasa:
Śnią się — dom i mąż i dzieci!
Dziwy, dziwy! i dziewczyna,
Co się dzieje — przypomina.

Lube družki na około,
Gwarzą, mizdrzą się wesoło,
Tulą się na siostry łonie;
Rówiennice — co na kwieciech
Z nią w porannych, miłszych leciech,
Przepląsały w dłoniach dłonie.
Czemuż ku nim dziś nieczuła?
W bładem czole już powaga:
Myśl — jak w całun się osuła,
Rzeczywistość oto naga
Niepokoje, smutek wzmaga.
Raj miłości wnet się prześni;

Bądź jej zdrowa luba maro!
Dźwięk ostatni oto pieśni,
Co czarował wiosnę jarą!
Dziwy, dziwy! i dziewczyna,
Co się dzieje — przypomina.

Pierzcha od niej w lot drużyna,
Oto krewni i rodzice
Zapłakane głaszczą lice,
Błogosławią jej do drogi:
Już po cierniach gdzieś żywota!
Skarb to święty — wiecznie błogi,
Dziatkom jej puścizna złota.
Serce się jak na gwałt miota;
Dziwna nowość w każdym słowie!
Co lat wiele, słodko, miło
Śnić się miało — już prześniło!
Przyszłość, straszna jak pustkowie,
Spłasza lube sny omamień,
Na miniony wiek zawala
Nagrobkowy niby kamień.
Rzeczywistość jeno zdala! . . .
Dziwy, dziwy! i dziewczyna
Co się dzieje — przypomina.

Po modlitwie — coś weselsza,
Wstaje oto sromem drżąca;

J. B. ZALESKI.

Płomienisty słup miesiąca
Oknem wpada. — Żywsza, bielsza
Jak w kąpielu myśl się zmaca:
Przezroczyste wskrós z pod rąbka
Muska ciało, szyję, włosy;
Niby z piórek swych gołąbka
Strząsa krople srebrnej rosy;
I świecąca, śliczna, hoża,
W lot podnosi się do łoża.
Blask miesięczny, zwierciadlany,
Opromienia jaśniej ściany;
Ptaszek w gniazdku oto marzy!
Coś po szerszej dziś pościeli,
Czemuś wzrokiem żywiej strzeli!
Płomyk jakiś mignie w twarzy!
Buchają mocniej woń od wieńca?
Słyszy kroki oblubieńca.
Dziwy, dziwy! i dziewczyna,
Co się dzieje — przypomina.

ŚPIEWAK TĘSKNIACY.

Nigdyż serce stęsknione,
Mar minionych nie prześni!

J. B. ZALESKI.

Wieczniez w jedną gdzieś stronę,
Zaczaruje me pieśni?

Jak świat długi, szeroki,
Z lutnią moją podróżną:
Zmieniam miejsca, widoki,
Ale zmieniam napróżno.

Przez miejsc tyle, chwil tyle,
Każdy dla mnie zakątek,
Wszystkie, wszystkie tu chwile,
Są bez wrażeń, pamiątek.

I to serce, o dziwo!
Tak czujące dziś mało:
Indziej biło tak żywo,
Tak promiennie kochało.

Ach! przed mokrą powieką,
Darmo dzień mi tu płonie!
Wzrok, jak pieśni — daleko,
Wiecznie w jednej tkwi stronie.

Ku niej tęsknię z wieczora,
Z jutrznią tęsknię i płacząc:
Bom pożegnał nie wczora,
I nie jutro obaczę!



Do poezyi „Iach serdeczny“ J. B. Zaleskiego.
Rysunek Józefa Brandta.

LACH SERDECZNY NA MARACH.

Czarnym szlachem, za swym Lachem, Ukraina wzdłuż,
Jako umie, w tęsknej dumie, krok za krokiem tuż.
Wielki żal podaje w niebo, wszystkimi och! dzwony;
Wraca Lach jej, Lach serdeczny, do swój Lanckorony.

Wóz się toczy, zrywa oczy, a nie widno w łzach,
Wóz bogaty, hej makaty, na marach bo Lach!
Za marami pan Bohdanko: a między kozaczą,
Jazłowiecki i Sieniawski i Herbort w głos płaczą.

Wóz się toczy, zrywa oczy, przeświała się w zwyż:
Hej buława! szabla rdzawa! hej czerwony krzyż!
Hej hetmańska zbroja sławna po świecie szerokim,
Hej hetmański koń sierota, rży smutnie — wie po kim.

Mogił tyle! Na mogile, co kilkoro staj,
Mary stoją, świecą zbroją i modli się kraj:
A posępni towarzysze i bojów i chwały,
Przyhukują na około, na pochód wspaniały.

— Cześć na dobie, pokłon tobie, atamanie nasz!
Sojusz stary, szczerzej wiary — mołojców swych znasz:
Już ty nie nasz — my nie twoi. Hej! sojusz skończony!
Wracaj ojcie na slobodę, do swej Lanckorony.

Lanckorona twa rodzona, nie puści cię w świat:
W Ukrainie, oh! jedynie chwała inszych lat,
W pieśń powieje przez mogiły od rodu do rodu,
Boś hetmanił i serdecznie i sławnie od młodu.

Żywot krwawy — krwawej sławy, ktoś zapomni z nas!
Lach nasz chrobry i w czas dobry i w najgorszy czas;
Czem Bóg darzył: żył i białym i czarnym on chlebem,
Leżał z nami w cudzych grodach i w stepie pod niebem.

Żal się Boże! step i morze, obiegliśmy z nim;
Grody dawne, kraje sławne, Wołoszę i Krym,
Niezapomną na wiek wieków, jak z pola na pole,
Bujał orzeł tam i wodził swe stado sokole.

Cześć na dobie, chwała tobie, chwała póki nas!
Hej serdeczny, pokój wieczny, w niepożyty czas!
Póki świata, słońca, żal nasz — żal nieukojanya,
W pieśń niech wieje od Kudaku aż do Lanckorony!

.....

R Ó Ź E.

Sadźmy przyjacielu róże!
Długo jeszcze, długo światu,
Szumieć będą śnieżne burze,
Sadźmy je przyszłemu latu.

My, odbici z niw rodzinnych,
Może ich nie ujrzym kwiatu;
A więc sadźmy je dla innych,
Szczęśliwyszemu sadźmy światu.

Jakże los nasz piękny, wzniosły!
Gdzie idziemy — same głogi,
Gdzieśmy przeszli — róże wzrosły;
Więc nie schodźmy z naszej drogi!

Idźmy, szczepmy — gdy to znuży,
Świat wiecznego wypocznienia,
Da nam miłszy kwiat od róży:
Łzy wdzięczności i wspomnienia.

PIOTR PSZONKA JASIEŃCZYK.

Piotr herbu Jasieńczyk, Pszonką zwan,
Pan na Krzyżanowie,
I Toporczyk, Szczekarzewic pan,
Hardzi to panowie,
Nie mają boskiej bojaźni,
Śmieją się z ludzkiej przyjaźni.

Wypadli oni jednego dnia
Na bliskiej wsi pole,
Z nimi ludzi, koni, chartów éma
I stado sokole —
I polują jak po borze,
I tłuką zboże nie zboże.

Zaszedł im drogę lud całej wsi:
Błagali biedacy:
— Co robicie? toż pot naszej krwi!
Szczędźcie krwawej pracy! —
I czapkami się kłaniali:
— Niech się Ich Miłość oddali. —

Śmiechem, fukiem, zbyto próśby ich.
Dla biednych niedola,

SEWERYN GOSZCZYŃSKI.

A dla panów niepobożnych śmiech.
Pognali przez pola,
Wieśniacy odeszli z niczem,
Jeszcze niejeden wziął biczem.

W tym czasie, zjechał na sądy w gród
Król Wielki — Kazimierz,
Przed nim więc upadł i wołał lud:
— Wymierz prawo, wymierz
Panom, co gorsi od Litwy.
Jak Bóg, weź nasze modlitwy. —

Baczenie wysłuchał żaloby król,
Wyjechał na rolę,
Przeszedł się w poprzek i podłuż pól,
Obejrzał swywolę,
Szkodę na palcach zrachował
I tém słowem wyrokował:

— Za szkodę, to a to, każdy z was
W chłopskie ręce złoży,
Byście umieli na drugi raz
Szanować dar Boży:
Zboże główny niebios datek
I cały kmiotka dostatek.

SEWERYN GOSZCZYŃSKI.

A za biczowanie ludzi cnych,
Abyście wiek wiekiem
Pomnieli na to, że ból nie śmiech
A człowiek człowiekiem,
Po raz każdy z tych kmieciów,
Smagnie biczem grzbiet Waszeciów! —

I stało się, że Piotr Pszonką zwan,
Pan na Krzyżanowie,
I Toporczyk Szczekarzewie pan
Choć butni panowie,
Zapłacić szkodę musieli
I jeszcze biczami wzięli.

Pan Pszonka wielce do serca wzięł
Tę swoją przygodę,
Zmienił się jak jędor, króla kłął,
Targał się za brodę.
— Poczekaj — wołał — stary psie!
Długo ty papamiętasz mnie . . .

— Poznasz ty, co to za chłopski gnój
Biczować rycerza.
Ja ci w ten Łobzowski stolec twój
Tak podsadzę jeża,
Że niech wszyscy chłopi babią,
To go ztamtąd nie wywabią! —

SEWERYN GOSZCZYŃSKI.

I pokryjomu szedł z Polski precz
Pomiędzy Litwiny,
I wołał do nich: — Ogień i miecz
Na lackie krainy;
Król stary i przy Esterce
Spalił w popiół mężkie serce.

— Cała wam Polska leży jak trup,
Tylko ją oprawić.
Tam lud, grosze, bydło, wszelki łup;
Tylko się nie bawić;
Ja wam wskażę takie szlaki,
Że się zjawim jak cud jaki. —

Przystała Litwa . . . Litwie w to graj.
Hurra! do zachodu!
Wyją, jak gdyby wilków sto zgraj
Zawyło od głodu.
I dalej wzuwać chodaki,
Przepasywać się w sajdaki;

Przysmalać w płomieniach końce dził,
A kielznać żmudziny;
Za chwilę ciągną jak chmura bięd
Do lackiej krainy;
A Piotr po przodu, o wstydzie!
Na kraj własny z wrogiem idzie.

SEWERYN GOSZCZYŃSKI.

Jak Litwin w lasy raz nurka da,
Tak płynie puszczami,
Aż się wychyli na światło dnia
Nad Wisły brzegami,
Tam się otrząśnie, wypocznie
I radzi co dalej pocznie.

— Stójcie! — rzekł Pszonka — ja pójdę wprzód —
Z Wisłą żartu niema,
Ja pójdę wprzód i wytknę wam bród. —
Co rzekł to dotrzyma.
Poszedł, wynalazł bród rzeki
I na znak postawiał tyki.

Sprawiszy wszystko już wracać miał,
Gdy ujrzał, że blisko
Święty Stanisław kamienny stał,
Więc na urągowisko
Rzekł mu w szyderskim uśmiechu,
Grożąc palcem: — No! sza mnichu!

Na to z kamiennych świętego warg
Wyszły ciche słowa:
— Wielki Boże! złam ten hardy kark;
Niechaj zdrajcy głowa
Sobą tę czystą krew spleci,
Którą w myślach toczy z braci. —

SEWERYN GOSZCZYŃSKI.

I w tejże chwili ślizga się łódź
Wodą, jak po lodzie:
Dwóch w niej siedziało — anielska młódź,
W anielskiej urodzie,
W anielskiem opromienieniu,
Ale w rybackiem odzieniu.

Jak ślad od gwiazdy, taki płomień tłał
Za lekkim czółenkim;
Z brzegu do brzegu podniósł się wał
I toczył się z dźwiękiem,
Żerdzie wierzchów uchyliły,
Szeregiem z miejsca ruszyły.

I szły jak ptactwa wodnego rzęd.
A gdy przyplłynęli
Kędy największa głębia i pęd,
Rybacy zniknęli,
Żerdzie znów się wprost podnióły
I stanęły jakby wrosły.

Zaledwie ziemię osłonił mrok,
Horda Litwy rada,
Rzuca gęstwinę pustyn — i wskok
Nad Wisłę przypada.
I jak szła, tak w wodę wbiegła,
Gdzie znaki brodu postrzegła.

SEWERYN GOSZCZYŃSKI.

Ale jak tylko rzucili łąd,
Straszny krzyk się budzi;
Nieshamowany, bezdenny prąd
Rwie konie i ludzi,
Przewala wiru falami
I rzuca dalej trupami.

Zginęli wszyscy co pierwsi szli;
Ci co pozostali,
Iść już nie chcieli, a wściekle źli,
— To zdrada! — wołali.
— Gdzie jest Lach, co nas prowadził
Pod miecz go, on Litwę zdradził! —

Próżno się Pszonka wymówić chce;
Czerń Litwy rozjadła
Na nic nie baczy, miecz tłumu tnie,
Już głowa odpadła,
Już na żerdzi, głowa ścięta,
Jak pamięć zdrady zatknęta.

Litwa dalszy zaniechawszy łup,
Wróciła w swe knieje;
A pana Pszonki poł nagi trup,
Nad Wisłą bieleje —

SEWERYN GOSZCZYŃSKI.

I głowa kiwa się ścięta,
Od ptaków nawet nie tknięta.

Tylko skrzydlami, ptak czarnych piór
Wiał z niej jak proporzycyk
I wciąż krakał; miał to być zły twór
Pan Otto Toporczyk,
Który z żalu, jak wieść niesie,
Obwiesił się w bliskim lesie.

GWIAZDY BLIŻNIĘTA.

Witajcie moje gwiazdy! Jak płyną tak płyną,
Wiecznie światło ku światłu, i promyk z promykiem;
Śród zamieci stworzenia, między światów szykiem
Nie rozłączą się jednak, ani sobie zginą.

Witaj mi tajemniczej miłości drużyno!
Jeszcze młodzieńczych uczuć zakarmiany mlékkiem,
Bełkocący od serca piastunki językiem,
Lubiłem brnąć za wami błękitną głębiną.

SEWERYN GOSZCZYŃSKI.

I straciłem was potem w żywota zawiei,
By straciwszy na niebie, znaleźć u kobiety,
Gdyście z serca kochanki wyszły na jej oczy.

Dziś mi znowu świecicie w błękitnej przezroczy,
Dziś was znowu spotykam i witam, niestety —
Już na niebie! — jak godła tęsknot i nadziei! . . .

SAMSON.

Ów mąż wslawiony zaraz od poczęcia,
Którego naród zbawcą swym nazywał;
Co jeszcze w rannych latach pocholeńcia
Lwy — jakby owce ręką pokonywał;
Przed którym wojska Filistyńskie drzały:
Samson, doczekał końca swojej chwały.

Zdradą fałszywój niewiasty ujęty,
W nieprzyjaciolach mściwie znalazł pany.
Pozbawion wzroku, obciążony pęty,
Jęczał w ciemnicy, wstydem pożerany,
Sam sobą gardził . . . kłął pamięć Dalili,
A pomnąc przeszłość — czekał zemsty chwili.

Pyszni tryumfem pogańscy książęta,
Niewolę męża głosili ludowi.
W dzień jego klęski, jakoby w dzień święta,
Nieśli ofiary bogu Dagonowi.
I lud radością wielce się przenika,
Że ma sławnego w więzach wojownika.

W książęcym gmachu stawili biesiadę.
A gdy w weselu była ukończona,
Wśród pjaney myśli podniesiono radę,
Iżby ślepego przywołać Samsona:
By grał książętom i by w tej postawie,
Mogli zlorzeczyć jego zaszłej sławie.

Przybył mąż wielki. — Gdy wkroczył w ich koło,
I wstrząsnął strasznych rąk swoich kajdany;
Gdy podniósł dumnie krzywdą ciężkie czoło:
Zuchwałe szczęściem struchlały tyrany.
I w całym gmachu wraz się przestrach wzbudzi:
Chociaż w nim było trzy tysiące ludzi.

„Książęta! powie, na rozkaz wasz stoję!
Lecz nie czekajcie biesiadnej powieści;
Jak zemsta wasza i jak dzieła moje,
Tak strasznej musi pieśń moja być treści,
Przeto słuchajcie!“ — Każdy słuch natęży,
Ciekawy, jaka pieśń takiego męża.

On wprzódy rzecz do sługi strażnego
Co go prowadził: — „Niechaj miejsce zmienię,
Daj, bym się dotknął słupów gmachu tego,
Bowiem mię wielkie ujęło znużenie.“
Zaczem nie pierwwej mowę swą rozpoczął,
Aż był przy słupach, a w milczeniu spoczął.

STEFAN WITWICKI.

„Był mąż przemożny, nie prostego rodu,
W żywocie matki sławę już dziedziczył;
Bóg go przeznaczył do swojego grodu,
By w nim ludowi jego przewodniczył.
Więc był narodu obroną i siłą:
Bo Pan był przy nim i zwycięstwo było.

Słyszał obłudę, — słów jej nie rozglądał.
Ufności — zdrada miała być zapłatą,
Zbłądził, że wiary od niewiasty żądał;
Uwierzył w szczęście: i skarany za to.
Był mąż przemożny, zdradzony, sprzedany;
Sławą swych zwycięstw — zasłużył kajdany.

I przekwitł wielkiej chwały jego wieniec.
Przed kim warowne upadały brony,
Sędzia narodu — jakby podły jeniec
Został w katuszach pod ziemię wtrącony.
Wzrok mu wydarto! Jeszcze w pośmiewisko,
Ślepego — wiedli na ludu igrzysko!

Wtedy wspomniawszy lata dawne, młode,
Wolał do Pana: Oto mąż Twej chwały,
Któremuś w puszczy stwarzał żywą wodę,
Przed którym wojska jak ptaki pierzchały:
Imię Twe z głębi duszy wypowiada,
A w więzach, w bolach, pod hańbą upada!

STEFAN WITWICKI.

O! Panie! jeśli czuwasz nad swym ludem,
Jeśli Ci syny wybranych Twych miłe:
Daj uczyć siebie nowej łaski cudem,
Technij we mnie dzielność! wskrześ mą dawną siłę!
Niech jak lew straszny pomszczę się nad wrogiem:
O! Boże! pokaż żeś gnębionych Bogiem!“

Rzekł. — I natchniony, przed strwożoną zgrają,
Jak sieć pajęczą wnet zrywa swe pęta!
Już chwytą słupy które gmach wspierają . . .
Próżno ucieczką bronią się książęta:
Runął gmach mocą Samsonowej ręki . . .
I pod gruzami stłumiły się jęki.

PROSTAK WIEJSKI.

Nie wiem, gdzie tam lepiej komu,
Każdy panem własnej woli;
Mnie najlepiej w ojców domu,
Więc rad siedzę na swej roli.
Nie ciekawym co tam poda
Zagraniczna miastom moda!
Sieję sobie swe zagony:
Niech Bóg będzie pochwalony!

STEFAN WITWICKI.

Ktoś tam szuka obyczaju,
Pędzi w świat . . . Otwarte wrota!
Dzięki Bogu, wiem i w kraju
Co jest rozum, grzeczność, cnota.
Wolę ja w staroświecczyźnie
Własnej wiernym być Ojczyźnie,
Bom z pradziadów Polak chrzczony:
Niech Bóg będzie pochwalony!

Ktoś przez mądre tam mozoly,
Myśli że świat przeinaczy!
Toć i jam odbywał szkoły,
Wiem co ta ich mądrość znaczy.
Hurt za hurt — wolę ja stare,
Ojców serce, ojców wiarę,
Żyć dla dzieci i dla żony:
Niech Bóg będzie pochwalony!

Ktoś tam ludzi durzy, mami,
I gdy jaki zysk w tem zoczy:
Górnościami, czułościami,
Jako może mydli oczy.
U mnie — znam się na oszustach,
Prawda w sercu, prawda w ustach;
Do prostotym wzwyczajony:
Niech Bóg będzie pochwalony!

STEFAN WITWICKI.

Niech tam sobie łakną drudzy,
Chwały, sławy i tam dalej . . .
Mnie, gdy w domu lubią służy
Gdy mnie w wiosce kmieć pochwali;
Gdy pochwałą mnie sąsiedzi,
A zwłaszcza ksiądz przy spowiedzi!
Tom już całkiem nasycony:
 Niech Bóg będzie pochwalony!

KONSTANTY GASZYŃSKI.

1809 † 1866.

S O N E T.

Gdybym żył w owych wiekach męztwa i natchnienia,
Gdy w Prowanckiej krainie, dla chwały kochanki
Rycerz, kryty żelazem w zbrojne wjeżdżał szranki,
A Trubadur w ofierze niósł miłosne pienia;

Ty byłabyś boginią mego uwielbienia!
Rycerz, twoje kolory niósłbym w chwały szranki,
Trubadur, tobie wiłbym z rymów moich wianki,
Woniaące dźwięcznym echem twojego imienia.

Z hebanem bym porównał kolor twych warkoczy;
Z gwiazdami bym pobratał twe promienne oczy;
Perłowa białość śniegów mej rodzinnej ziemi —

Musiałaby ustąpić przed licami twemi.
A gdybym chciał malować ust twoich szkarłaty,
Zawstydziłbym ich barwą całej ziemi kwiaty.

ANIOŁOWIE STRĄCENI.

Czyż serce zdoła pojąć, czyż piosnka opisze
Tę rozpacz, gdy skarani za dumę anieli,
Rodzinne progi niebios porzucić musieli,
Gdy ich żegnali dawnej chwały towarzysze?

Nie — nie się nie porówna z wygnańców żalobą;
A jednak, ja uczulem w głębi duszy mojej,
Co to jest być strąconym z nadziemskich podwoi,
Gdym — luba, raz ostatni rozstawał się z tobą.

Ale przed wygnańcami nieśmiertelnej chwały,
Na skrzydłach pomsty niebios spieszył wstyd i trwoga —
Za nimi groźnie huczał gniewny piorun Boga,
Gwiazdy za nimi okiem wzgardy poglądały!

Przedemna szła nadzieja z anielskim urokiem,
I w wspomnieniach przeszłości pociecha niebieska;
Za mną — twoja modlitwa, wspomnienie i lezka,
Przyjaźń za mną litosnem poglądała okiem!

Więc nie płaczę wraz z nimi, gdym utracił ciebie!
Ich nie ujrzą już dawnych towarzyszków roje,
My się kiedyś o! luba, spotkamy oboje:
Ich niebo rozdzieliło — my złączym się w niebie!



Do poezji „Sielanka młodości“ K. Gaszyńskiego.

Rysunek C. Jankowskiego.

KONSTANTY GASZYŃSKI.

SIELANKA MŁODOŚCI.

I.

Panna była prześliczna — z błękitnych jej oczek,
Zaledwie że piętnasty uśmiechał się roczek.
Panicz równy jej wiekiem, bywał nieustannie
W jej domu — i z rozkoszą siadywał przy pannie.
Znosił koszyczki kwiatów i jagódek pełne,
Pomagał zwijać w kłębki włóczkę i bawełnę —
Nad rysowaniem wzorków strawił nieraz dzionek;
Grywał z nią w gotowalnię, w mrućka i pierścionek.
Przyjaźnił się z jej bratem, grzecznie gadał z matką,
A pannie tysiąc fraszek opowiadał gładko.
Lecz często, kiedy czulszem ośmielon wejrzeniem,
Chciał wyznać jakim dla niej rozgorzał płomieniem,
Wnet mieszał się, głos tracił i słów mu nie stało:
Tak pod szkolnym mundurkiem biedne serce drżało!
Raz przecież postanowił, bądź co bądź wypadnie,
Oświadczenie miłości wyrazić jej ładnie —
Lecz zamiast arcydzieła co tak długo składał,
Rumieniać się, oświadczył: — że deszcz będzie padał!
Panna miała dla niego zawsze wroczek słodki,
Gdy on przy niej — to ciągle piosnki i chichotki —
A kiedy przez czas jakiś nie widać panicza,
To jej coś, jakby smutek wyglądał z oblicza.

KONSTANTY GASZYŃSKI.

Siadała przy krosienkach nie mówiąc i słowa
I skarżyła się mamie, że ją boli główka!
Tak żyli blisko siebie, jak na cichej łące,
Skryste w cieniu, dwa drobne fijołki woniące —
A w okół nich krążyły w domu szeptów roje,
Że się panicz i panna kochali oboje!
Była to pierwsza miłość, niewinna, milcząca,
Święta — jak przed ołtarzem lampa gorejąca —
Bez zalotnych uśmiechów, bez słówek ponętnych,
Bez wyrzutów zazdrości i przysięg namiętnych!
Ale, gdy się ich oczy napotkały razem,
To wnet lgnęły do siebie jak magnes z żelazem —
Radeby tak pozostać przez miesiące — lata —
I tak patrzeć ku sobie — do skończenia świata!
O! bo ich dusze, zbiegłe po źrenic promyku,
Wiodły czule rozmowy w bezsłownym języku;
A wrzących uczuć potok, tajonych tak długo,
Przeciekał z serca w serce, niewidzialną strugą;
I tworzył im ocean — po którymby chcieli,
W łódce o złotych wiosłach pływać jak anieli!
Lub jak samotna para śnieżystych łabędzi
Kołysać się na falach, gdzie je wiatr popędzi —
I żyć zdala od brzegów — do skończenia świata!
— Tak im błogo schodziły ich różane lata.

II.

Raz, w cieniu lip przed dworem, w jesiennym poranku,
Młody panicz i panna rozmawiali w ganku
O pogodzie, o słońcu — a potem o zgonie
Prześlicznego jaśminu co uschnął w wazonie.
Potem, o czemś weselszem — o zwycięskiej walce
Kota Filusia z psami — a w końcu o lalce;
Bo zapomniałem wspomnieć, że wśród pogadanki
Panna stroiła lalkę dla młodej krewnianki.
Gotów był cały ubiór od stóp aż do głowy:
Trzewiczki — biała suknia — kapelusz różowy
I fartuszek niebieski jak modniarki oczy —
Brakło tylko na główce pukłów i warkoczy.
Zkąd wziąć je? Łatwa rada. Z uśmiechem pustoty
Panna zdjęła z grzebienia ciemnych włosów sploty,
Westchnęła nad ofiarą — zgrzytnęły nożyczki,
I upadł lśniący kosmyk u stóp ofiarniczki.
O! jakże była piękną, gdy po szyi białej,
Tych brunatnych pierścieni fale się rozlały,
I spadając na piersi kaskadą ogromną,
Stroili w czar zalotny, tę postać tak skromną!
O! była to Syrena albo Nimfa grecka,
Lecz z czystością anioła i szczerotą dziecka!
Panicz patrzył milczący, gdy drobne jej palce

KONSTANTY GASZYŃSKI.

Ciemne loczki nad czołem przypinały lalce;
A kiedy już warkoczyk splotła do połowy,
Znów wrócił do przerwanej przed chwilą rozmowy —
Dowodząc, że to szkoda i myśl desperacka,
Dawać tak piękne włosy na dziecinne cacka;
Że lalce, na nic skarb ten nie może się przydać,
Bo pod kapelusikiem warkocza nie widać!
A wzrokiem mówił czulój: „Jest ktoś przy twym boku,
Co o takiej plecionce marzy już od roku;
Coby o ten podarek na kolanach żebrał —
Coby go kosztem życia z cudzych rąk odebrał,
Jak cudowny talizman na piersiach umieścił,
Biciem serca kołysał, całunkami pieścił“.
Panna patrząc z pod oczka, choć pracą zajęta,
Zrozumiała zapewne nieme argumenta:
Bo jej lica zakwitły purpurowym blaskiem.
Wtem okno od salonu otwarło się z trzaskiem
I głos matki się ozwał: — „Chodźno moja rybko!“
Panna rzuciła wszystko i pobiegła szybko.

* * *

I sam Katon by upadł w tych pokus przepaście,
Zwłaszcza gdyby się kochał i miał lat szesnaście!
Nasz panicz, nowy Tantal, widząc koniec męki,
Zostawioną plecionkę do drżącej wziął ręki.

KONSTANTY GASZYŃSKI.

Był sam — żadne go śledcze nie trwożyło oko,
Więc do ust ją przycisnął i westchnął głęboko.
Ale gdy zaczął tonąć w morzu zadumanek,
Panna jak żyży ptaszek znów wbiegła na ganek.
Ocknął się pomieszany — lecz czuł że w tej chwili
Los przyjazny ku niemu szalę szczęścia chyli;
Zebrał całą odwagę — a miał jej nie dosyć —
I rzekł skromnie: „Ja chciałbym — panią — o coś
prosić“.

— „O cóż?“ — „O podarunek!“ — „Dał mi pan frasunek,
Bo trzebaż jeszcze wiedzieć jaki podarunek?“

— „Zaręczam, że ta sprawa nie skończy się sprzeczką,
Niech tylko pani powie maleńkie słóweczko:
Daruję!“ — „No, daruję!“ z uśmiechem odrzekła.

On pokazał plecionkę — ona raka spickła —
Zdziwiona, przerażona, drżąca przed nim stała,
Cofać słowa nie śmiała — a może nie chciała;
A panicz, wyczerpnąwszy cały zasób męztwa,
Zamilkł — jakby się wstydził zradnego zwycięstwa.
Dopiero, gdy ich oczy spotkały się razem
I zlepily się, zrosły jak magnes z żelazem,
Zabrzmiały w strunach serc ich, zmarłe w ustach
dźwięki:

Wyrzuty — przebaczenia — skargi i podzięki,
I przysięgi karmione a tajone w łonie:
Wierności aż do zgonu — wierności po zgonie! —

KONSTANTY GASZYŃSKI.

I znów zaczęli gadać o słońcu, pogodzie,
I o ślicznym jaśminie co uschnął w ogrodzie —
Potem inne, weselsze toczyli rozmowy,
Lecz o lalki warkoczcu nie było już mowy.

* * *

Któż był kiedy szczęśliwszym, dziwnych zdarzeń
zbiegiem:

Czy Aleksander Wielki po nad Indu brzegiem?
Czy Cezar, gdy bogowie na błoniach Farsali
Z tryumfem nad Pompejem, rząd świata mu dali?
Napoleon, gdy pragnąc uwiecznić swe plemię
Ujrzał syna dziedzica w rzymskim diademie?
O! nie, — radość zdobywców dumna a zwodnicza,
Nie może się porównać z radością panicza!
On marzył, że się w niebie z aniołami brata,
Że dzierżąc promyk włosów, dzierży łurło świata!
Panicz był rad i wesół i humor miał złoty,
Cały dzień sypał żarty i broił pustoty,
Uśmiechał się, przymilał — jakby chciał do łona
Wszystkich ludzi przycisnąć w braterskie ramiona!
Panna uradowana miała wzroczek słodki;
Po całym domu brzmiały piosnki i chichotki,
Aż matka powtórzyła raz, drugi i trzeci:
„Jakże się też to dzisiaj rozigrały dzieci!“

III.

Trudno zmienić bieg rzeczy na ziemskim padole;
Panicz, choć dziarski młodzian — był studentem
w szkole,

A panna rówienniczka, w siedemnastym roku,
Wyrosła na kobietę tak pełną uroku —
Że aż w najdalsze strony rozbiegły się wieści,
O tej niedorównanej piękności niewieściej!
Niebawem też, gość obcy, nieznany nikomu,
Pojawił się z nienacka w rodzicielskim domu.
Był to pan już niemłody, lecz grzeczny, układny;
Posiadał zacne imię i majątek ładny;
Przywiózł list polecalny od krewnych jejmości,
I zaczął prawić panie tysiąc uprzejmości!
Ojciec po krótkich zwiadach wyrzyknął radośnie
Że z takim mężem honor jego domu wzrośnie;
Że to partja wyborna; — a matka dodała
Że córka przy pieniądzach będzie szczęście miała!
Spisano kontrakt — gości zjechało się wiele;
Odbył się ślub, biesiada i huczne wesele;
Potem wsiedli do koczka, stangret trzasnął z bicia,
I uniósł w kłębach kurzu złoty sen panicza!

.....
Panicza, który zdala śród murów stolicy,
Nieświadomy o niczem, przy szkolnej ławicy

KONSTANTY GASZYŃSKI.

Czas wolny od nauki na marzeniach trwonil;
Za modremi oczkami tęskną myślą gonil;
Licząc, że za sześć niedziel znów je odzobaczy . . .
Gdy wieść ślubu nań padła jak piorun rozpaczy!

IV.

Czy panna, kornej córki pełniąc obowiązek,
Przyzwoliła bez gwałtu na ten nagły związek?
Czy w białych, ślubnych szatach, pod mirtowym
wiankiem,
Popłakała choć chwilę za młodym kochankiem?
Trudno wiedzieć, — bo panicz po tych burz przebyciu,
Już jej nigdy i nigdy nie napotkał w życiu!
Znikła, gdzieś aż w dalekie uwieziona Tatry,
Zgasła, jak droga perła w czarze Kleopatry.

.
Lecz panicz zaznał wówczas mąk najsroższe piekło,
I wiele łez mu gorzkich po licach przeciekło,
Gdy zamiast marzeń jego postaci uroczej,
Czarne widmo nieszczęścia zajrzało mu w oczy.
Wybladł, znędzniał, jak gdyby chorobą złamany.
A po nocach układał najszałeńsze plany:
Rzucić szkoły, iść pieszo w niezajome strony,
Dopóki nieodnajdzie swojej ulubionj . . .
Wyrwać ją z rąk tyrana, z pod strażników tłuszczy,
Osiedlić się we dwoje na bezludnej puszczy,

KONSTANTY GASZYŃSKI.

Ulepić chatkę z gliny, otoczyć ogrodem,
I żyć z nią korzonkami, owocem i miodem!
To znów myśl mu straszniejsza do mózgu się wdziera,
A właśnie miał pistolet i czytał „Wertera“.
Szczęściem, że i „Oltarzyk złoty“ czytał co dnia,
I czuł, że samobójstwo, to hańba i zbrodnia!

.....
Tak wiara i zajęcie około prac dziennych,
Spędzały szał wylęgły wśród nocy bezsennych;
A czas, zwolna, lecz ciągle niósł mu ukojenie,
Zmieniając rozpacz w smutek, a smutek w wspomnienie!

V.

W rok dopięro, choć jeszcze cierpieniem nękany,
Nawiedził panicz dworu sąsiedniego ściany.
A że bawiąc w gościnie twarz posepna grzechem,
Musiał więc łzy osłaniać kłamanym uśmiechem;
I słuchać opowiadań: jak córka szczęśliwa,
Jakie zięc ma intraty za wełnę i żniwa!
Ile w stajniach rzy koni słynnych krwią i rasą,
I jakie trzody owiec po halach się pasą!
Kochankowi, poecie, dawano do picia
Kropelka po kropelce — wszystką prozę życia!
Ten dom, który mu dawniej był niebem malutkiem,
Który witał z radością a opuszczał z smutkiem,

KONSTANTY GASZYŃSKI.

Dokąd w dali myśl jego tęskliwa i cicha
Biegła, jak złota pszczołka do lilji kielicha;
Ten dom, z całym pamiętek przeszłości zasobem,
O! jakże mu się wydał pustynią i grobem!
W ogrodzie, tak jak dawniej, krocie było kwiatków;
Lecz panicz próżno szukał dwóch modrych bławatków,
Które tu, w błogich chwilach miłości zarannej;
Wykwitały ku niemu, z ciemnych rzęsów panny.
W klombach, tysiące ptasząt kwiliło wśród drzewek;
Lecz nie było w tym chórze tego ptaszka śpiewek,
Którego on się tyle w tem miejscu nasłuchał,
Co tak słodko szezebiotał, tak ponętnie gruchał.
O! dla innych dziś oczu modrzały bławatki!
A ptaszek? — Może zamilkł wśród złoconej klatki . . .
W ganku, w domu, w ogrodzie — tylko się wznosiły,
W emętarczy jego szczęścia, zmarłych snów mogiły!
Więc je żegnał westchnieniem i łzawą powieką.

.
I wkrótce los go poniósł daleko — daleko!

VI.

O! stare to już dzieje! — W dalszych, długich latach,
Ów panicz stapał częściej po cierniach niż w kwiatkach.
Nie jedna odtąd miłość, namiętna lub czuła,
Upoiła go szczęściem — smutkami zatrula!

KONSTANTY GASZYŃSKI.

I poznał serc niewieścich balsamy i jady,
Anielskie poświęcenia i piekielne zdrady.
Bo na ścieżce żywota, w ciągłym niepokoju,
Pił do syta z cierpkiego doświadczenia zdroju!
Przecież dotąd w panicza poranionem łonie,
Niewygasły wspominek dawnych uczuć płonie!
Burza światowych uczuć dotąd nierozwiała
Tej woni, która niegdyś duszę mu zalała.
Pierwsza miłość niewinna, cicha i milcząca,
Święta — jak przed ołtarzem lampa gorejąca.

* * *

Dziś samotny wędrowiec po szerokim świecie,
Gdy go boleść duchowa lub cielesna gniecie;
Szukając ulgi mękom — o! ileż to razy,
Wywołuje pamięcią przeszłości obrazy.
I marzy, jak mu było hożo i radośnie
W niepowrotnej, w różanej, w złotej życia wiośnie!
Jak po szkolnych mozołach powracał z uciechą,
Na wiejski wypoczynek pod rodzinną strzechą.
Jak konno pędził w pola; z fuzyjką po borach;
Jak jeździł po pokrewnych i sąsiedzkich dworach;
Jaki czuł zachwyt, urok i raj nieustanny,
Gdy rumieniać się patrzył w modre oczy panny!

KONSTANTY GASZYŃSKI.

Gdy niczego już więcej nie pragnąc od losów,
Tulił do ust i serca plecionkę z jej włosów;
Gdy żyli blisko siebie, jak na cichej łące,
Skryte w cieniu, dwa drobne fijołki woniące.

ROZMOWA.

— Pójdź tu dziewczynko! — i ona bieży. —
— Czy ty mię kochasz? — Kocham i mocno!
— Jak matkę, brata? — Inaczéj, seczerzéj.
Chciałabym tobie być tak pomocną,
Ulżyć we wszystkim i dzielić z tobą
Co mam, mieć będę i więcej jeszcze.
W nocy, gdy drzewo czasem szeleszcze,
I wiatr o szyby jęczy z żałobą,
Tęskno mi, przykro, smutno i ciemno,
Płaczę i myślę żeś ty nie zemną!

— Żle moje dziecię, to ciężkie grzechy!
— Ciężkie ty mówisz? nie, ja nie wierzę;
Kiedy poranne mówię pacierze,
A nie za ciebie: nie mam pociechy.
Wieczorem, kiedy zbieram twe słowa,
I wszystkie sobie dziwnie tłumaczę:
Jam tak szczęśliwa, choć rzewnie płaczę,
Żebym tę chwilkę była gotowa
Zamienić w wieczność — i płakać wiecznie!

STEFAN GARCZYŃSKI.

— Źle moje dziecię! trzeba koniecznie
O innem myśleć: tak rozum każe,
Tak Pan Bóg każe! — — Ja kiedy marzę
O niebie czasem: tyś w oku zawsze!
Dawniej robiłam sobie wyrzuty,
Lecz rzekły do mnie głosy łaskawsze:
Póki masz serce, kochaj dopóty!

Zmilkliśmy nagle . . . Słońca nie było,
Wieczór nadchodził, w pokoju ciemno,
I tak mi było trwożnie i miło,
Taka odmiana we mnie i ze mną,
Żem powtarzając: „źle moje dziecię“ —
Ona że „kocha“ — wciąż — na przemiany:
Ręcem i usta całował przecie . . .
Byłem w dziewczynie już rozkochany!

DUMKA PODOLSKA.

Gdyby orłem być,
Lot sokoła mieć!
Skrzydłem orłem lub sokolem,
Unosić się nad Podolem,
Tamtem życiem żyć!

Droga ziema ta,
Myśl ją moja zna!
Tam największe szczęście moje,
Tam najpierwsze niepokoje,
Tam najpierwsza łza!

Tambym noc i dzień,
Jak zaklęty cień:
Krażył nad nią jak wspomnienie,
Piers orzeźwiał, czerpał tchnienie,
Z tamtych lubych tchnień!

Gdyby gwiazdką być,
I w obłokach tkwić:

MAURYCY GOSŁAWSKI.

Jasnym okiem w noc majową,
Nad kochanki mojej głową,
Do poranka lśnić!

Albo z po za mgły,
Zsyłać słodkie sny,
Jak w jeziora tle przejrzystem,
Odbijać się światłem czystym,
W kropelce jej łzy.

Takbym noc i dzień,
Jak zaklęty cień:
Niewidzialnem patrząc okiem,
Zachwycił się jej widokiem . . .
Boże! w gwiazdkę zmieść!

Próżno się tych dni,
Obraz w duszy śni:
Zapłacz luba gorzkim płaczem,
Nad kochankiem i tulaczem,
Co był miłym ci!

Biedni, biedni my,
Wspomnieć serce drzy:
Orły lecą, gwiazdy cieką,
Nad Podolem gdzieś daleko,
A na oczach łzy.

MAURZYCY GOSŁAWSKI.

WĘDRÓWKA.

Ja rosłem z wiatrem — ja i on,
Byliśmy bracia z młodych lat.
Współwychowañców jednych stron,
Los od kolebki pogał w świat.

On leciał przodem noc i dzieñ,
Niósł lekkim skrzydłem myśl mą tam:
Gdzie za nim biegnąc niby cieñ,
Nie mogłem nigdy zdążyć sam.

Dziś brat, co zemną razem rósł,
Powiernik serca, niewiem gdzie:
Czy go uragan wściekły zniósł,
Czy sam niewierny rzucił mię.

I lecąc, wszystko zabrał mi:
Młodego serca lekkie sny,
Uczucie, radość młodych dni,
I młodej wiary słodkie ły.

I jak szeroki dzisiaj świat,
Pusto przedemną wszere i wzdłuż:
Bo znikł przewodnik, wietrzyk brat,
Bo moja radość znikła już.

MAURYCY GOSŁAWSKI.

Teraz wędrowca pędzi ból,
Bez czucia wiary i bez łyzy;
Za każdym wiatrem, co wśród pól
W dzikiej krzewiny listku drży.

Tak lecę błędny . . . Ni mię znój,
Ni wstrzyma jasny pączek róż!
Bo znikł przewodnik, wietrzyk mój,
Bo moja radość znikła już.

O! wróć wędrowcze drogi, wróć!
Tęskna pierś bratnia woła cię!
Wróć! oducz myśleć, pomnieć, czuć,
Lub z serca drogę pokaż — łzie!

WEREDYK.

Powiedział ktoś, nie wiem kto, ale słowa święte,
Że gdyby wszystkie prawdy miał w garści zamknięte,
Nie chciałby jej otworzyć. — Przeciwnie ma cele,
Co nazwę weredyka otrzymał w udziale,
Co zewsząd sieje wieści niedościgłe ziarnka.
Weredyk moi państwo, dziwna to poczwarka:
Jest w nim coś osy, jeża, pawia i papugi,
Jego głos zawsze cichy a języczek długi;
Namiętnie śpiewa prawdę, lub co prawdą mniema,
Ale nigdy przyjemnie; na to głosu niema.
Przeciwnie, to co drażni, to co boli, lubi,
A zwłaszcza bezwzględnością nad wszystko się chlubi:
— „Powiedziałem mu prawdę, aż mu poszło w pięty!“
Cały też jego rozum w tych piętach ujęty.
Ale owa ta prawda, tak ostra, tak tęga,
Czyliż plotki a czasem oszczerstwa nie sięga?
Weredyk się niewzruszy; jakie bądź tam skutki,
Obowiązek przyjaźni: prawda bez ogródki!
Weredyk zawsze staje w przyjaźni ornacie,

Czyli zwiastuje klęskę, czy płacze po stracie,
Nie lęka się wyjawić najdotkliwszych wieści,
Zagłębia zimną sondę w samo dno boleści,
Ani się zastanowi, czy potem go stanie
Na kropelkę balsamu przy otwartej ranie?
Choćby trochę ułudy, choć trochę nadziei,
Gdzie słońce już nie grzeje na życia kolei;
Choćby tylko snu trochę niezmokłego łzami,
Gdzie kto na zgliszczach szczęścia zdrzymie czasami.
Dlaczego? na co? po co? Te tysiączne groty
Niewczesnej trwogi . . . żalu . . . daremnej tęsknoty?
Na to jest tylko jedno słowo odpowiedzi:
Że w każdym weredyku jakiś djabeł siedzi,
Co w swej pychy rozkosznej pluszcząc się kąpieli,
Mniemanych swych przyjaciół swym ukropem dzieli.
Od takich prawdolubnych świrdrów w każdej porze
I w każdym stanowisku, uchowaj nas Boże!

STARY ŚPIEWAK.

Nie drwicie sobie z mej starej bandury,
Że posklejana od dołu do góry,
Jaki pan — taki kram;

ALEKSANDER HR. FREDRO.

Nie drwicie sobie, że mój głos już stary,
Mało w nim sztuki, ale dużo wiary,
Śpiewam, co w sercu mam.

Nie lajcie-że mnie wy uczone wieszczce,
Jeżeli czasem odezwę się jeszcze,
Wszak ci to cichy śpiew;
A za dawniejsze, dawniejsze przewiny,
Żem kiedyś sięgał po wasze wawrzyny,
Niech zmięknie słuszny gniew.

Niegdyś młodemu czucie w pieśniach grało,
Że to natchnienie, zamarzyłem śmiało,
Nuż śpiewać tak i siak;
Aż głos wasz zagrzmiał o! mistrzowie sztuki:
„Cicho z oklaskiem! Tu barwy, nauki,
Poezyi, całkiem brak!“

Wprawdziem Parnasu nie poznał w obozie,
Wszystko się działo w wyrazistej prozie,
Wzdłuż i wszerek, jak Bóg dał;
Chcieć więc być wieszczem, bez doktorskiej czapki,
Zdroju waszego nie łyknąwszy kapki
Był to błąd, był to szal.

Zamilkłem, milczę, uwierzyłem, wierzę,
Że w niskiej tylko kręciłem się sferze,
Że prac moich lichy plon;

ALEKSANDER HR. FREDRO.

Lecz nigdy, nigdy, to potomność przyzna,
Zawiści, zemsty i fałszu trucizna,
Nie tknęły moich stron.

Jakie bądź były mej myśli natchnienia,
Zawsze jednakże aż przez dno sumienia
Czysty ich płynął źródł;
Karcilem niemi zuchwałą głupotę,
Kochałem niemi prawdy świętą cnotę,
Współbraci i kraj mój.

Stukliście lutnię w moim młodym ręku,
Niechże przynajmniej bandury pobrzęku
Nie sięga już wasz gniew;
Jeśli dziś śpiewam, to tylko pacierze,
Za wiernych jeszcze tej ziemi i wierze . . .
Łabędzi to mój śpiew!

KOMU W DROGĘ TEMU CZAS.

Wdzięczne dnia światło, niebios wydęty błękanie,
Gwiazd stada z swoim pasterzem księżycem!
Tyle już, tyle lat na mnie patrzycie
 Wesołem lub chmurnem licem;
Jutro już może nie powitam was;
 Komu w drogę — temu czas!

Pieśni słowicze, ptaków powietrzne chorały,
Boru szumy mistyczne w nocną ciszę,
Śpiewne jeziora, mrużące kryształę,
 Rozmyślań mych towarzysze.
Jutro już może nie usłyszę was:
 Komu w drogę — temu czas!

Wonnych balsamów z czeremch, bzów, wiśni, jabłoni,
Majowy wietrzyk dla mnie nie pozbiera,
Ni technię żywicznych od lasów nagoni
 I róż mi nie pootwiera.
Jutro nie przyjdę piersią chwytać was:
 Komu w drogę — temu czas!

LUCYAN SIEMIĘSKI.

Wy uskrzydłone duchy z dłutem, pędzlem, piórem,
Coście od ziemi rwali mnie do siebie,
Żem się nie toczył po niej suchym wiórem,
A częściej chodził po niebie;
W górnej pracowni ducha spotkam was:
Komu w drogę — temu czas!

O! złote myśli, w pasma powplatane zgrzebne,
Marzenia wieszczą, zapалу ekstazy!
Życia mirażę już mi niepotrzebne,
Rzeczywistsza milion razy
Jutro mię wieczność oddzieli od was:
Komu w drogę — temu czas!

O! rągly fantazyi! Z gliny waszej gdy lepiłem,
Twórca był ze mnie — twórczość to nie płodna:
Bo choć z waszego źródła ciągle piłem
Nigdy nie dopił się do dna.
Bezsilne . . . więcej grób powie od was:
Komu w drogę — temu czas!

Snem wszystko! Mleczną drogą z gwiazd wybudowaną
Pójdę ku słońcom w przestwory szafiru,
Gdzie czysta prawda będzie mi podaną
Wykuta, jakby z porfiru.
Żał mi serc kilku; moi! żał mi was:
Komu w drogę — temu czas!

LUCYAN SIEMIEŃSKI.

DZIECIĘCE LATA.

Piękne to były dziecięce lata,
Kiedym za ledwie odnikł od ziemi;
Myśl moja często ku nim ulata,
Złocąc je snami, łzami cichemi.

Kiedym to igrał na matki rękę,
Kolano ojca było konikiem;
W sercu woń taka i tyle dźwięku!
Oj, nie płakało jeszcze po nikiem!

Świat wtedy dla mnie taki był mały;
Ludzie tak dobrzy jak ich cukierki;
Gwiazdki miljonem oczek mrugały;
Chciałem mieć skrzydła, zdjąć te iskierki.

Lub kiedy księżyc wyjrzał nad wzgórze,
Biegłem ku niemu — już, już go schwyce —
Znowum po niebie jeździł na chmurze,
I za batożek brał błyskawicę.

Widziałem słońko, jako się kładło
W złote łódeczko, z chmurą pod głowę;
Jak go jezioro potem odkradło —
Ledwo już rąbki widać różowe.

LUCYAN SIEMIEŃSKI.

Co ranek, wieczór — jam myślał sobie:
Jaki Bóg dobry! dla mej zabawki
Zrobił ten księżyc, słońce na dobie,
Ptaszki, motylki, kwiatki i trawki.

I co dzień rano, wieczorem co dzień,
Mówiłem pacierz razem za mamą:
Boże! niech będę darów Twych godzien
I niech Cię Kocham zawsze tak samo.

Za dawców życia, za zmarłych krewnych,
Za tych co cierpią, za ziemię całą,
Jam się tak modlił! — Chociaż w niepewnych
Rysach, to wszystko się malowało.

O! gdzie te lata!? Na pełne morze,
Jak od wybrzeży fala odbita,
Odbiegły — znikły. Kiedyż o! Boże,
Anioł lat młodych we mnie zawita!

KNIAŻ DYMITR WIŚNIEWIECKI.

Kniaz z Wiśniowca w Jedykule,
Za kratami na barłogu,
Znosi ciężar mąk nieczule,
Poprzysięga mścić na wrogu.

LUCYAN SIEMIEŃSKI.

Jakby jeszcze na niewierne
Stepem, hufce wiódł pancerne,
Przy surm wrzawie i dum pieniu;
Jakby nogę czuł w strzemieniu;
A tu stepem — cztery mury,
A dumami — jęk ponury,
A drużyną — małe chłopię.

— Hej pachole! oj ty tużysz
Już nic u mnie nie wysłużysz;
I ja tobą niewytropię
Wroga w stepie, ni zatopię
Bisurmańskie w Dniepr galary.
Dość mi dałeś, dość swej wiary,
Dość dzieliłeś lichą dolę,
Wróc pachole na Podole! —

— Kiedy łowiec w wilczej jamie;
Gdy cięciwa pryśnie w kuszy:
Siada sokół wiern na ramię,
Wierna strzała się nie ruszy.
Ja ci strzałą, ja sokołem
Nie powrócę; cierpmy społem. —

Przyszedł sułtan z pychą pawia
I tak kniazia sam podmawia:

LUCYAN SIEMIENSKI.

— Dam ci córę, jak dzień jasną,
Dam ci skarbów co niemiarę,
Tylko porzuć wiarę własną,
Muzułmańską przyjmij wiarę.

— Piękna córa, skarb bogaty,
Ale wiara twa za katy!

— Ha! psa giaura, weźcie, weźcie,
I za żebro go powieście!

Już to trzecia wschodzi zorza,
Na Gałacie, gdzie kraj morza,
Kniaź na haku się kołysze,
W oczach zemstę Turkom pisze,
Patrzy w morze — to na szlaki:
Nie pancerneż ciągną znaki?
Czy nie czajki? ciężko wdycha,
Usta krzepną, mówi z cicha!
— Oj! pachole wierne, młode,
Wracaj, wracaj na swobodę!
— Ja ci strzałą, ja sokołem
Nie powrócę; gińmy społecm!

A kniaź oczy wiódł ponure!

— Widzę w sadzie, winogradzie,
Trzy sokoly przeleciały,
Trzy rarogi jasnopióre . . .

LUCYAN SIEMIŃSKI.

Hej! pachole, daj trzy strzały!
Czy zostało mi sił wiele,
Czy w co zmierzę — to ustrzelę?

I sultana zmierzyl — w ciemię,
A sultanke — w samo brzemię,
A dziewicę — w samo lice.

Trwoga bije w Carogrodzie:
Co dokazał Lach na haku,
Cóż dokaże na swobodzie!
Sto strzał w niego wystrzelili,
Z piersi serce wydobyli:
Zjedli serce po junaku!

AUGUST BIELOWSKI.

1806 † 1876.

DO MOICH DUM.

Wstańcie odgłosy z rodzinnej ziemi,
Otrząście grubą pleśń!
Czy pod mogiły śpicie dawnemi,
Czy błoń i cisza wiejska was niemi,
Czy w cieniach chowa,
Gaj i dąbrowa:
W jedną się zwiążcie pieśń!

Wstają: tu zwrotka wiekiem skażona,
Owdzie zmacona wieść;
Jak źródł z czystego wytrysła łona,
Poila wdziękiem długie plemiona;
Cicha i miła,
Do cnót budziła,
Wpajała ojców cześć!

Tam tęskne córy z mokrą powieką,
W piersi znamiona burz;
Owion ich myśli błogo i lekko,
Szanuj ten smutek i lży co cieką:

AUGUST BIELOWSKI.

Cichym i czystym
Żalom ojczystym,
Ojczystą nutą wtórz.

Oto skrzydlaty rój przez zagony,
Długi zaściela kir;
Szumią i gwarzą kawki i wrony.
To naszym ciałem tłum wypasiony,
W radosnym chórze,
Zwiastuje burze,
I nowy wietrzy żyr.

Tam ruch i wrzawa kona w uboczy,
Ściany pokrywa mech:
Ciężko i dziko czas się tam toczy,
Wieczystym mrokiem przygasły oczy,
W łonie znędnionem,
Przewlokłym skonem,
Leniwy ślęczy dech.

Już, już znękany żywot rozplotę,
Wieczny powitam dzień:
Pieśni! zaludniaj więźnia samotę,
Roztaczaj nad nim skrzydła swe złote;
Niech w barwy tęczy,
Świat mu się wdzięczy,
Nim wiecznie wzleci zeń.

AUGUST BIELOWSKI.

Tam, gdy w dziedziny zawitał nasze
Stary Jagiełłów krzew:
Medycznych gajów swobodne ptaszę,
Szle powitanie w gościa poddasze,
I w noc samotną,
Piersią szczebiotną,
Znany mu nuci śpiew.

Wiekem stępione budzą się zmysły,
W dźwiękach utonął słuch;
Kwietny smug Niemna i wzgórza Wisły
Z wdziękiem Jadwigi w duszy zabłysły;
Na łono splywa,
Głowa sędziwa,
W niebo uleciał duch!

Wstańcie odgłosy z rodzinnej ziemi,
Otrząście grubą pleśń!
Czy pod mogiły śpicie dawnemi,
Czy błoń i wiejska cisza was niemi,
Czy w cieniach chowa,
Gaj i dąbrowa:
W jedną się zwiążcie pieśń!

EDMUND WASILEWSKI.

1814 † 1846.

KRAKOWIAK.

Wesoły, szczęśliwy,
 Krakowiaczek ci ja!
A mój konik siwy,
 Rażno się uwija;
Uwijaj się, rażno bież,
Kopytami ognia krzesz!

Czapeczka czerwona
 Na głowie mi płonie,
Pokazuje ona,
 Że mi gore w łonie;
Gore serce, pędzi koń,
A dziewczyna klaska w dłoń!

Z czapki pawie pióro,
 Barwami się mieni,
Jak dzionek za chmurą,
 Gdy ją świt zrumieni;
Dumnie błyszczy pawi puch,
I ja dumny i ja zuch!

EDMUND WASILEWSKI.

Krakowiaczek ci ja,
Pędzę sobie żwawo;
Kto mię nie wymija,
Plunę w twarz kurzawą!
Bo ja pan, bo ja król,
Wśród zielonych niw i pól!

W koło szumi zboże,
Kłania mi się kłosem;
Kiedy zbiorę, z orzę,
To pobrzęknę trzosem.
A dziewczęta z całej wsi,
Będą się przymilać mi!

I ta i ta ładna,
Lecz próżne ich chęci;
O! bo mnie już żadna,
Nie zwabi, nie znęci:
Jedno tylko serce mam,
Jedną tylko Halkę znam!

B A L.

Hoże pary idą w tany,
Zataczają skoczne kręgi;

EDMUND WASILEWSKI.

Kurzu wznoszą się tumany,
Przelatują gazy, wstęgi;
Dźwięk muzyki, łoskot kroków,
Jakby w jeden obłok zwiane,
A jak gwiazdy z nad obłoków,
Migają twarze rumiane.

To w przelocie wąs zabłyśnie,
Znów warkocza strumień zleci,
I rumieniec się zakwieci,
Lub źrenica iskry ciśnie.

Znowu, jak mgły nad kaskadą,
Białe suknie z wiatrem płyną;
To jak żagiel się rozwiną,
To się w śnieżne fałdy kładą.
To czasami, ironiczna
Z mlecznych ramion gaza spadnie;
Wnet, jak iskra elektryczna,
Z ust całusek się wykradnie . . .
A w tym wirze, w tym chaosie,
Krew się pali, wre i pryska;
Ogień w sercu, ogień w głosie,
Ogniem lice, oko błyska.
Dorzuć iskrę — wszystko spłonie,
Bo tu wszystko lotne, palne;

EDMUND WASILEWSKI.

Znikną kształty dotykalne,
I dym — aż pod gwiazdy wionie!

O! nie jeden z godowników
Chciałby skonać w takim szale,
Wśród muzyki i okrzyków,
W pjanym do tańca zapale.

Lecz gdy chłodny wstrząśnie ranek,
Pałący rozum i ramię,
Nie jeden szalu kochanek,
Z goryczą ręce zalamie!

Bo jak burza, gdy znienacka
Rzuci gradem i piorunem,
I błyszczące ludzkie cacka,
Okryje ruin całunem:
Tak po burzy omamienia,
Smutna cisza w sercu siędzie,
A krom ruin i zniszczenia,
Już tam więcej nic nie będzie.
Ruin — z mar o wniebowzięciu,
Przy akordach strun pieszczonych,
W lubej dziewicy objęciu,
W zamęcie tańców szalonych.

EDMUND WASILEWSKI.

Pocóż śnić o rajy mam,
Gdy mię dzień na ziemi zbudzi?
Tańczcie! gdy was taniec ludzi . . .
Ja — garść śmiechu rzucam wam!

DRZYM SOBIE DUSZO.

Drzym sobie duszo! co ci do tego,
Że tam myśl czyjaś po niebie lata;
Że ktoś ciekawy początku swego,
Ze starych grobów kurze obmiata;
Woła do życia umarłych ludzi,
Jądro granitu myślą przewierci,
Wszystko obnaży, wszystko obudzi:
I z tego wróży — życie po śmierci!

Życie po śmierci!? drzym sobie duszo!
Czyż być to może, czego już niema?
Kiedy raz umrzesz — już cię nie wzruszą
Łagodność Abla, ni złość Kaima.
Bo śmierć po życiu i śmierć przed życiem,
A między nimi maligny chwila:
To wszystko serca nazwano biciem,
To życiem zowią człeka — motyla!

EDMUND WASILEWSKI.

Drzym sobie duszo! co cię ma budzić
Oko dziewicy miłe, ułudne!
Trebaż się palić — by potem studzić,
W dłoń szczerą, chwytając dłonie obludne?
Drzym sobie duszo! . . . Tybyś nie śpiąca
Spłonęła ogniem, od zimna skrzepla;
Tyś sama w sobie jasna, gorąca,
Tobie nie trzeba zimna ni ciepła.

Ty sobie możesz stworzyć co zechcesz;
Mar fantastych osnuć się wiankiem;
Ty, gdy przyrodę myślą polechcesz,
Milej ci, niż dziewicy z kochankiem.
Co ci do tego, że tam grom pali,
Że jesień wicherzy, lub śniegi pruszą?
Ty na promykach, zapachów fali,
W pieluchach marzeń — drzym sobie duszo!



Do poematu H. Jabłońskiego p. n. „Gwido“.

Rysunek C. Jankowskiego.

HENRYK JABŁOŃSKI.

1818 † 1869.

Z POEMATU „GWIDO“.

Błogosławiony, kto jak ptak na drzewie,
Rodzinną pieśnią wypowiedział duszę,
Kto zna poezją — a o sztuce nie wie;
Nie błędząc w ciemnej pojęć zawierusze,
Ducha melodyi — duchem przeczuł w śpiewie.
Komu muzyka jak rusałka śpiewna,
Powiała czarem w cichą noc majową,
I rozplakana na mogiłach, rzewna,
Jak senny anioł latała nad głową;
A w noc burzliwą, jak nocnica gniewna
Huczała w chmurach trąbą piorunową,
A po parowach wyciem wilków głuchem!
Błogosławiony, kto melodyi słucha
W naturze całej, ducha wieszczym słuchem;
Kto w szacie dźwięków poznał dźwięków ducha,
I czuciem piękna, stał się równie duchem
Promiennym, jasnym.

Gołąb co tam grucha

HENRYK JABŁOŃSKI.

Na starym dębie; lasu szum ponury;
I ryki trzody co idzie górami;
I ranne echo którem mówią góry;
Krzyk orłów; wicher co leci stepami:
Wszystko to bożej harfy jest strunami,
Wszystko jest bożą pieśnią wiekuistą.

Kto duchem w pienie nie wcielał się boże;
Za czysty akord nie stał duszą czystą;
Nie padł kropelką w to bezbrzeżne morze:
Ten nie jest duchem — poetą — artystą,
I berła ducha posiadać nie może.

Muzyko! jasny, święty cherubinie!
Błogosławionaś — niebios posłannico!
Ty nad kolebką śpiewasz już dziecinie;
Na łąkę kwietną płyniesz za dziewicą;
Rolnika łany przemieniasz w świątynie;
Na polu bitwy — męztwa błyskawicą
Zapalasz duchy!

Ty — nawet na grobie
Grasz cichem, smętnem, łzawem narzekaniem
Ty jako płaczka gdy naród w żałobie,
Serdeczną nutą lamentujesz za nim.
Serca cnotliwe za kościoły tobie!

HENRYK JABŁOŃSKI.

Jak mową duszy — kaźden naród graniem
Serdeczną nutą dzieje opowiada.

Nasz duch melodyi jeszcze rozsypany,
Świeci jak gwiazda stupromienna, błada;
Huka po górach i wieje przez łany,
Z stepowym wiatrem w dumie stepów gada,
I nad mogiłą jęczy rozplakany.

A dotąd niemasz mistrza silnej ręki,
Z natchnioną duszą, z myślą promienistą —
Coby te dumy, te sieroce jęki
Zebrał — i przelał w jedną pieśń ojczystą,
Rodzoną, naszą, — i sieroce dźwięki
Wyśpiewał z piersi jak melodyę czystą,
Natchnioną, wielką — jak ta piękna ziemia.

Nasz duch melodyi wieje pośród ludu,
Artystów serca jakiś czar zaniemia,
Zaślepia oczy. Mogliby bez trudu
Kwiat, co na własnej grzędzie się rozplemia:
Podnieść, — zajaśnieć w błyskawicach cudu.

Ale ostrożnie młody cherubinie;
Miecz obosieczny — to boże natchnienie.
Muzyka wężem zazdrości obwinie
Głowę i serce, w błękitne pierścienie . . .

HENRYK JABŁOŃSKI.

Z głowy i serca struga krwi popłynie
Na każdy ziemski uścisk lub zachcenie.

O niej zamarzysz na łożu bezsennem;
Od ust ci słodkie oderwie napoje
I w pocałunku ostudzi płomiennym.
Za poświęcenie — znasz ty wieńce swoje?
Cierniowy wieniec pod wieńcem promiennym,
I włosiennica pod słoneczną zbroję . . .
Pójdiesz tą drogą?
— Choćby przez płomienie!

* * *

Oto znużony chodzę po ulicach,
Pytam o mistrzów.
Czy są czarodzieje,
Co ducha umią porwać w błyskawicach,
Urok wlać w serca aż czoło zblednieje —
I łza perłowa błysnie na źrenicach,
A z ust, westchnienie płomienne powieje?

Idę — lecz stójmy: słyhać jakieś granie!
Muzyka sama wskaże drzwi artysty.
— „Czy tu artysta?“ — „Tak jest, tutaj panie.“ —
Drzwi mi wskazano, zkąd luby, przeczysty
Dźwięk płynął, ciche wiało zadumanie.

HENRYK JABŁOŃSKI.

Młodzian był smutny — a wzrok miał ognisty;
Nad białem czołem świecił blask natchnienia:
— „Chcę być artystą! pokaż bracie drogę!“
Spojrzał mi w oczy, a łzę miał cierpienia
W oku, a w sercu jakąś dziwną trwożę,
Jakbym go pytał drogi zatracenia . . .
Westchnął i stale odmówił:

— „Nie mogę!

Nie mogę, mówił, tam prowadzić ciebie
Zkąd duszom wyższym nie masz już powrotu.
Wierz mi, łzy płyną w tem artystów niebie;
Melodya cicha jest odgłosem grzmotu
Co w serce bije! . . . I któż pojmie ciebie?
Zyskasz garść złota i chwilę łoskotu
Oklasków szumnych; jeśli szarlatani
Cię nie uprzedzą — złoto i oklaski
Wydrą, a motłoch lodem serce zrani;
Na głowę — puste rzuci sławy blaski,
Wyszyci ciebie . . . Tak my zapoznani,
Żyjemy łaską, umrzemy z niełaski . . .
Głód, piekło całe!“ —

I wziął mię za rękę:

— „Chodź, mówił, ze mną, ujrzysz mego mistrza“.
Tu głos stłumiony zdradził serca mękę,
I łza błysnęła, łza od rosy czystsza . . .
Jam w duszy Bogu lał serdeczną dziękę,

HENRYK JABŁOŃSKI.

Bo droga moja zdała się okwitsza,
I cel mój jasniej świecił na niebiosach.

Staliśmy u drzwi w korytarzu ciemnym.
Wnętrze komnaty w rozplakanych głosach,
Zabrzmiało jękiem głuchym i podziemnym;
Jakiś wiatr zimny powiał mi po włosach,
Bom zadrżał strachem tęsknym i tajemnym.

W komnacie ciemno; — na brudnej pościeli
Starzec, lecz wiekiem czy troską styrany?
Ze zwiędłej twarzy próżnobyśmy chcieli
Wyras przeczytać. Odziane w łachmany
Żona i dzieci przy łożu jęczeli —
On nie mógł skonać jękiem ich wołany.
Łzę zimną śmierci zgasły wzrok napawał,
Lecz łza umarła po twarzy nie ściekła,
Świeciła strasznie. Dałby serca kawał
Za kawał chleba; taka rozpacz wściekła
Gryzła to serce . . . Bogu ducha dawał —
A twarz świeciła całym ogniem piekła . . .
Skonał!

My stali jak posągi białe;
W końcu rzekł do mnie mój przewodnik młody:
— „Ten starzec, sztuce życie oddał całe;
Teraz się świetnej doczekał nagrody:

HENRYK JABŁOŃSKI.

Patrzeć, jak z głodu mrą osierociałe
Żona i dzieci. Troski i zawody
Przedwczesnym szronem głowę obsypały;
Młodość — zgasiły boleść i cierpienie;
Zachwył o głodzie — oto żywot cały!
Pójdiesz tą drogą?“

— „Choćby przez płomienie!“

* * *

Z taką to wiarą i z takim zapalem,
Jako artysta pierwszym kroki stawil;
Świat mój marzony był czczym ideałem . . .
Świat rzeczywisty muzyką się bawił,
Gdy była w modzie — nawet z pewnym szalem!
Płacił bilety, o artystach prawil
Szeroko, długo — rzeczy niestworzone!
Sypał oklaski — na zrządzenie boże!
A czasem kwiaty i wieńce zielone . . .
Potem rozmawiał i odwiedzał łożę;
Potem narzekał na chwile stracone,
Bo właśnie spacer piękny o tej porze.

Grałem raz: sala była przepełniona;
Wśród światła drżały kamelje i róże
I wiały pióra; człola i ramiona

HENRYK JABŁOŃSKI.

Dziewic, świeciły jako śnieg na górze;
Dalej kolumna młodzieży ściśniona,
Jak czarna chmura przy aniołów chórze!
Grałem, a duchem, śmiało i serdecznie,
Całą mą duszę przelałem w to granie,
Całe uczucie . . .

 Nie zapomnę wiecznie!

Struny mówiły by duch wstąpił na nie.
Anioł melodyi zajaśniał słonecznie,
I grę mą mienił na niebios wołanie.
Sierocym płaczem zajęczały struny,
Dźwięki płynęły jako łzawe fale . . .
Ciszej i ciszej — niby jęki z truny,
Nad którą dzieciom wzbronno nawet żale.
Nagle zagrzmiałem — cisnąłem pioruny,
I łzawem okiem spojrzałem na salę.

Na sali śmiechy, rozmowy — aż gwarно . . .
Sypnęli oklask! jakbym prosił o to?

Pierwszy raz na świat popatrzyłem czarno;
Grałem kamieniom, perłom rzucał w błoto!
Sprzedamże duszę za ich płacę marną?
Wstałem . . .

 I w oczy cisnąłem im złoto.

HENRYK JABŁOŃSKI.

D U M K A .

W głos serdeczna dumka płynie,
Tam moja jedyna.
A na tej tam Ukrainie,
Matka i rodzina.

Matka tęskno patrzy w pole,
Łzawemi oczyma:
Pusta droga na Podole . . .
Ani wieści nie ma!

Ach! upłynie wody wiele,
Miną lata, latka,
Zazieleni drogę ziele:
Nim go ujrzy matka.

*

W głos serdeczna dumka płynie,
Tam moja jedyna.
A na tej tam Ukrainie,
Matka i rodzina.

Miła tęskno patrzy w pole
Czarnemi oczyma:
Pusta droga na Podole,
Ani wieści nie ma.

HENRYK JABŁOŃSKI.

Ach upłynie wody wiele
Minie czasu siła:
Zazieleni drogę ziele,
Nim go ujrzy miła.

*

Czarnobrewko, żal urody!
Taka wola boża:
Nie on jeden w świecie młody;
Tyś jak wiosna hoża.

Czarne oczy, kraśne lica,
Zaklną nie jednego.
Tobie szczęście — a tęsknica
Dla niego, dla niego!

W głos serdeczna dumka płynie,
Tam moja jedyna.
A na tej tam Ukrainie,
Matka i rodzina.

Próżno czeka stara matka,
Próżno czeka miła:
W obcej ziemi miną latka,
Uściska mogiła!

KAROL BALIŃSKI.

1817 † 1864.

FARYS — WIESZCZ.

O! i ja kiedyś byłem Farysem
Lecz czy wy wiecie co Farys znaczy?
Ha! niech step mówi swoim opisem!
Olbrzyma — olbrzym niech wytłumaczy!
On tylko jeden prawdę nam powie,
Jemu więc wierzcie jak koranowi.

— Farys — step mówi: to dziecię moje,
To duch tęsknotą nieba trawiony!
Zesłany tutaj na ciągle boje,
Na ciągłych pragnień żar niezgaszony!
A tak mu trzeba nieba i słońca,
Że tylko za niem pędzi bez końca.

I nic go w pędzie wstrzymać nie zdoła;
Ani uroczej cienie oazy,
Ni beduinka głosem aniola
I blaskiem oczu miłszym sto razy.
Próżne pokusy! bo tacy gońce,
Kochają tylko niebo i słońce!

KAROL BALIŃSKI.

Więc jam był gońcem i gońców bardem:
Cudneż to było to nasze grono!
Z tą myślą wiecznie w słońce zwróconą,
I z tem ramieniem młodzieńczem, hardem,
Co krawędź nieba z krawędzią świata
Sili się spoić — wierząc — że zbrata.

Patrzcie! tam w koło piaszczyste wzgórza,
Niby umyślnie słane mogiły;
Czasem się z głębi szkielet wynurza;
Spytaj tych kości — czem one były?
Ha, te mogiły Arabistanu,
To tylko ślady stóp huraganu!

On to Farysów pochłonał w siebie,
Pochłonał żywcem braci kochanych.
Jam tylko jeden został na grobie,
Na grobie gońców już zapomnianych!
Czy to jest łaska, czy kara nieba:
Allah żyć kazał, więc żyć potrzeba!

Jak młode orlą z złamanem skrzydłem,
Co się już nigdy w niebo nie wzniesie,
Żyć życiem gadu gnuśnem, przebrzydłem,
W tych smutnych murów ciasnym zakresie.
Ha! próżne żale — śpiewaj pajaco,
Tylko zabawnie bo niezaplacą.

KAROL BALIŃSKI.

O! wieczna hańbo, wieczna sromoto!
Ja Farys, piewca z nieba natchniony:
Pieśń mą na ziemskie przestrajac tony,
Pieśń mą sprzedawać muszę za złoto,
By czem okupić cień cudzej strzechy,
Lub zgłuszyć z nędzy szydzące śmiechy.

Oni nie wiedzą, że wieszczą pienie
Jest jako słońce na niebios sklepie:
Co na wszechwładne Boga skinienie
Świeci wędrowcom błędzącym w stepie;
A przecież słońcu nie płacisz za to,
Że cię zbawienną poi oświata.

Oni nie wiedzą — że piewcy śpiewy
Jak ów dziewiczy ogień miłości:
Co za niebieskie swoje wylewy,
Nic, nic niepragnie prócz wzajemności!
Sprzedawać miłość — hańba kobiecie,
Sprzedawać śpiewy — hańba poecie!

Przecież tą hańbą wlokę dziś życie . . .
Allachu! jakże dręczysz mię srogo!
I jeszcze nieraz, ktoś niby skrycie,
Niby po cichu — powie: „za drogo!“
— Za drogo? mówisz . . . Powiedzże bracie,
W jakiejż wy cenie życie sprzedacie ?

KAROL BALIŃSKI.

Bo słuchaj: — pieśń ma, to cząstka życia;
Tam jest krew moja, tam są łzy moje!
I mego serca pospieszne bicia,
I uczuć moich i myśli roje!
A każdą — żeby dostać, wyjawić,
Muszę wprzód serce mocno rozkrwawić.

Więc cóż! za drogo?!... O! bądźcie szczerzi!
Gdyby wam przyszło życiem frymarczyć,
I jak pelikan rozrywać piersi,
By krwi za cenę złota dostarczyć:
W jakiejżby cenie była kropelka
Łzy, lub krwi waszej, choćby niewielka?

Męczarnia wieszczą w chwili tworzenia,
To boleść matki w chwili porodu;
Ile wlał życia do swego płodu,
Tyle wzięł życia z swego istnienia;
Ile on pieśni dla was utworzył,
O tyle kroków grób swój przysporzył.

Czasem, w dodatku słyszę oklaski,
Szczerę, czy zwodne — wszystko mi jedno:
Znam tych błyskawic przelotne blaski!
Znam ich gruntowność i trwałość biedną!
Wasze pochwały — toć to szyderstwo!
Wasze pochwały — toć to bluźnierstwo!

KAROL BALIŃSKI.

Gdy syn rozpaczłą pięścią kołaczę
W grób, co mu drogą matkę ukrywa:
Możecie mówić: że pięknie płacze?
Możecie mówić: że słicznie śpiewa?
Jak ta łza syna na matki grobie,
Też samą szczerość śpiew mój ma w sobie.

A więc schowajcie marne pochwały —
Gdy pieśń ma święta jako łzy syna;
Nie takie wieńce wieszczom przystały!
Wieszcz — takie wieńce depce, przeklina;
Duch jego wielki i wiecznie młody,
Innej — o! innej żąda nagrody!

Nagroda piewcy — to cisza owa,
Niema, uroczą, z której odgadnie
Że w duszach wielki zamiar się knowa,
Co kiedyś światu zagrzmie wszechwładnie;
Cisza, co mówi że ziarno wschodzi,
I myśl-kwiat, w krótkce owoc-czyn zrodzi!

Nagroda piewcy — to te spojrzenia
Co świecą całym duszy wulkanem;
Krótkie, milczące dłoni ściśnienia,
Z westchnieniem długo w piersi chowanem;
I owa chmura ciemiąca czoła,
W której polska miecz archanioła!

KAROL BALIŃSKI.

To mi nagroda! — Jam ją odbierał:
W koło mię stali bracia Farysy;
Każdy pieśń moją sercem pożerał;
Pieśń ma wnikała w ich twarzy rysy;
W krew tych serc wielkich, w ich myśli gniazdo:
Lśniła im w drodze przewodnią gwiazdą.

Farysy znikli! głucho na stepach,
A w stepie życia — ach! smutniej jeszcze.
Czasami tylko wiatr zaszeleszcze
Dmąc po wywianych czaszek czerepach:
On wszystko wywiał! wszystko przewiało —
Co było cnotą, prawdziwą chwałą.

O! i mnie pora spocząć w mogile,
Zasnąć snem braci błogosławionych;
Aż kiedyś, kiedyś — za męczarni tyle,
Gdy głos Allacha budząc uspiomych,
Na swoje rajskie zwoła ogrody:
I ja niebieskiej doznam nagrody.

W tym boskim raju, w tem siódmem niebie,
W waszej ojczyźnie o prawowierni!
Allah mnie wielki wezwie do siebie,
Zdejmie mi z głowy ten wieniec z cierni,
I żmiję tyłą krwi przesiąkniętą:
Wyrwie mi z serca pamięć przekłętą!

KAROL BALIŃSKI.

I najcudniejsze wezwie dziewice,
I rzecze: — służcie jak Padyszachu!
Ja i nie spojrzę nawet w ich lice,
Ale z pokorą powiem: — Allachu!
Jam tylko prawdy szukał na świecie,
A taką miłość znajdzie w kobiecie?!

Nie chcę hurysy, choćby piękniejszej
Od tej, com niegdyś kochał na ziemi;
Lecz ja nie gardzę dary Twojemi!
Ja tylko łaski błagam pełniejszej;
Za wszystkie, wszystkie Twoje hurysy:
Niech wstaną moi bracia Farysy!

O! pozwól, pozwól choćby na chwilę
Zstąpić nam jeszcze w nasz kraj cyprysów!
I w dawnej naszej, młodzieńczej sile,
Pobujać orlim lotem Farysów;
I piersi dawnem orzeźwić biciem,
I dawnem naszym zabłysnąć życiem!

Allach wysłucha . . . Wnet grzmiące głosy
Wystraszą w głębi śpiących tygrysów,
I okrzyk szczęścia buchnie w niebiosy!
Widcież raz w życiu polot Farysów!
Może wam wówczas, biedne robaki,
Przyjdzie ochota do jazdy takięj!

DOMINIK MAGNUSZEWSKI.

1810 † 1845.

DWIE PIASTUNKI.

Od kolebki tylko, tylko,
Com przeczołgał kilka lat;
Już mię rzuca jedną chwilką
Matka, idąc w inszy świat.
I zostawia chłopię młode,
Na wygodę — niewygodę.

O! już wtenczas główka mała
Przędła wdzięcznych widmów rój;
Co żądała — nieżądała,
To się plotło w senny zwój;
Zlatywała myśl nieboga,
To od Boga — to do Boga.

Raz sennemu tak przypađło
Dwoje dziewic, białych róż;
Jak widziađło — nie widziađło,
Przy nadgłówkę stały tuż.
Jak do matki ku nim kłonię,
Jednej dłonie — drugiej dłonie.

DOMINIK MAGNUSZEWSKI.

I spierały się dziewice,
Która dziecko niańczyć ma?
„Ja mu dam śmiejące lice,
Niechaj zbytek szczęścia zna.
I myśl jego się pobrata
To ze światem, to do świata.“

„Puszczaj sestro! rzece druga —
Puszczaj rączkę! w malcu tym
Budzić rozkosz, nie posługa
Ni to jemu, ni to im.
Ja go wniańczę w ostre bole
I w niedolę . . . i w niedolę.“

A mówiła taką twarzą,
Tak jej oczy zaszły łzą,
Tak się w niej cierpienia skarżą,
Że mi ku niej piersi drżą.
Żem się rzucił cały pono
Na jej łono i w jej łono.

Wówczas zdala nikła, nikła,
Druga postać w jasnym tle;
A mnie smętność tak niezwykła
To do główki, to w pierś ssie:
Bo zostałem z własnej woli
Dzieckiem doli i niedoli.

DOMINIK MAGNUSZEWSKI.

Odtąd niańka zazdrośnica
Zaszczepiała dzień i noc
Boleść w serce, smutek w lica,
Słabość ciała w mężką moc;
Urabiała Bóg wie na co
To ladaco — na ladaco.

Czasem, czasem, z za obłoku
Zapromieni drugiej twarz:
To ja lecę — lecz w wyskoku
Już, już tęsknię — Boże skarż —
Za tą pierwszą zapłakaną,
Tak mi znaną i nieznaną.

Lecz cóż robić, mówcie sami,
Kiedy tak mi lubo z łzami,
Kiedy serce jak koń w cwale,
Rzuca pianą w cierpień szale,
I z swą raną tak swawoli,
Że nie boli to, co boli?

Lecz cóż robić, kiedy żale,
Co się kąpią w zdroju łez:
To tak wonią okazale,
Jak lilija, róża, bez;
I siostrą są ci i bratem,
I są kwiatem — i nie kwiatem?

DOMINIK MAGNUSZEWSKI.

Darmo, darmo siły krzepię,
Darmo szarpie — widzi Bóg!
Już mej doli nie odczepię
Od jej szyi, od jej nóg;
Bo w mej drodze jest sąsiadką,
W życiu matką i nie matką.

Raz wyrwałem się niebodze . . .
Och! był to weselny dzień;
Bębny biły mi po drodze,
W pośród huku, pośród grzmień,
Zdało mi się . . . tylko zdało,
Bo się rwało — i urwało!

I straciłem raz na zawsze,
Do mej chatki rodnej szlak;
Na rozstajne, na najkrwawsze
Drogi zbiegłem, jak ten ptak
Co go w klatkę pchną sokoły,
Niby wesół — niewesoły.

Ach! raz znowum na domowym
Progu, zdybał szczęścia zdrój.
Usty, sercem niejałowém
Usłyszałem: twoja — mój!
I uciekłem w krąg zameżcia,
Przed nieszczęściem — od nieszczęścia.

DOMINIK MAGNUSZEWSKI.

I wypchnąłem mą piastunkę
Za dziesiąte, siódme drzwi.
I oddałem jej skarbunkę
Pełną łez i pełną krwi.
I rzekłem jej: to ostatnie
Łzy me bratnie i nie bratnie.

Gdzie tam! — przysła do podwoi,
Do znajomych sobie wrót;
Tuż przy łożu żony stoi,
I roztacza chorób splót.
A szczęście mnie pożegnało,
Trumieneczką jedną, małą.

Ha! cóż robić . . . Piastuj sobie
Ulubieńca, piastuj wciąż;
To w żałobie, to w chorobie,
Mocnem pętem k' sobie wiąż.
Ej, strzeż! bo ci się wysliznę
Z tej mielizny, w głąb — w mieliznę!

ŚMIERĆ SŁOWIKA.

W drucianem więzieniu, gdzie kipi gwar miasta,
Zamknęli słowika;
Lecz chętka śpiewania tak wzrasta, tak wzrasta,
Że piersi przenika.
Oh! nie masz tu cienia w olszniczku, w leszczynie,
Co głowę osłoni!
Oh! nie masz tu wtóru, bo strumyk nie płynie
Ze szmerem po błoni!
Oh! nie masz tu lubej, dla której by warto
Choć skonać wśród pieśni!
Nie można wylecieć na przestrzeń otwartą,
Bo klatka lot cieśni.
Tu zamiast wietrzyka o bruk koła grzmocą,
Aż trzęsą się ściany;
Tu kurzem osypie jadący karocą,
Pan w złoto przybrany.
Tu zamiast strumyka, tłum płynąc jak woda,
I tętni — i wrzeszczy;

WŁADYSŁAW SYROKOMLA.

Gdzie tutaj zaciszę, gdzie tutaj swoboda,
By wydać głos wieszczcy?
Aż chwieje się główka, aż pęka mu łono,
Kurzawa aż dusi;
Lecz kogo na świecie słowikiem stworzono
Ten śpiewać już musi.
Poczyna piosenkę, w tonach się rozpada,
Wygłasza swe żądze:
Gdy głuszy go ciągle przechodniów gromada,
Co liczy pieniądze.
Lecz silne, strzeliste śpiewanie słowicze,
Przemagać poczyna:
Wóz tętni po bruku — „o! ja go przekrzyczę!“
Tak myśli ptaszyna.
I nótą wciąż wyżej i wyżej wystrzela,
Góruje głos młody!
Przypomniał swe chwile dawniejsze wesela,
Swe chwile swobody . . .
Przypomniał swój gaik i lube wieczory
Pod gęstą kaliną;
Przypomniał serdeczne, długie rozmowy,
Ze swoją jedyną;
Jak budząc się ze snu, przed jutrznią, przed słońcem,
W mgle rannej lał trele,
I głosem królując nad ptactwa tysiącem,
Był zawsze na czele!

WŁADYSŁAW SYROKOMŁA.

„Przekrzyczę, prześpiewam niesforne te gwary,
Pomimo hałasu!
Do wyższej, do wyższej nastroję się miary!“
Tak myślał syn lasu.
Lecz bardziej a bardziej łoskotów grzmią krocie,
Bruk miejski wciąż dudni;
A jakby na przekór, w ulicznej ciasnocie
I ludniej, i ludniej . . .
Ów, drugi przechodzień, swe kroki zatrzyma
I słucha pieśniarza;
Pochwała tem bardziej pierś jego rozdyma
I zapał rozżarza.
Niebaczny! swój tryumf oplacasz zbyt drogo,
Cóż ciżby brukowe?
Zdobędziesz ich oklask . . . lecz płakać nie mogą,
Ich oczy matowe.
Słuchaczów co płaczą łezkami rozkoszy
Potrzeba ci właśnie;
Tyś nieznał oklasków, bywało cię spłoszy
Kto w dłonie zakłaśnie.
Już ból wysilenia rwie piersi ptaszęce,
Skrzydółka omdlały . . .
On tego nie czuje! bo w swojej piosence
Utopił się cały.
Całego słowika ogarnął szał pieśni,
Aż echem drga klatka;

WŁADYSŁAW SYROKOMLA.

Tem śpiewa donośniej, im cierpi boleśniej,
Z sił swoich ostatka.
A wozy wciąż huczą, a ciżba wciąż krzyczy,
Ci sobie — on sobie;
Aż pęknął od pienia gardziołek słowicy
W ostatniej swej probie.
Daremnie w drobniuchne skrzydelka szeleszcze,
Chwieje się i śłania;
Gorące serduszko zadrgało raz jeszcze,
Lecz taktem skonania.
I ten, co pieśniami górował nad knieją,
Tu zerwał swe siły:
A koła po bruku szyderczo się śmieją,
Że ptaszka zabiły!

KSIĘGARZ ULICZNY.

Aksamitem i złotem świetnieją księgarnie,
Aksamitna publiczność po książki się garnie;
A księgarz ceniąc towar jako mu się zdawa,
Złocistemi wyrazy sypie jak z rękawa;
I nam, którzy do druku gotujemy skrypta,
Do spartańskiej polewki, dana soli szczypta.



Do poezyi „Księgarz uliczny“ Syrokomli.

Rysunek C. Jankowskiego.



WŁADYSŁAW SYROKOMLA.

Dzięki Bogu i za to A czy pamiętacie,
Kiedy w pańskim pałacu i w szlacheckiej chacie
Starczył za wszystkie książki wileński kalendarz,
A za wszystkie gazety wioskowy arendarz?
Dziś cała Litwa czyta, dziś wszystko jej znane,
Więc pytasz sam u siebie: kto sprawił tę zmianę?

Patrzcie! ja go wam wskażę: przyparty do ściany
Stoi żyd siwobrody okryty w łachmany;
Oczy krwawe, zamglone, zgrzybiałość na twarzy,
Pod pachą kilka książek. To Nestor księgarzy!
Nie szydźcie z tej postaci! Lat sześćdziesiąt blisko,
Jak zajął przy tej ścianie swoje stanowisko,
I przechodniom zalecał bibułę i szmaty:
Za miedzianą monetę, dał złoto oświaty.

Gdy wielka pieśń i mądrość Hellady i Romy,
Górowała nad naszej mądrości atomy;
Kiedy w słowie Platona, w Horacego nucie,
Znajdowano wielkości i piękna poczucie!
On sprzedawał łacińską książeczkę *in quarto*,
Zabrudzoną z początku a z końca odartą;
Sprzedał za kilka groszy, — a w dodatku powie:
„Niech pan czyta szczęśliwie, niech idzie na zdrowie!“
Zdrowieź było w tych książkach, słowo wrzące czynem!
Naczytawszy się Rzymian — byłeś Rzymianinem;

WŁADYSŁAW SYROKOMLA.

Duch olbrzymiał w potęgę, opływał w rozkoszy,
Za ubogą zapłatę kilkunastu groszy.
A nędzarz co to sprzedał, — patrz, jak błogo leci
Kupić czarnego chleba dla żony i dzieci;
Jak za ten czarny chlebek, plon swojego żniwa,
Panu Bogu dziękczynne psalmy wyśpiewywa!

*

Pogadajmy z nim sami. Wspomniał czasy młode,
Westchnął, oparł na kiju osiwiiałą brodę,
Otarł czerwone oczy.

— „Panicze, panicze!

Tyle dobrego zdrowia i setnych lat życzę,
Ile przez moje ręce przeszło za lat dawnych
Prawdziwych Elzewirów w pergamin oprawnych!
Czy to raz, profesorska figura zgarbiona
Placiła po dukacie listy Cyncerona?
Za Plautusa, choć prawda, inkunabuł stary,
Pan *Groddeck* mi zapłacił aż cztery talary!
A ja tylko sprzedając ściskam ramionami:
Bo na co im te książki, kiedy piszą sami?
Rarytne były czasy — a książek ogromy!
Groddeck, *Czacki*, *Śniadeccy*, popisali tomy . . .
Dzieła choć naukowe szły jak asygnata;
Dużo ich sprzedawałem w staroświeckie lata!
Czy żyją — czy pomarli: daj im Boże zdrowie!

Kupowali je hurmem akademikowie.
Nie jeden z nich dostąpił sławy literata,
Lub wielkiego lekarza przed obliczem świata;
Niejeden tego doszedł przez mego Homera,
Że dziś jeździ kareta i ubogich wspiera.
Toż wszystko moje dzieci! mogą mówić śmiało;
W moich to oczach rosło, w moich rozumiało,
A był to lud ubogi — obciążony pracą . . .
Niejeden chciałby kupić — a tu niema za co!
Niejeden, — tych paniczów dobrze mam w pamięci,
Targuje . . . zwraca książkę — a lza mu się kręci.
To ja tak myślę sobie: — no! szkoda mi dzieci;
Dam na kredyt, lub w zamian literackich śmieci;
Od Baki do Newtona wszystko mi się przyda:
A poczciwi panicze pokochali żyda.
Grosz powoli, lecz ciągle do worka się sący,
Aż przyszedłem nakoniec do nowój opończy.

W zamianę dostawałem grube foliały:
Rejów, Wujków, Paprockich, Strykowski zbior cały,
Łazarzów, Piotrowczyków wydania bogate;
I pamiętam tytuły, pamiętam ich datę.
Nie chwalcę się, znam druki krakowskie najrzadsze,
Że czasem i w Bentkowskim omyłkę dopatrzę.
Niepopłatny był towar, mało znany komu:
To ja z piętra na piętro, — od domu do domu

WŁADYSŁAW SYROKOMLA.

Obnoszę, pokazuję, rarytność dowodzę:
Wypchną mię przez drzwi jedne — ja drugimi wchodzę;
Bo z biedy cóż mam począć? Dla kawalka chleba,
Jasnym panom oświatę narzucać potrzeba.
I trochę rozbudziłem do książek ochotę:
Kolońskiego Kromera sprzedam za dwa złote;
Jeszcze wyższej w mym handlu dochodziły ceny,
„Stuletnie kalendarze“ i „Nowe Ateny“.
Najwyżej stał Paprocki — bo tam było ryte
Jaki herb dla lokaja, jaki na karytę.
A choć mi czasem szkoda gotyckich rupieci,
Cóż robić? myślę sobie: to na chleb dla dzieci.

No — pana *Mickiewicza* zabłysnęła chwała;
Ale już postarzałem . . . broda posiwiła;
Ręce znużone dziełmi Tacyta, Plutarcha,
Wsparłem ot, na tym kiju stary patryarcha;
I nieraz, gdy książeczkę roznosiłem małą,
Samemu na ten towar patrzyć się niechciało;
Bo do czego to warte? tom taki niespory:
Jam przywykł do *in folio* lub *quarto maiori*.

Co w tém to poblądziłem, bo to dobre dzieła!
„Wallenrodom“ i „Dziadom“ Litwa przyklasnęła.
Czy pan wiesz? były cuda co i sen nie marzy:
W pół godziny sprzedałem — dziesięć egzemplarzy!

WŁADYSŁAW SYROKOMLA.

A wzięwszy dziesięć złotych raduje się dusza:
— Ha! to musi być większy od Horacyusza! —
Pamiętam jakby dzisiaj: gdy w rzewnej podzięce,
Autorowi „Grażyny“ całowałem ręce . . .

Lecz począłem ubożać: czas płaci, czas traci!
Nowe kramnice książek otwarli bogaci,
A w każdej pełno ludzi . . . ciekawość ich zdjęła,
Każdy się dopytuje o najnowsze dzieła;
A ja, najstarszy księgarz, com sprawił tę zmianę:
Stoję, zgarbiwszy plecy i podpieram ścianę . . .

Co staremu do tego czy wilgoć, czy słońce?
Zalecam przechodzącym romans Walter-Scota,
Egzemplarz niekompletny . . . cóż ja biedny zrobię?
Pan *Joachim* wyjechał, pan *Mickiewicz* w grobie . . .
Pamiętam ich, pamiętam — ja żyłem z ich darów:
Teraz już nie sprzedaję tak dobrych towarów.
Skarlał czas, pokarleli nasi literaci!
Ale, jak mówią ludzie: czas płaci, czas traci . . .
Bóg mi czterdziestoletnią wynagrodzi pracę,
Odzyskam na *Kraszewskim* co na innych stracę.
Kupujcie go panowie! sprzedaję niedrogo,
Bo biedne moje wnuki z głodu pomrzeć mogą!“

*

WŁADYSŁAW SYROKOMLA.

Wtem karetą księgarza po bruku się toczy,
I błotem zabryzgała ślepe starca oczy.
Otarł zboliałe oczy i podniósł je w górę:
— „Oh! na co ja stworzyłem tę literaturę!“ . . .

HETMAN POLNY.

Po za pagórką, gdzie wioska stara,
Wojsko kwarciane czeka Tatara;
Bo jak ze szpiegów zrozumieć snadnie,
Hordzie w tych miejscach nocleg wypadnie.
— „Hej! gdy zawita dziec hajdamacka,
Z po za pagórka wypaść z nienacka,
I broniąc niskie strzechy wioskowe,
Krymskich bandytów pobić na głowę!“
Tak już uradził plan całej sprawy,
Wielmożny hetman polnej buławy.

*

Lecz zabezpieczon w stalowej zbroi,
Niezawždy rycerz Boga się boi.
Szlachta pancerna i ciurów tłuszcza
Oto po wiosce zagon rozpuszcza;

WŁADYSŁAW SYROKOMLA.

Rabuje bratnie chaty, spichlerze;
Robocze woły rżnie na wieczerzę;
Znieważa kraśne dziewy wieśniacze —
I jeszcze bije, gdy kto zapłacze.
Jeno się śmieje z płaczów i wrzawy,
Wielmożny hetma polnej buławy.

*

A w tem, pod wioską, nocną zaciszą,
Naszli Tatarzy i jęki słyszają:
— „Ej! niemasz Boga jak Allach w niebie!“
Po bisurmańsku rzekli do siebie:
„Snać tu już goszczą nasi Tatarzy,
Sulejman-Murza od przedniej straży:
Niechże rabują, niech się ochocą,
Nam tu zajeżdzać już niema poco;
Dziś spalim zamek — gdzie wróg nasz krwawy,
Wielmożny hetman polnej buławy“.

*

Na wiosce hula szlachta pancerna,
Na niebie gore łuna obszerna:
Hetman na niebo spojrział w oddali:
— „Na koń! rycerstwo, mój dwór się pali!“
Lecz nim dobiegło rycerstwo hoże,
Wróg gospodarzył w hetmańskim dworze:

WŁADYSŁAW SYROKOMLA.

Zamek spalony . . . służba wyróżnieta . . .
Żona gdzieś dźwiga tatarskie pęta . . .
Na zgliszczach domu modli się łzawy,
Wielmożny Hetman polnej buławy.

PRZYGRYWKA.

W naszej wiosce za mych latek,
 Inszy bywał ruch:
I wesele i dostatek,
Kaźde dziewczę gdyby kwiatek,
 Kaźdy chłopiec zuch!

Dziś na rozum ludzie biorą,
Ale idzie coś niesporo —
 Insze czasy masz!
Szarém kwieciem łąka kwitnie,
Pokarłały kłosa żytnie,
 Zbladła ludziom twarz!

Czy w jesieni — czy to w wiośnie.
 Były piękne dni:
Gdy pracujem — serce rośnie,
Gdy się bawim to rozgłośnie,
 Aż gospoda drży!

WŁADYSŁAW SYROKOMLA.

Dzisiaj ludzie już nie tacy;
I do czarki i do pracy,
Wiem ich siłę, wiem!
A ojcowie dzielni, starzy,
Spoczywają u cmentarzy,
Wiekuistym snem!

Pójdę do nich: na mogile,
Będę płakał rad . . .
Do nich miodu dzban wychylę,
I pogwarzę słodko, mile,
Z ludźmi dawnych lat!

WŁODZIMIERZ WOLSKI.

1824 † 1882.

TRYDERYK SZOPEN

(*Fantazyja*).

I.

Czy słyszycie z pod dłoni kobiety namiętnej,
Pieśni jego rozkoszne i dziwne uroki? —
Czy widzicie w jej oczach ten ogień głęboki,
Jakby obłęd palący, a jak wiara smętny?
Czujecie jak w tej nagłej i mistrzowskiej nucie,
Nietylko tonów przemoc duszę jej podbiła,
Lecz inne, nowe jakieś powstaje uczucie,
Tak krzywda bolejące, głuche jak mogiła?

II.

A tony się płaczą jak siecią pajęczą,
Dokoła nas wiążą wrażenia nitkami;
I śmieją się, płaczą i tęsknią i dźwięczą,
Drżą w uchu, lśnią w oczach i nikną nad nami,
Lecz w sercu zostają. — Uśmiechem proroctwa
Daleką gdzieś palmę wskazują w pustyni;
A potem, jak w oczach namiętnej mistrzyni,
Drżą żalem tęsknoty, wrą bólem sieroctwa.

WŁODZIMIERZ WOLSKI.

III.

Ból, sieroctwo! — To nie krzyki
To wnikliwszej dźwięki mowy!
Tak jak oddźwięk tej muzyki
Cichy, rzewny, pogrobowy . . .
Ból, sieroctwo! — To nie krzyki,
To jest prawdy dźwięk niemylny!
Tak jak oddźwięk tej muzyki
Dziwny, smutny — ale silny.

IV.

Lecz cóż śpiewać wyrazami?
Gdy muzyka na pamięci,
Tak wonnemi myśl wieńcami
Opasuje, i tak smęci! . . .
Od mazurków wieńca zacznę,
Co to wrzkomo bałamutne,
Świetne, lekkie i dziwaczne,
A tak smutne, a tak smutne . . .
Jak to dziewczę, co to brata
Wciąż z wojenki się spodziewa,
I ze łzami warkocz spleta,
I ze łzami piosnki śpiewa.
W taniec proszą rówiennice;
Choć do tańca jest ochota,

WŁODZIMIERZ WOLSKI.

Dziewczę smutno skłania lice
Bo gdzież tańczyć ma sierota?
Na bułanym wtem ktoś jedzie . . .
Dziewczę biegnie, klaszcze w ręce,
Obcy człowiek konia wiedzie,
A brat zginął na wojence.

Smutne, smutne to mazurki!
Jak ta matka co dla córki
Na wesele przystrajała
Białą suknię. Lecz martwica
Wnet poczuła — i zatrula
Tchem śmiertelnym córki lica.
Matka białą suknię szyła,
To też w białą przystroiła
Córki zwłoki — pochowała —
Śpij, śpij cicho — liljo biała!

V.

Teraz brzmi ów tańca dźwięk,
Co i w czapkach go tańczono;
Co na zwrocie w szablę szcęk,
Pas podjęto, wąż kręcono!

Już się snują pary tłumne,
Wygolone głowy dumne,

WŁODZIMIERZ WOLSKI.

Wąs sumiasty lub ze szwedzka,
Ale mina tak szlachecka,
Że kto nawet i z kielicha
Jej nie pozna — to zje licha.

A tu przy nich tanecznicze,
Tak urodne,
Tak rzewnością tehnące lice,
Choć w robronach, tak swobodne!

Polonezów jednak tony
Czasem tworzy dziwaczniejsze,
Mazur smutny, rozżalony,
Te bolesne, poępniejsze,
Jakby dworek modrzewiowy,
Nizki, stary, pochylony;
A na ganku od ogrodu
Siedzi starzec pogarbiony;
Z szramą podłuż łysej głowy,
Patrzy w krwawy blask zachodu.

A tam — tam, ku zachodowi,
Wiejski kościół słomą kryty.
Dalej cmentarz i krzyż wbity
Tu i owdzie. A starcowi
Czoło marszczy się powoli,

WŁODZIMIERZ WOLSKI.

Gdy zachodu barwy chyże
Zrumieniły czarne krzyże,
Jakby mówił: — Jam sierota!
Krzywda losu człeka boli.
W te-m cmentarza proste wrota
Zawiózł syna mego zwłoki;
Drugi gdzieś tam w świat szeroki
Pierzchł i zniknął; zginął trzeci.
Starzec! krzywdę mam bez dzieci.
Jeszcze jakby z ust sędziwych
Wyszło kilka skarg na żywych . . .
Ale w niebo spojrział stary,
I zapłakał — pełen wiary.
Wtem chłopczyna z jasnym włosom
I oczyma niebieskimi —
Wbiegł i zaczął srebrnym głosem
Nucić piosnkę. — Starzec z ziemi
Znowu podniósł wzrok ku niebu,
I tak słuchał piosnki wnuka,
Jak rozrywki co się szuka,
Kiedy wróci się z pogrzebu.

VI.

Teraz taniec ten niemiecki,
Niby wesół — a tak mglisty,

WŁODZIMIERZ WOLSKI.

Tak powolny — a ognisty,
Tak przelotny i zdradziecki —
W jakież barwy kształtne, świetne,
Nowe, rzadkie i szlachetne
Dziwne pieśni te ustroił . . .
Jakby dumał, jakby roił
O mazurkach, krakowiakach,
Kołomyjkach, kujawiakach,
Wśród Webera tęsknych czarów;
Jakby dumkę ktoś zanucił
Wśród czarnego lasu jarów,
A niedawno Dniepr porzucił.

VII.

A słyszycie marsz żałobny?
Dzwony dźwięczą śpiew przedgrobny,
I karawan zwolna sunie
Ten, co go to dają biedzie.
Na nim trumna, a na trumnie
Pałasz z czapką w krzyż złożone,
A za trumną nikt nie idzie . . .
Niebo szare, zachmurzone,
Ani trąbka nie uderza
Wojennego marszu dźwięki,
Ani matki, braci jęki,
Nie zatęsknią na mogile

WŁODZIMIERZ WOLSKI.

Sieroty — żołnierza. —
Przecież nagle — ktoś na chwilę
Wyrzął z okien pałacowych;
Jakaś twarz kobiety blada,
Oczu szarych, włosów płowych,
I łza po łzie jej upada.
Czy sieroctwa współcierpienie?
Znałaz tego co chowają?
Dawnych może łez wspomnienie?
Dość że płacze . . . Dzwony grają.

VIII.

Lecz ziemi już dosyć!
Teraz trzeba lot wznosić!
Trza i na Tatrów szczytach
Słuchać dźwięków potoku,
Gdy po siwych granitach
Pędzi fale — o mroku.
Trzeba słuchać jak w borze
Jodły szepczą tak z cicha;
Trzeba słuchać, jak morze
Rozburzone oddycha,
Harmonją letniej nocy,
Melodją dziwną mroku;
Tęskną groźbą północy.
I cały świat uroku,

WŁODZIMIERZ WOLSKI.

Trzeba słuchem muzyka —
Pojąć, ująć i stworzyć,
Które geniusz odmyka.
Tęczowych marzeń trzeba,
Odblaski pojąć lśniące,
Kiedy płyną do nieba
Fantazyami tęskniące.
Albo dusza gdy chmurna,
Pół boleje, pół śpiewa,
I w ustępy nokturna
Żalu boleść wylewa.

Trzeba pojąć śpiewaka,
Gdy dla siebie śpiewa;
Gdy lotem króla ptaka
Nad te góry i drzewa,
Nad ludzi skrzydła wzbil;
A świat pierzcha daleko,
Jak mgła ranna nad rzeką
Jak pył!

I czasem się zatrzyma,
Gdzieś nad wioską płonącą;
Dym kłęбами się wzdyma . . .
Matki z twarzą cierpiącą —
Do piersi tulą dzieci.
Płomień bucha czerwony

WŁODZIMIERZ WOLSKI.

On w niebieskie swe strony

Leci.

Trzeba wpoić się w żale,

W młodej duszy rozczary,

I zrozumieć że w chwale

Najpiękniejsza korona,

Ta, co łzami zroszona

Ofiary.

IX.

Bo nie wszystkim jest dane

Umieć siebie wynucić;

I marzenia rozwiane,

Wstęgą chwały obrzucić.

I nie wszystkim też dane,

Pojąć chwały tej blaski,

I najdroższe klejnoty

Z tej kosztownej przepaski

Spoić w jeden strój złoty.

X.

Bo geniusz, choć z wszystkimi —

Sam przez życie przechodzi;

Tyłu wiedzie na ziemi,

Ale sam schodzi;

WŁODZIMIERZ WOLSKI.

Sam tylko jeden wśród ludzi wielu,
Których tak różna robota —
Darzy ją, wznosi do swego celu,
Sam tylko jeden — sierota.

XI.

Ból, sieroctwo i wiary promieniące koło,
Przędę pieśni w żałobnych kwiatów wieńczą zwoje . . .
Tworząc postać z tych pieśni, ubrałbym jej czoło
W gwiazdy wiary, a w oczy wlałbym smutku zdroje.
Jednakże, by w nich świecił ten blask przenikliwy,
Ta moc cierpień, uniesień, co uświęca wzrok;
Usta ubrałbym w uśmiech tęskny i cierpliwy,
Dniem za nią, przed nią świecił, a w koło niej mrok.

XII.

Bo to mroku był śpiewak, tak cichy i łzawy
Jak od listka akacyi drżący cień na ścianie;
A czasem tak posępny — lecz mało jaskrawy,
Jak zachodu nad rzeką powolne konanie.
On swemi marzeniami, on swemi pieśniami
Wszak o szarej godzinie najmilej nas pieści;
On tęsknoty dźwiękami i tęsknoty łzami,
Wyśpiewał chwilę żalu, i sytość boleści.

WŁODZIMIERZ WOLSKI.

O! to mroku był śpiewak! Dzień za nim daleki,
Przypominał mu słońca swojego odbłyśki;
I ludził go, i nęcił, że świtania blizki,
Lecz mrok wieszczą swojego omroczył na wieki.

XIII.

I losy skrzywdziły rodzinną ziemie,
Że smutku śpiewaka tak nagle zabrały;
I dzieciom jej licznym zszepiło się lice,
Że o jednego znów osierociały!
Ale ty blady, uroczy cieniu!
Już wynuciłeś co nucić miałeś;
Ty na melodyi srebrnym promieniu,
Leć, leć w te strony, którym śpiewałeś!
Pieśni twych tęskne, świetne przędziwo,
Już się wieczystym snuć będzie ciągiem.
Ty w sercach naszych co biją żywo,
Choć bez posągu — będziesz posągiem.
Leć, leć śpiewaku! To dzień twój świta!
Leć bracie do braci swojej!
Tam cię z nich każdy pieśnią powita,
I czoło blaskiem ustroi.

XIV.

Był ongi zwyczaj, że gdy chowali
Zasłużonego rycerza w boju,

WŁODZIMIERZ WOLSKI.

Pili na stypie, pieśni śpiewali,
By wędrowała dusza w spokoju.
Ty śpiewak — w obcym usnąłeś kraju,
Obcy ci piasek w oczy się sypie:
Ja, według przodków naszych zwyczaju,
Choć pieśń żałoby nucę na stypie.

WINCENTY POL.

1807 † 1872.

ZGON MOHORTA.

Jest w Boryszkowcach staw i grobla długa,
Grobla szeroka i niby bezpieczna;
Poniżej grobli płynie w bagnach struga,
A na niej stoi mogiła odwieczna.

Tam do pierwszego przyszło więc spotkania,
Bo nieprzyjaciel szedł krok w krok za nami,
A parł na korpus trzema kolumnami . . .
Z rzadka już strzały padały od rania,
I pan Kościuszko przednią straż prowadził,
I był się znacznie przodem już odsadził.
Głównym korpusem sam Książę dowodził,
A w tylnej straży komendę — generał
Wielhorski miał, — i z lekka odpierał
Nieprzyjaciela, który na nią godził.

Marsz trwał dzień cały; — pod wieczór się miało
I Boryszkowską groblę wypadalo



Do poematu „Mohort“ Wincentego Pola.

Rysunek Juliusza Kossaka.

WINCENTY POL.

Przebyć przed nocą, most za sobą spalić,
I przez marsz nocny znacznie się oddalić
Od nieprzyjaciół; — jakoż po dwa razy
Posyłał książe z takimi rozkazy.

Rzecz była dobrze z góry obmyślana,
Bo staw z błotami i z tą groblą długą
Oddzielał korpus nieprzebytą smugą . . .
A nim most stanie aż nazajutrz z rana,
I nieprzyjaciół przez most się przeprawi,
Nim się po takiej przeprawie znów zładzi,
To i niemały czas w miejscu zabawi,
A nasz się korpus tymczasem odsadzi:
Bitwy nie chciano jak nad Bugiem stoczyć.

Gdyśmy na groblę weszli Boryszkowską,
Już się zdawało, że z pomocą boską
Ujdziem szczęśliwie; — poczęło się mroczyć . . .
Spieszno nam było, więc trochę w nieładzie
Zbite szeregi jęły w bród się tłoczyć;
Jenerał przeszedł po moście na czele,
A Mohort jechał ostatni na zadzie —
I wołał: „stępo!!“ tak silnie i karno,
Że każdy słyszał chociaż było gwarno.
Wtem straszny łomot i tysięczne głosy
Wojennej trwogi, wzbily się w niebiosy.

— Co tam?!

Na przedzie most się nagle zwałił,
A nieprzyjaciel tejże samej chwili,
Gdyśmy się z trwogą na groblę wtoczyli,
Z tyłu, w kolumnę ze trzech dział wypalił:
I na trzech liniach czysto jak po miotle —
A w koło mostu zawrzało jak w kotle,
Z ludzi i z koni niby kra się sparła;
Gdy się most zwałił, sam upust już wody
Nie mógł dotrzymać — i groblę wydarła;
I woda buchła nagle rzeką całą,
I wszystko w stronę od strzałów pierzchało,
I wpływ do stawu i z grobli na błota,
A i ranionych było już bez liku.

Pu trupie Mohort przedarł się na siłę,
I do rotmistrza — który jeszcze w szyku
Swych ludzi trzymał, rzekł: — „A to sromota!
Hej! Ostaszewski, za mną na mogiłę!“
I jak duch bitwy stanął na mogile,
I powiódł w koło oczyma przez chwilę,
I krzyknął: — „Bacność! równaj się szóstkami!“
W połowie grobli ta mogiła stała ...
I gdy komenda z jej wierzchu zagrzmiała,
Każdy rozumiał że pójdziem na działa,
I już przerzadło na grobli przed nami.

WINCENTY POL.

— „Ja pójdę nawrzód i pierwszy się rzucę,
Ty stój w odwodzie! Jeżeli nie wrócę,
Zaraz w też pędy idź z drugim oddziałem“.
Rzekł do rotmistrza, — i z kopyta cwałem
Ruszył, krzyknąwszy jeszcze dla zachęty:
I jedna wiara mówi Paweł święty!

Z dział uderzono: i w szarym obłoku
I wódz i oddział zginął nagle oku.
Czekamy chwilę — koń Mohorta wraca . . .
A Ostaszewski: — „Teraz na nas praca —
Marsz!!“ — i już cały drugi zastęp w locie;
Wpadamy, patrzym a działa w odwrocie,
I kanonjery leżą już pod koniem:
Więc za działami jeszcze chwilę gonięm,
A potem stajem kędy stały działa;
I noc zapadła i skończona sprawa,
Równy z działami cichła zwolna wrzawa,
A z błot i z wody wiara się ściągała.

Koło północy stanął już most nowy,
I kto na grobli nie położył głowy,
Szedł za drugimi.

W tem rozruch na przedzie,
I głos podają: — „Książę! Książę jedzie!“
Książę z raportu już o wszystkim wiedział,

WINCENTY POL.

Że Mohort zginął, a na placu bitwy
Jest Ostaszewski i pagórka strzeże
Gdzie działa stały; — rzekł: — „Szkoda mej Litwy!
I jakże zginął?“ — „Jak giną rycerze!
Rzekł Ostaszewski — jak dąb się powalił,
Ale nas wszystkich swym zgonem ocalił!“
A Książę na to: — „Ha! nie czas żałować,
Lecz jak rycerza trzeba go pochować.“
I kazał szukać pomiędzy trupami
Pana Mohorta. — Gdy go znaleziono,
Nieśli go groblą towarzysze sami,
I na mogile ogień nalożono;
Książę na ziemię rzucił płaszcz ze siebie;
I kazał na nim złożyć towarzysza,
I była długa i poważna cisza . . .
Nikt nie rzekł słowa przy całym pogrzebie;
Aż gdy grób cały w końcu był zasuty,
Rzekł książę tylko do obecnych tyle:
„Żył z szablą w ręku — niech leży w mogile!“
A towarzysze przyklękli na grobie,
I pieśń żalosną zanucili sobie,
Którą po uczcie zwykle Mohort śpiewał,
Dziękując z serca gdy podjętym bywał:
*Czas do domu czas,
Zabawili nas!*

WINCENTY POL.

A potem na koń! i samo ognisko
Gorzało tylko, bo już stanowisko
Rzuciła w końcu nawet straż ostatnia.
I ze wszystkiego pozostało tyle:
Rycerz w mogile — w sercu żalność bratnia —
I ten samotny ogień na mogile.
I długo jeszcze w żalności tajemnej,
Kiedy już cały korpus się oddalił,
Patrzyłem w marszu, jak z mogiły ciemnej
Stos pogrzebowy wśród nocy się palił.

*

W kilka dni prawie po owej przygodzie
Stanął był korpus wieczorem przy wodzie.
Patrzę na drogę — aż drogą ktoś jedzie,
I na łańcuchu został zatrzymany;
Konie i zaprząg coś niby mi znany,
Konie myszate, bryka jakaś spora;
Ktoś wysiadł zwolna i żołnierz go wiedzie:
Aż tu w podróznym poznaję Rektora.

— „A cóż pan Mohort?“ pyta mnie. — „Nie żyje!“
— „A więc nie darmo jadę z tą obawą,
Polegl?!“ — „Legł w boju jak rycerz ze sławą
I w Boryszkowcach mogiła go kryje.“

WINCENTY POL.

— „Ha! pokój wieczny . . . rzekł Rektor z żalobą;
Długie to lata przeżyliśmy z sobą!
I znak niezwykły jak widzę nie myli,
Sam przepowiedział swój zgon w łasce Pańskiej,
A o ostatniej jego życia chwili,
Ostrzegł nas w celi dzwonek Loretański.

Po wyjściu wojska był smutek w klasztorze;
Prowadź ich Panie! ratuj wielki Boże!
Mówilem braciom: bo słychać o bitwie . . .
I dzień nam cały schodził na modlitwie.

Aż dnia jednego przed samą wieczszą,
Strwożeni bracia korytarzem bieżą.
Więc ich wstrzymuję i pytam — a oni
Mówią, że dzwonek Loretański dzwoni
W pana Mohorta celi, choć zamknięta . . .
Patrzę na pieczęć, w istocie nietknięta:
Więc rzekłem braciom! — oto palec Pański!
Od wszego złego w modlitwie obrona;
A gdy nas wzywa dzwonek Loretański,
Módlmy się bracia — to pan Mohort kona . . .

Wziąłem gromnicę, wziąłem braci drżących,
I pocznem mówić akty konających . . .
I lżę serdeczną nie jeden uronił,
A dzwonek ciszej — coraz ciszej dzwonił.

WINCENTY POL.

I głos się w końcu perelką już sączył —
Ucichł — i rzekłem: — pan Mohort zakończył . . .
I w tejże chwili korytarze jęły,
I przez sam środek drzwi od celi pękły . . .
A więc zacząłem: — wieczny odpoczynek.“

Kiedym się lepiej rozmówił z Rektorem,
Było to prawie nad samym wieczorem
A i dnia tego i tej samej chwili,
Gdyśmy na grobli krwawy bój stoczyli.
Na to rzekł Rektor: — „Wielka to otucha,
Że Bóg nas ostrzegł o tej krwawej bitwie,
I żeśmy o nim myśleli w modlitwie,
Kiedy pan Mohort oddawał już ducha.“

Z PIEŚNI O ZIEMI.

Wielkie domy za granicą,
A w nich ciasno choć nie ludno;
U nas mury się nie święcą,
A o kącik nie tak trudno.
Ledwo człek by czasem wierzył,
Dom niewielki, — w tym gość wchodzi;
Ot, i domek się rozszerzył,
I wnet miejsce gdzieś się rodzi.

WINCENTY POL.

Przybył drugi i dziesiąty,
I nie ciasno jest nikomu,
Wyprzątnięto wszystkie kąty,
Coraz szerzej w małym domu.
Zda się, że pan domu sobie
Ścian i miejsca gdzieś przysporzył,
A on tylko w domu sobie
Drzwi i serce swe otworzył.
I ta strzecha choć uboga,
Chociaż niska — przecież bliska
Dla obcego i dla swego,
I od Boga aż do wroga,
Jest tu miejsce dla każdego.

A dopierożto przyjęcie,
Jakie bywa w polskim domu!
Jak tam każdy poczczon święcie,
Jak nie braknie nic nikomu!
W dzień wesoło, w noc rześisto,
Biało, gładko, potoczysto,
Czeladź syta i okryta,
Wszystko w czasie urządzone,
Przymaszczone, osłodzone;
Indyk kruchy, kapłon tłusty,
I do tego dzban nie pusty.
Jest czém serce rozweselić,

WINCENTY POL.

Jest się wszystkim czém obdzielić.
Choć przyjęcie najłaskawsze,
Jest mis parę, parę dzbanów
Zostawionych jeszcze zawsze,
Dla *zagórskich* panów.

Lecz gdy rzucisz stoły hojne
I pominiesz dworską bramę,
Ściany jakby nie te same,
Znowu ciche i spokojne.
Przed świętymi lampa płonie,
Na kominku ogień strzela,
A tem światłem czasem spłonie,
Po nad lożem karabela.
Gdy zawczasem do spoczynku,
A Bóg nie dał w dom sąsiada,
Osiwiała para siada
Do maryasza przy kominku,
I jegmość kartę łaje,
A z czterdziestu jegmość zdaje.

Wszystko cicho, nic nie szańnie,
Czasem tylko warta wrzańnie,
Albo kotki załopocą,
Lub panienki zachichocą.

KORNEL UJEJSKI

ur. 1823 r.

HAGAR NA PUSZCZY.

Od słońca pożaru zczerniała mi głowa,
A w koło pustynia . . . Do Ciebie Jehowa
 Podnoszę płaczący mój głos.
Spraw Panie! by niebo nademną wychłódko,
I skały granitu zmień Panie na źródło,
 A piasek czerwony na wrzos.

I nigdyż Jehowa! i nigdyż do zgonu
Nie ujrę już dolin kwiecistych Hebronu,
 Ni miejsca, gdzie pan mój i ród?
I nigdyż już, nigdy — choć wyjdę z żywotem,
Nie usnę pieszczona pod jego namiotem,
 Ni nocą wybiegnę do trzód?

Nam szaty od skwaru opadły w kawałach,
I rzemień popekał na naszych sandałach,
 I cierpi i płacze mój syn . . .
Jam Panie kochała i była kochaną,
Szczęśliwą, — to słusznie że jestem karaną,
 Lecz syn mój Izmael — bez win.

KORNEL UJEJSKI.

Gdy wieher ogniowy po puszczy zawieje,
I żarnym popiołem gdy po nas posieje,
Izmael opada jak kwiat;
Ja tobie o Panie! natenczas się kłaniam,
I syna mem ciałem przed wiatrem osłaniam,
I chłodzę szmatami mych szat.

I nieraz czuwając: gdy zdrzymię na piasku,
Przebudzam się trwożna wśród nocy i wrzasku:
Dławionej gazelli to wrzask;
A w koło szakale oczyma mi świecą,
I wyjąć uchodzą, — bo myślą zem lwicą:
Tak z ócz mych rozpaczy gra blask.

I nieraz, na białym szkielecie wielbłąda,
Zczajona twarz ludzka źle ku nam pogląda:
Błędnego wędrowca to trup . . .
I nieraz, sęp głodny zawisnie nad nami,
A potem w mój zawój uderzy skrzydłami
I innym zakracze na łup.

I nieraz gdy uśnie, ja niosę. . . O! Boże!
Izmael się zachwiał — iść dalej nie może,
Jak trzeina przechyła się z nóg;
I usta otworzył. . . O! Panie, on pragnie!
O! Panie, Twa łaska niech ku mnie się nagnie,
Tyś wielki, Tyś mocny, Tyś Bóg!

KORNEL UJEJSKI.

Jehowa! Jehowa! on krzyknął . . . on pada!
I usta spalone do ust mych przykłada,
A żar z nich wyciąga miast tehu.
Przed głosem, przed moim, czyś zaparł niebiosy?
Jehowa! Jehowa! oh wody, oh rosy,
Kropelki, kropelki choć dżdżu!!

PANNA MŁODA.

Mazurek Szopena 4. op. 7.

Cale niebo we mnie!
A z ócz płynie łza . . .
Ach! błószszej odemnie,
Nie ma ziemia ta.
Zbytkiem szczęścia skacze
Serce, z tego mrą . . .
Ach! dobrze że płacę,
Zbytek spłynie łzą.

A któż to tam
Puka do mych drzwi?
Nie wolno wejść!
Suknię dają mi.
Poczekaj waść,

KORNEL UJEJSKI.

Jam czekała tak;
No — widzisz go!
Suknię biorę wspak.

Już jam jego prawie,
Już nadszedł dzień ten!
Ach! czy to na jawie,
Czy to tylko sen!
Któż te słowa zważy:
Jam jego — on mój!
Ach! jak mi do twarzy,
Leży ślubny strój!

A któż to tam
Puka do mych drzwi?
Nie wolno wejść!
Wieniec kładą mi.
Ach! jakiż on
Niecierpliwy wciąż . . .
Źle ze mną, źle,
Srogi będzie mąż!

Łza za łzą mi cieknie,
A bierze mnie śmiech —
Ach! śmiać się niepięknie,
W dzień ślubu — to grzech!

KORNEL UJEJSKI.

Schronię się od złego
Do Maryi nóg . . .
Ach! wiem ze wszystkiego,
Że mnie kocha Bóg!

Ot w kaplicy już
Organ zaczął grać!
O! duszyczko ma,
Radźże sobie, radź!
I kapela także,
Pobrzękuje razem,
Ja sobie tymczasem,
Klęknię przed obrazem.

.
Maryo! Pani nieba!
Daj mi co potrzeba!

.
Wróciłam z podróży
Promieni i róż . . .
Ach! nie pukaj dłużej,
Idę, idę już!
Nieznajomą drogą,
Jasny puszczam wzrok:
Ach! jak lekko, błogo,
Pierwszy stawiam krok!

DO MOJEJ SIOSTRY.

Mój cichy aniele! domowy zejdź próg,
Nie czeka cię orszak klaskaczy i sług,
 Li śpiewak nieznanym obsypie cię kwiatem,
 I piosnką pasterzy oznajmi przed światem.

Przed naszą swawolą odwrócił się Bóg;
Mój cichy aniele! domowy zejdź próg,
 I pośród nas grzesznych stań czysta i dumna,
 Jak wieków minionych odkryta kolumna.

A ludzie przed tobą zmaleją jak pył,
I spojrzycie w twe oko nie będą mieć sił,
 I serca pokruszą i padną ci twarzą
 I może choć we snach o cnocie zamarzą.

O! skromny mój kwiatku, nad połysk i dzień
Potulny, przenosisz zacisze i cień,
 Lecz gdy cię osłoni noc skrzydłem swem cichem,
 Ku gwiazdom, ku niebu, woniejesz kielichem.

O! gdybym mógł kiedy z podniebnych mych jazd,
Przechować dla ciebie niebieskich siedm gwiazd:
 Ich wieńcem bym ubrał skroń twoją tak białą;
 Ich blaskiem, promieniem spowilbym cię całą.

KORNEL UJEJSKI.

I sarka i pyszy się grzeszny już lud,
I gdyby Pan w niebie chciał zniszczyć nasz ród,
Potopem żelazne chciał ugiąć nam karki:
Dla ciebie by jednej otworzył drzwi arki.

Od czoła twojego rozjaśnia się mrok,
Ja chory na duszy gdy spotkam twój wzrok,
Choć gorycz okrzywia mi serce i wargi;
To szepczę modlitwę miast klątwy i skargi.

Przed nami i dla nas odmiennych dwie dróg:
Twą ścieżkę do nieba wygładził ci Bóg,
Ty w kółku rodzinnem, w zakątku wśród ciszy,
On jeden myśl twoją i duszę usłyszy.

A śpiewak dla ludu, szalony brat twój,
Popędzi po świecie na burze, na bój;
Poszarpią go żądze, pokrwawią go ciernie:
O! siostrze, w pacierzu wspominaj go wiernie!

Jeśli mnie, młodego, grób zimny i głaz
Oderwie od czynu, od pieśni, od was:
To może Pan sądu umieści mnie w niebie:
Bom ciebie czcił tutaj i siostrą miał ciebie!



Do poezyi „Niebezpieczna“ K. Ujejskiego.

Rysunek E. M. Andriollego.

NIEBEZPIECZNA.

— Więc ta róża, ta biała, już należy do mnie?

— O nie jeszcze mój panie!

— Chociaż tańczę skromnie,
Cuda nieraz się dzieją w tój szalonej polce,
Oto w piersi zostały mi tej róży kolce.

— Za karą idzie łaska, kwiat idzie za kolcem,
Jeśli niechęć iść w parze . . .

— Fredro z Bocholcem!
Którą rolę grasz pani najłepiej?

— Złej żony;
Bo słucham, słucham rada, co ptak rozpieszczony
Świegoce, jak świegotać ma już we zwyczaj;u;
Którym ptakiem pan dzisiaj?

— Dziś . . . ja słowik w maju!
— Spójrzysz pan, żona pańska patrzy na nas zdala,
Ztąd słyszę, jak rozmowy naszej nie pochwała,
Jej oko, choć milczące . . .

— Nic w niej złego zgola.
— Cień grzechu już anioła smuci — masz anioła.
— A jam człowiek i grzeszny.

— Widzę ja to, widzę,
Wstydz się, mości poeto, wstydz się . . .

— Już się wstydzę . . .

KORNEL UJEJSKI.

A mąż pani nie patrzy?

— Tam gra w preferansa.

— Mając żonę tak piękną... Boże, jaka szansa!

Co pani robisz na wsi?

— Co, ja gospodyni!

Hoduję ananasy i myślę o dyni.

Wszędzie, wszędzie mnie pełno, cały dzień się krzątam,

Przeróżnemi rzeczami naraz się zaprzątam!

Smażę soki, kompoty, zlewam je do słoików,

Raz na tydzień w krowiarni pilnuję wydojów,

A czasem się ponudzę, a czasem zasmucę...

Wtedy zwykle z kucharzem o masło się kłucę;

Ja swoje a on swoje — okrutnie uparty;

A gdy słota, a mąż mój wyjedzie na karty,

Albo dalsze z nienacka lustruje folwarki,

To coś dlubię igiełką; widzisz pan te szlarki?

Te na rękach — cóż, ładne? mojej są roboty.

Także z memi kotkami różne stroję psoty,

Białe jak śnieg kocięta... Ja bardzo szczęśliwa!

Żeby pan moje lniane zobaczył przędzywa,

Cienkie... jak włosy pana — ach! a moje kwiaty,

To moje ideały, to tęczowe światy,

Wszystkie a wszystkie własną pielęgnuję dłonią,

Do piekła zaprowadzić można mnie ich wonią;

Zobaczysz pan, zobaczysz, ja tak kwiaty lubię,

Umrę kiedyś z ich woni, kwiatami się zgubię!

KORNEL UJEJSKI.

— Byle nie białą różą . . .

— Ot, tańczymy lepiej!

*
*

— Choć oddychać nie mogę — ten taniec mnie krzepi . . .

Jak pan tańczysz ochoczo . . . jakby nie poeta . . .

— Namiętnie lubię taniec . . .

— To wielka zaleta!

Patrz pan! młodzi od pana ledwie się ruszają,

Studenci, dyplomatów poważnych udają!

Że też pan nie pilnujesz tak swojej powagi . . .

— Duch mój jak posąg grecki, poważny, choć nagi.

— Jakże to uroczycie jak w jakim dramacie!

— A to tylko w komedyi.

— Bośmy na herbacie.

Żona pańska zazdrośna?

— Zazdrośna zanađto.

— Zazdrości co z miłości, nigdy nie jest nadto.

Cobym ja za to dała, by mąż co mnie kocha

Bardzo, bardzo, zazdrośnym był dla mnie choć trocha;

Gdzie tam, ani mu w głowie, ciągle gdzieś za domem,

Nie dorożką, to konno; nie konno, to promem;

A w domu to nudnemi rzeczami zajęty;

Już się nawet nie kłócę, lubię spokój święty.

W lecie: woły na paszy, a próżne stodoły,

W zimie: pełne stodoły, na gorzelnii woły,

Ot i cała rozmowa — a ztąd dla mnie smutki;

Czy wiesz pan, że zle z tego wynikają skutki,
Z białemi żabotami młodego markiza
Zaczęłam bałamucić ... no, tak ... tak ... narcyza ...
Zwykle koło sadzawki siedziałam na ławce,
On, u nóg moich klęczał, — ale ku sadzawce,
Zamiast patrzeć mi w oczy, raz w raz zerkał zyzem,
I zakochanym w sobie zbrzydziłam narcyzem.
Znów mało że nie wpadłam w romans z tulipanem,
Zajął mnie swą purpurą i wysokim stanem;
Cóż, kiedy mój królewicz w herbie nosił ciolka,
A ja ciolków nie lubię; więc ja do fijołka,
Co pachnie jak poezya, a oczy ma skromne,
Niby trochę zamglone, niby nieprzytomne,
I tak sobie romansik prowadzim na piękne ...
Czego pan na mnie patrzysz? doprawdy się zleknę,
Czy co złego mówiłam? myśl się nie natężaj
Tańcząc polkę. . . Ja bardzo kocham mego męża.
Przyjedź pan kiedy do nas. — — Jeśli mnie zaślepi
Miłość róży, przyjadę.

— Ot, tańczujmy lepiej.

* * *

— Już dosyć!

— Lećmy dalej.

— Siądźmy na tej sofce. . .

— Tam zwykle tance wiedzie.

— Czasem na manowce,

Nieuważał pan w tańcu, jak mi mocno bije
Serce?

— Kto sercem żyje, ten dwa razy żyje.

— Nie zawsze to iść dobrze za uczuciem szczerem.

— Często chwila jest liczbą, reszta życia zerem.

— Jak to smutno powracać do domu po bału
Z głową pełną chaosu . . . Pan nie czujesz żalu?

— Ja wróć do mych dzieci.

— Ach! ja nie mam dzieci!

Nie oglądnie się duch mój, gdy z ziemi odleci!

Ja nie wiem co bezsenne nad kołyską noce!

Serce moje bezludne, a życie sieroce,

I żadna nie zostanie tu po mnie pamiątka.

O! czemuż ja jednego choć nie mam dzieciątka!

Wtenczas, choćby po cierniach chodziłabym gładko,

Ta już jest pół aniołem, którą nazwą matką.

Jabym była aniołem, cnotliwą jak święta . . .

Cóż robić? z biedy muszę już kochać kocięta,

Kiedy nie mam nikogo. Stworzeńka dowcipne!

Czasem zła jestem, ach! zła . . . więc kotka uszczypnę

I w dobry wpadam humor, tak to się naszczurzy;

Nie uważał pan nigdy jak się kotek chmurzy?

O! to bardzo zabawne! Jednego mam kotka

Cudo! taki rozumny, ledwie nie szczebiotka,

Pojęciem jest natchniony, a jako myśl wartki,

Kiedy czytam, na rozkaz odwraca mi kartki . . .

KORNEL UJEJSKI.

Czytałeś pan *Lirenkę*? Jakże pisze ślicznie
Lenartowicz, — tak jakoś miодно, balsamicznie,
Jakby siedział pod lipą, a do jego skrzypki
Spływały brzęki pszczołek, woń kwiatów, miód lipki.
Ja, na jego „Larence“ co wieczór się modłę . . .
Mój mąż czytać nie lubi, on ciągle na siodle;
Mówi, że dla próżniaków niezły wynalazek —
Ślepemu nie przedstawi natury obrazek!
No! kiedy pan przyjedziesz?

— Z różą, czy po różę?

— Na pogodne me czoło sprowadzasz pan burzę,
Burzę . . . jak mamę kocham, pono się odczepi,
Weź pan ją.

— Podziękuję.

— Ot! tańczymy lepiej!

O! muzyka ustała . . . pięknie, w samą porę!
Kiedy już swoje palce wysunęłam skore —
Tak bywa i fantazjom moim, jeśli szpetnie
Nieżnośna rzeczywistość w pół drogi je przetnie . . .
Schowaj pan! żona pana ot ku nam się zbliża.
— Mąż pani, to znajomość moja aż z Paryża,
Gdzie pono z nas obojga nie zrobiono ryżu,
I mówiliśmy właśnie wiele o Paryżu . . .
O! jakże ja szczęśliwa żem poznała panią,
Jak za snem pięknym zdawna już tęskniłam za nią;

KORNEL UJEJSKI.

Jak gwiazdy jej szukałam — tak słodkie zjawisko
Czy radość mnie przyniesie? mieszkamy tak blisko...

* * *

Zbudziłam się — nademną moja bladolica,
Jak lilja nad zmaconem źródłem się kołysze.
— O czym śniłeś? twarz twoja dotąd się zachwyca
Rozkosznem przypomnieniem.

— Ach! grzeszyłem we śnie!

— Cóż takiego?

— Czarowna, ot, roztrzepanica
Bałamucila ze mną.

— Czy zbudziłam wcześniej?

— Już pierzchło, widzę ciebie!

— Piękne rzeczy słysze...

Więc za karę, opiszesz to wierszem?

— Opiszę.

DO POEZYL.

Kochanko ducha, dziewico słońca,
Z mieczem i w zbroi hartownej!
Nikt się nie oprze gdyś jest walcząca,
Nikt się nie oprze, dziewico słońca,
Twojej piękności czarownej!

Gdy miecz ukażesz, gdy hełm przywdziejesz,
Białoramienna dziewico!
Gdy na wiatr sztandar śnieżny rozwiejesz,
Zapał szalony w serca rozsiejesz,
Rycerze bronie pochwyć.

Uchwycą tarcze, — miecze ostrzone
Wstrząsną w żyłastych prawicach;
Z krzykiem rozpaczcy rzucą się w stronę,
Gdzie im ukażesz grody zniszczone,
Na który widok — zapłomienione
Piekło, wystąpi na licach!

TEOFIL LENARTOWICZ.

A gdy bohater padnie w obronie,
Ty znijdziesz w szacie anioła:
I wieniec chwały włożysz na skronie,
Zwycięztwo będziesz śpiewać przy zgonie,
I śmierć mu przyjdzie wesola.

Ty zimne duchy ogniem zapalasz,
W wary przemieniasz chłód lodów;
Ty jedna cudem ludy ocalasz,
Niezwyciężone tłumy obalasz,
Poezyo! matko narodów!

Ty męczennikom, pod ręką kata,
Rozpiętym w bólach śmiertelnych:
Stawiasz obrazy lepszego świata,
Gdzie myśl ostatnia z krzyża ulata,
Do boskich krain weselnych.

Ty im czarowna dziewico słońca,
Nim śmierci doświadczą chłodów:
Za życie męczarów — światłość bez końca,
Ukażesz zdala w promieniach słońca,
Poczyo! wiaro narodów!

Na czarodziejskie twoje skinienie,
Stanie się niebo na ziemi;

TEOFIL LENARTOWICZ.

Dzikiem niezgody zgasną płomienie,
Na twej czarownej palmy skinienie,
Ludzie się staną światem.

Na kogo twoje wejrzenie padnie,
Ten ziemi świeci na wieki!
W imieniu twojem serca owładnie,
Ludziom ich przyszłe losy odgadnie,
A czas je spełni daleki.

Ty będziesz wiązać dłonie szermierzy,
W czas ślubnych świata obchodów;
W ołtarzach stawisz duchy rycerzy;
Przez ciebie ludzkość — w siebie uwierzy,
Poezyo! prawdo narodów!

ZŁOTY KUBEK.

W szczerem polu na ustroni,
Złote jabłka na jabłoni,
Złote liście pod jabłkami,
Złota kora pod liśćcami.
Aniołowie przylecieli,
W porankową cichą porę:



Do poezji „Złoty Kubek“ T. Lenartowicza.
Rysunek Wojciecha Gersona.

TEOFIL LENARTOWICZ.

Złote jabłka otrząsnęli,
Złote liście, złotą korę.

Nikt nie widział w całym świecie,
Ludzkie oczy nie widziały,
Tylko jedno małe dziecię,
Małe dziecię z chatki małej.
Pan Bóg łaskaw na sierotę,
Przyleciała z nad strumyka,
Pozbierała jabłka złote,
Zawołała na złotnika.

— Złotniczeńku! zrób mi kubek,
Tylko proszę zrób mi ładnie;
Zamiast uszka, ptasi dzióbek,
Moją matkę zrób mi na dnie.
A po brzegach na okolo,
Liść przeróżny niech się świeci;
A po bokach małe sioło,
A na spodku małe dzieci!

— Ja ci zrobię śliczny kubek,
I uleję wszystko ładnie:
Zamiast uszka — ptasi dzióbek;
Twoją matkę zrobię na dnie;

A po brzegach na około,
Liść przeróżny się zaświeci;
A po bokach małe siolo;
A na spodku małe dzieci.

Ale czyjeż ręce, czyje,
Będą godne tej roboty?
Ale któż się nim napije?
Komu damy kubek złoty?
Kto się w dłonie wzięć ośmieli?
W złotem denku przejrzeć lice?
Sam Pan Jezus i Anieli,
I Maryja i Dziewice. —

— Złotniczeńku! patrz weselój...
Czemu twoje w łzach źrenice?
— Sam Pan Jezus i Anieli,
I Maryja i Dziewice!

ROZMOWA ZE SŁOWIKIEM.

— Powiedz słowiku, powiedz mój mały,
Błagam na wszystko w świecie!
O czym ty śpiewasz przez wieczór cały,
W naszym ogródku, w lecie?

TEOFIL LENARTOWICZ.

Czy opowiadasz swoje przygody
W miłym, rozgłośnym śpiewie;
Jakieś przeleciał wonne ogrody,
Na jakim spoczął drzewie?

Czy jak się kryjesz w liście zielone
Gdy skwarne słońce pali?
Jak rankiem strząsasz piórka zroszone,
W cichej powietrza fali?

Czy o gwiazdeczce maleńkiej, drżącej,
Na lazurówym niebie?
Czy o tej wodzie zwolna ciekącej?
Powiedz mi, proszę ciebie!

— O! ja ci powiem śliczna pastuszko:
Śpiewam piosenkę twoją,
Kiedy ci za czemś tęskni serduszko,
I oczy we łzach stoją.

Kiedy zanika twój uśmiech słodki,
I patrzysz smętna, blada;
A z rąk ci lecą bratki, stokrotki,
Kwiatek po kwiatku spada.

CYGANKA.

W młodości mej, raz w cudny maj,
Pomnę, jednego ranka,
Wołając wciąż: — rękę mi daj!
Kłaniała się cyganka.

— Dajże mi dłoń chłopczyku, hej!
Powrócę ci, coś powiem:
A Bóg że cię w swej łasce miej,
A darz cię Boże zdrowiem. —

Z zczerniałych bark opadał szmat,
Ręce się trzęsły stariej;
Spojrzałem nań, posłuchać rad,
Choćby i nie dać wiary.

Wśród gaju drzew, cyganów lik,
Po drodze mknął z pośpiechem;
I w cieniach drzew powoli niął,
A gaj rozbrzmiewał echem.

Otwarłem dłoń: — Ha, patrz gdy chcesz!
— Ah! złoto, srebro moje:
Szczęśliwyś ty — oj wierz mi, wierz,
Szczęśliwe życie twoje.

TEOFIL LENARTOWICZ.

Jak dąbek zdrów przeżyjesz wiek,
Nieznając co choroby,
Przez żywot twój ni żadnych lek,
Ni żadnej ciężkiej proby.

Dla ciebie kraj, dla ciebie świat,
W szczęśliwej wiosce błogo;
Każdy ci druh, każdy ci brat,
A z wrogów — ach! nikogo!

— I nigdyż ztąd od gajów, wód,
Nicze mnie nie odgoni? —
Toż stara wnet, bystro jak wprzód,
Spojrzała po mej dłoni.

Patrzała wciąż, myślała wciąż,
Na czoło palec kładła:
— Przygotuj kij . . . a torbę zwiąż! . . .
To jedno stara zgadła.

KAROL BRZozowski.

ur. 1821 r.

NA PRZESILENIE WIOSENNE.

Po niebie gna tumany chmur,
Szalony wicher marcowy,
Rozdziera strój na szczytach gór,
Twój zimo strój lodowy.
W tych kłębach chmur co błyskawicą
Czerwone, gromem biją:
Zawitaj nam Dziewico,
Zawitaj nam Maryjo!

Strwożonym mów, że w gromie burz
Twe państwo już się rodzi;
Że w grozie tej, jest pączek róż!
Lecz Matko, świeć tej łodzi —
Co z mórz się szaleł grmiącym łamie;
O! Gwiazdo mórz Ty święta!
Wierzącym daj Twe ramię,
Niech płynie łódź nietknięta!

W dolinach kwiat zbudzonych drzew,
Na wpół wygląda z pąków!
I po nad niw zielony siew,
Wzlatuje rój skowronków;

KAROL BRZOWSKI.

O! Maryo! Ty miłości zdroju,
Rownika spełń nadzieje,
Niech Twoje nań w pokoju,
Błogosławieństwo wieje.

I ptaszkom daj na gniazdko cień,
W rozkwitłym państwie lasu;
I ludziom daj miłości dzień,
I rozkosz daj wywezasu;
Gdy przyjdzie maj, krynico łaski!
Cór ziemi przyjmij wieńce;
Ty w cnót je ubierz blaski,
Ty daj im oblubieńce!

Dla wielu, wiesz — że wicher ten,
Jest innej wiosny zwiastun:
Że kości ich, na wieczny sen —
Grób, zimny weźmie piastun;
Pocieszycielko konających,
Maryjo! Matko święta:
Z dusz w Ciebie ufających,
Zdejm ciała ziemskie pęta.

I ucho daj modlitwom łez,
Na mogił smutnem polu;
W Twą pieczę weź: mirt, lilję, bez,
Posadzon ręką bolu.

KAROL BRZozowski.

Siej Maryo, Matko Ty boleści!
Na groby zapomniane,
Lub skryte gdzieś bez wieści:
Podarki Twe wiośniane!

LIRNIK.

Wśród drogi,
Śmiertelne dwa wrogi
W drzemiącym się boru spotkali:
Skoczyli
Z rumaków, zrzucili
I pancierz i szyszak ze stali;
Natarli na siebie jak wściekle dwa lwy —
I sieką mieczami aż sypią się skry.

I była
Zaciekłość i siła,
I zręczność jednaka ich w boju;
Zbroczona
Krwia, pierś ich zdyszona,
I czoła krwi pełne i znoju;
I pół dnia szczęk mieczów rozlega się w borze,
A jeden drugiego przełamać nie może.

KAROL BRZozowski.

I drogą,
Odziany ubogo,
Szedł lirnik i w stróny uderzy;
I dziką
Zawtórzy muzyką,
Strasznemu bojowi rycerzy;
Z pod ręki mu tonów wytryska kaskada,
A w takt jej burzliwy, za ciosem cios spada.

Jak w burzy,
Gdy słońce wynurzy,
Z chmur kłębów twarz jasną, wspaniałą;
Z niw, z łąki,
Wzlatują skowronki,
Hymn niebios rozlega się chwałą:
Mistrz-lirnik tak burzę akordów uśmierzył,
I z liry wspaniały hymn mężki uderzył.

I toczy
Z powagą, uroczej
Cudownej harmonii strumienie:
I wpływa
Do duszy, porywa
Za sobą i myśli i technienie:
Dwaj wrogowie nie czują jak sama ich ręka,
Poważnie w takt hymnu i bije i szczęka.

KAROL BRZozowski.

W tem — jękiem,
Strasliwym rodźwiąkiem
Czarodziej hymn święty zamąca;
Do głębi
Rozdziera, i ziębi
I na dno przepaści aż strąca;
To zda się z piekielnych otchłani wykrzyka,
Rozpaczą, boleścią, zgryzotą grzesznika.

I chwiały
Się miecze, w struchlałej
Szermierzy zaciekłych prawicy;
A dźwięki,
Z pod starca znów ręki
Tryskają jak z żywój krynicy . . .
I płyną i szumią, — że zda się, anieli
Cudowny miłości chór z nieba zapieli.

Czar dumy,
Owładnął drzew szumy,
Zawtórzył tak las harmonijnie;
Wód zdroje
I wdzięczne pszczoł roje,
I wiatr co nad lasem tam płynie,
I cały świat życia, w krynicy zaklętej,
Do pieśni lirnika przelewa się świętej.

KAROL BRZozowski.

Jak lody,
W słonecznej pogody
Topnieją gorącym promieniu;
Tak kona,
Topnieje, szalona
Zaciekłość i zemsta w tem pieniu:
I wrogie dwa miecze, iskrami przed chwilą
Sypiące, bezwładne ku ziemi się chyłą.

Przez lica,
Łez długa krynica
Śmiertelnym się wrogom stoczyła;
Spojrzeli
Na starca, zdumieli:
Tak pieśni owładła ich siła,
Że miecze skruszyli — i wzajem na piersi
Upadli w uściski jak drухy najszczerzi.

— „Gęślarzu!
Ty cudów mocarzu,
Przez jakich zesłanyś ty bogów?
Weź konie,
I złoto i bronie,
Żeś w braci przemienił nas wrogów!
O! starcze, lirniku, za pieśń twą to mało,
Co tylko zapragniesz: dziedzinę bierz całą!“ —

KAROL BRZozowski.

— „Słuchajcie,
Zapłatę schowajcie,
Mnie dosyć uścisku jest ręki;
Pan słońca
I światów bez końca,
Darował mi z nieba te dźwięki.
Zapłaty nie biorę — bo stokroć przekłety,
Kto Bogiem frymarczy, sprzedając dar święty!

Ot, z ziemi
Rękami waszemi
Miecz jeden podniosę skruszony;
Anioła
Gdy głos mię powoła,
Przed boskie bym stawił się trony:
Pan spyta — jak darów użyłem śpiewaka?
Miecz złaman pokażę i szatę żebraka!“

ŚMIERĆ ŻYSZKI.

Ż Czech wyruszyli bracia, panowie,
Na Rakuszana w Morawę.
Na bój ich wiodą wielcy wodzowie:
Jan Żyszka dzierży buławę.

Jan Żyszka ślepy: niemieckie strzały
Oczu wyżarły mu dwoje;
Lecz widzi duchem jakby w dzień biały,
Gdy przyjdzie z Niemcem wieść boje.

I straszne wrogów gromi ramieniem;
Szeroko grzmi o tem sława . . .
Pierś mu goreje wielkim płomieniem;
Ten płomień — światło mu dawa.

A tym płomieniem: szlachetna, święta,
Miłość swej ziemi, cześć Boga.
Wieki hetmana Czech zapamięta,
I nie zapomni kark wroga.

MIECZYŚLAW ROMANOWSKI.

Do Przybysławia przyszli wieczorem,
Rozgrzani bojem i drogą:
W krąg zatoczyli wozy taborem,
I warzą strawę ubogą.

I o zwycięztwach gwarzą weseli,
O klęsce Niemców i zgrozie;
Jutro, gdy pierwszy promień wystrzeli,
Będą w Albrechta obozie.

Lecz cyt! wieść głucha gromady miesza,
Mieszają tłum rozhowory;
Pod namiot wodza ciśnie się rzesza:
„Nasz hetman, Żyszka Jan, chory!“

Zaniemógł Żyszka po boju srodze,
Na twardem posłaniu leży;
Do koła niego strapieni wodze,
I orszak smutnej młodzieży.

Ale nie złaman hetman na duszy,
Choć wie, że przyszła godzina;
Z twardego łoża jak lew się ruszy,
I wodzów tak napomina:

MIECZYŚŁAW ROMANOWSKI.

— „Czesi — Morawcy — Polacy mili,*
Serdeczny, druży narodzie!
W ostatniej bracia proszę was chwili,
Miłujcie wy się we zgodzie.

Noście otwarte serca przed Bogiem,
Czyste jak wasze powietrze.
A kto z was kiedy bratał się z wrogiem,
Niech we krwi hańbę tę zetrze.

Nieszczędźcie trudu, rąk, ni oreża!
Tchórz tylko spokój wybiera . . .
Kto ród giermański w bogu zwycięża,
Szatanom głowę ten ściera.

Oni tu wnieśli hańbę, niewolę,
Jak śmierć szatani do raję.
Kłamstwami bożą zasiali rolę,
Cześć ojców wyparli z kraju.

Toż w boju z nimi nie odetchniecie,
Nie opuścicie ramienia!
A nienawidzić ród ten będziecie
We setne aż pokolenia!

* W wojnie przeciw cesarzowi Zygmunтови i Niemcom, wspierało Husytów pięć tysięcy Polaków.

MIECZYŚLAW ROMANOWSKI.

Gdy skonam, ciało moje ciśnijcie,
Niech sępom na żer posłuży;
Skórą z mych barków bęben pokryjcie,
Niech bębniąc — Niemcom zgon wróży!“ —

To rzekł, i skonał — i zwiesił głowę
Na pierś ostygłą, bez tchnienia.
Ale hetmana słowa gromowe,
Z pokoleń grzmiały w pokolenia.

I zawsze rolnik w nocy majowej
Gdy zanocuje na błoni:
Słyszy w powietrzu bęben Żyszkowy,
Bijący na gwałt: — *do broni!*

RAJ UTRACONY.

Nieraz, gdyś miała uśmiech na twarzy
Myślałem sobie, żem ja na straży
Aniołem twojego wdzięku;
Nieraz — tyś ani wiedziała o tem —
Duch cię mój skrzydłem osłaniał złotem,
Od bolu — od łez i lęku.

MIECZYŚLAW ROMANOWSKI.

Twój świat był moim — za twem marzeniem
Umiałem cichym sunąć się cieniem,
Twe życie przeczuć — zgadywać . . .
A kiedym nie miał twego widoku,
Senny — lecz z blaskiem natchnienia w oku
Siadałem jak ptak — by śpiewać.

I zdało mi się, że całe życie
Będzie uśmiechem ducha w błękicie,
I serca drzeniem w promieniach;
I tylkoś jedno: „zapomnij“ rzekła,
I duch się na dnie obaczył piekła,
A serce w mroku i cieniach.

I stało im się pusto, grobowo,
Z trudem pielgrzymkę podjęli nową . . .
A rwą się jak bezprzytomni . . .
Ciągłe ku tobie — wiecznie do ciebie,
I śnią i tęsknią po swoim niebie —
Nad nimi twoje — „zapomnij!“

PRZESTROGA.

Kobieto! odwróć wzrok twój od mojej źrenicy,
Przestań szukać w mem oku serca tajemnicy,
Bo wierzaj, że niebacznie w serce moje wglądasz,
A żądając spojrzenia — nie wiesz czego żądasz!
Nie żądaj — ale dozwól niech w niemej rozpaczycy,
Kolano uczci ciebie, a mnie wytłomaczy.

Niebaczna! ty się śmiejesz że przed tobą klękam,
I głowę moją skłaniam a spojrzeć się lękam.
O! nie śmiej się! i raczej proś stróża anioła,
Abym nigdy nie podniósł schylonego czoła;
I nigdy z pod ciemnego mych myśli obłoku,
Oka mojego w twojem nie utopił oku;
W tem oku tak przejrzystem jak zwierciadło wodne,
Przez które niebo widać jasne i pogodne!

Gdybym ja z szczytu cierpień mych spojrział na ciebie,
A z chmury, która czarno zeszała na mem niebie,
Kilka tylko kropelek na twą duszę spadło —
Jużby się zamąciło to czyste zwierciadło:

RYSZARD BERWIŃSKI.

I od tych kilku kropel zgorzкло by ci życie,
I może byś mi później złorzeczyła skrycie!

JAWNOGRZESZNICA.

Pięknaś jak anioł! zdumiony świat woła,
Piękniejszaś — wołam — nawet od anioła!
Nie anioł wdzięków — lecz sam bóg miłości
W tobie o! piękna, między nami gości.

Oko twe: — miłość w twem oku się żarzy;
Miłość na czole zadumaniem marzy;
Miłość ust twoich bawi się uśmiechem;
Miłość muzyką gra w twojej rozmowie;
Miłość w milczeniu, miłość w każdym słowie:
A ty powiadasz — że miłość jest grzechem?

Jeśli to prawda: o! jawnogrzesznico!
Płacz z Magdaleną — i w świętej pokorze
Dni twoje czarną okryj włosienicą!
Nocami twarde zalegaj rogoże;
W szczerzej pokucie i głębokiej skrusze,
Ratuj — o! ratuj grzeszną swoją duszę!

RYSZARD BERWIŃSKI.

Ach! bo ty grzeszysz każdym twojem tchnieniem,
I każdym słowem i każdym spojrzaniem;
Grzeszysz urokiem ócz twych tajemniczym,
I włosiem kruczym i śnieżnem obliczem;
Grzeszysz łąką smutku, grzeszysz ust uśmiechem:
Jeśli to prawda że miłość jest grzechem.

Jeśli to prawda: o! piękna grzesznico,
Przestań być piękną . . . lub się zreknij świata;
Bogu się poświęć — zostań zakonnica!
Siostró w Chrystusie! znajdziesz we mnie brata;
A niegodnego rozwiązać rzemyka
U stóp twych, — weź mię, weź za spowiednika!

ADAM PAJGERT.

1829 + 1872.

W ZBROJOWNI.

W żelazie chodzili od stopy do głowy,
Ich konie, w żelaznem okryciu —
Na boje ich nosły, turnieje lub łowy,
A strój ich, był równy ich życiu.

Bo życie to było i twarde i krwawe,
A głośne — jak bitew fanfary;
Do świętej szli ziemi po śmierć lub po sławę,
Pod krzyża białemi sztandary.

Na twierdze pogańskie po trupach się darli,
Zatknęli swój znak na wieżycy;
A kiedy spoczęli — to dłonie oparli,
Na krwawych swych szabel główicy.

A jeśli wracali w obronne swe dworce,
To z blizną na piersiach, na twarzy;
Ze złotym księżycem pogańskie proporce,
U pańskich składali ołtarzy.

A jeśli klęczeli — to tylko w kościołach;
A jeśli się bali — to czarów;

ADAM PAJGERT.

Po wojnie, przy wielkich, dębowych swych stołach,
Ze złotych pijali puharów.

* * *

Dziś mądre ich wnuki, co z czarów się śmieją,
Bojowym się znojem nie trudzą;
I jeżdżą wygodnie żelazną koleją,
W kraj cudzy — gdy swoim się znudzą.

I z nudów, gdy chwilę poświęcą muzeom,
To rzadkim tam dziwią się rzeczom:
Ogromnym puharom, pancierzom, trofeom,
I ciężkim pradziadów swych mieczom!

PRZEMIANA.

Miłość ma władzę metamorfozy:
Za jej czarowną podniętą,
Człowiek powszedni, syn nagiej prozy,
Nagle się staje poetą.

Jakby po zdjęciu z ócz katarakty,
Nowe piękności odkrywa:
I chwyta duszą tej pieśni takty,
Którą przyroda mu śpięwa.

Wie już co ptaszki w krzakach świegocą,
I szmer strumyka rozumie,

ADAM PAJGERT.

I lubi jasną, wiosenną nocą,
Patrzeć na gwiazdy w zadumie.

Nic już dla niego nie jest powszedniem,
Wszędzie cud umie wysłedzić;
W pole, na łąkę, biegnie przededniem
Słońcu dzieńdobry powiedzieć.

Lubi samotność, jasność i ciszę;
Milczący na darniach siada:
Słucha jak z wiatrem las się kołysze,
Omaliż wierszy nie składa.

Lecz gdy się kocha, kto już sam z siebie
Czuł boże piękno na świecie:
To chyba równych poszukać w niebie,
Zakochanemu poecie!

Serce uczynił domem wesela,
Gdzie światła blask stotysięczny;
Gdzie wszystkich uczuć głośnie kapela,
Gra szczęścia hymn zgodno-dźwięczny.

A taka duma z czoła mu świeci,
Jak gdyby królem był świata:
Roztacza skrzydła, ku niebu leci,
I z aniołami się brata!

PIEŚŃ WIOSENNA.

Jest w życiu czas — ach! jeden w życiu całem,
Czas żądź olbrzymich, czarodziejskich snów;
Święty szczerością, promienny zapałem,
Wiek pełen dziwów i zaklętych słów:
Młodości wiek.

Jest jeden kwiat — kwiat jak wiosenne zorze,
Tak pełen blasków i woniących tchnień;
Lecz rwać go można w rannej tylko porze,
Jak słodką mannę we wchodzący dzień —
Młodości kwiat.

Więc zrywaj kwiat! korzystaj z błogiej chwili!
Miłość — w uroczy wiąż z młodością ślub!
Nim słońce życia na zachód się schyli,
Nim wrzące serce zmrozi bliski grób:
Korzystaj z lat!
Rwij miłości kwiat!

ROMAN ZMORSKI.

ZABŁĄKANA.

Oh! jak smutne jest to życie,
Mój Boże!
Jak to w bajce biędne dziecię,
Zbłąkane w borze.

Próżno woła, próżno huka:
Mój Boże!
Próżno na świat drogi szuka,
Znaleźć nie może.

Szukam, wołam, nadaremno
Mój Boże!
Od łez, głodu, w oczach ciemno,
Zewsząd bezdroże.

W puszczy ludzi bez miłości,
Mój Boże!
Już ja tu me młode kości,
Marnie położę!

W uszach dzwony niby dzwonią,
Mój Boże!
Powieki się gwałtem kłonią . . .
Czyż je otworzę?

ROMAN ZMORSKI.

Niechbyż choć nad mą mogiłą,
Spraw Boże:
Choć dla drugich zaświeciło,
Miłości zorze!

CHRYSTUS I PIOTR.

LEGENDA ŁUŻYCKO-SERBSKA.

Kiedy Pan Jezus żył jeszcze na ziemi,
Chadzał po świecie z apostoły swemi,
Z miasta do miasta i z wioski do wioski;
Szukając prostych serc a kochających,
W serca zranione lejąc nektar boski:
Łzy ocierając z oblicza cierpiących.

Raz z Piotrem społy, w *Budyszyna* strony
Do serbskich Łużyc zaszedł także cudnych;
Zobaczyć — jadem szalbierzy obłudnych
Trwa li poczciwy lud ten nieskażony.
I zdarzyło się, jednego wieczora,
Zaszli do małej wioszczyny Zahora.

Cicho i pusto było na ulicy.
Do chat od pracy wrócili rolnicy,
I długie ławy zasiadłszy przy stołach;
Odpoczywali po dziennych mozolach.

ROMAN ZMORSKI.

Przez jednej chaty okno uchylone,
Migało światło kaganka czerwone,
I nieuczonym zborem brzmiały dźwięki,
Z żywym natchnieniem nuconej piosenki.

Chrystus się wstrzymał, podchodzi — i ucha
K'oknu skłoniwszy, prostej pieśni słucha.
Ale Piotr, chatę pominąwszy z wzgardą,
Pełem powagi dalej kroczył hardo.
Aż kęs uszedłszy, gdy przy swoim boku
Nie baczy Mistrza — zatrzyma się w kroku;
A obejrawszyś, widzi ze zgorszeniem,
Jako światowem ten zajęty pieniem.
Więc doń powraca, rady czy nie rady,
Boć w Mitrza słuszna isć uczniowi ślady.
I długo obaj przy chacie tak stali
Pieśni słuchając; — wreszcie poszli dalej.

Idą i idą . . . A wtem, po nad drogą
Stoi gmach pyszny. Okien szyby rżnięte,
Jarzących świateł jaśnieją pożogą;
Dobrane głosy pieją psalmy święte.
Na to przystanie Piotr, słuchać ochoczy —
Lecz Chrystus dalej niezważając kroczy.
Pełen zdziwienia, rady czy nie rady,
Piotr zatem musiał zdążyć w Mistrza ślady.

Idą. — Po drodze Piotr zachodzi w głowę,
Jakby tej rzeczy wyłożyć osnowę.
Wreszcie, niezdolen pojąć Zbawiciela
Czynu, — z pokorą pytać się ośmiela.

Chrystus, gdy mowę wysłucha Piotrową,
Rzecz z uśmiechem: — O! głowo ty, głowo!
Tam w onej chacie z szczerego natchnienia,
Lud nucił swoje narodowe pienia;
Tu obłudnicy, psalmy pieją usty,
Lecz bez natchnienia brzmi głos z piersi pustej!

PRZYPOWIEŚĆ WSCHODNIA.

Do Mahometa jako przystoi,
Ze czią przystąpił młodzian nieśmiały:
— „Pomarli — rzecz — rodzice moi.
Chciej mię pouczyć, czy nie ustały
Me obowiązki względem nich wszelkie?“

— „O nie! zostały cztery i wielkie:
Do Boga modły wznosić za niemi;
Długi ich wiernie spłacić na ziemi;
We czci zachować co szanowali;
Strzedz od ruiny co zbudowali!“

PIEŚŃ DZIEWICY.

Pierś rycerza drą pociski;
Rolnikowi uschnie kłos;
Matka płacze u kołyski:
Najszcześniejszy dziewic los.

Gdy ma igła jedwab plecie,
Chwil przyśpiesza srebrny strzał;
Dzięki Panie, żeś kobiecie,
Świątą miłość pracy dał.

Harfa moja wiarą dźwięczy;
Pióro szuka wiedzy bram;
Sztuki piękne! w waszej tęczy
Niech przymierze z niebem mam.

Wśród przyrody, jam królową,
Tron mój się nie lęka burz.
Gdy koronę mam liljową,
Mało dbam o berło z róż.

DEOTYMA.

Być pieszczotą w rodzin gronie;
Rajskiej strzechy kochać próg;
Mieć żar w sercu, piosnkę w łonie:
To mi tylko kazał Bóg.

MODLITWA.

W szczęściu — jestem szczęściem samem,
W cnocie — wytrwania potęgą,
W cierpieniu — pociech balsamem,
W grzechu — poprawy przysięgą.

Bóg się w swem istnieniu błogiem
Nie modli, bo w żadnym niebie
Nie zna wyższego nad Siebie:
I dla tego też jest Bogiem!

Anioł, z pochylonem czołem,
Wiecznie zachwycon w pokorze:
Bez modlitwy żyć nie może —
I dla tego jest Aniołem!

Człowiek, z każdym stanem, wiekiem,
W cierpień, lub radości kole,
Modli się gdy chce, ma wolę,
I dla tego jest człowiekiem.

DEOTYMA.

Szatan wszystko wie, rozumie,
Ale cóż mu jest nieznanem?
Modlitwę odrzuca w dumie,
I dla tego jest szatanem.

CZEMU MI SMUTNO?

Czemu mi smutno? Czy że wiatr jesieni
Lasy i pola już odarł z zieleni,
I tam, wysoko, po niebie, nademną
Dachem ołowiu rozbił chmurę ciemną,
I w uszach skargą jękliwą przewiewa,
I pędzi tuman liści spadłych z drzewa,
Jakby liść każdy był duszą człowieka,
Co wirem szalu i losu porwana,
Po szlakach drogi nieznannej, nieznana
Leci, aż padnie smutna i daleka,
Gdy wiatr ucichnie, lub jej zbraknie siły,
Nad brzegiem jakiejś tam obcej mogiły? . . .

Czemu mi smutno? Czy że tu w około
Żadne przyjaźnią nie promieni czoło?
Żadna dłoń bratnia z podróży nie wita,
Żaden głos chętny: co słyhać? nie pyta . . .
I że tak wszyscy w różne chodzą strony,
Każdy ku swojej gwiazdzie obrócony,

NARCYZA ŻMICHOWSKA.

Każdy niedbały co na drodze jego
Przepaść, czy kamień, czy serce bliźniego;
Czołga się podle, lub zuchwale leci,
Byle tam stanął gdzie ta gwiazda świeci —
Co w oczach jego tak piękna, bo złota,
A w oczach bożych: garść łez, krwi i błota.

Czemu mi smutno? Czy to, że widziadło,
Mądrości świata, na duszę mi padło,
I tak głęboko zapuściło szpony,
Że już niepamięć, że już mi się nie śni —
Ani o cichej modlitwie zmówionej
Na łonie świętej, dobrej mojej matki,
Ani o szczęściu naszej biednej chatki,
Ani o starej ojców naszych pieśni,
Pieśni pamiątek — bardzo, bardzo, starzej,
Pono na nutę nadziei i wiary.

Czemu mi smutno? Czy że moi wszyscy
Duszą jednacy, serca sercem blizcy,
Już sobie dawno pod ziemią spoczęli,
Już sobie dawno po trudach wytchnęli;
A ja samotna jak ptaszyna biedna,
Co z swego rodu zostanie się jedna,
Gdy inne, w kraje szczęśliwsze ulecą —
Sama zostałam — i gdy gwiazdy świecą

NARCYZA ŻMICHOWSKA.

To ja tam patrzę, czy która nie gaśnie,
Błada gwiazdeczka, lecz z którejby właśnie
Duchy, mojego życia promień zwiędły
Jak mi to niańka mówiła — uprzedły.
Oh! bo mi głucho i pusto na ziemi,
Oh! bo mi tęskno, tęskno za mojemu,
Co się w dębowej trumnie położyli,
Co poszli sobie jakąś ciemną drogą,
Lecz poszli razem, a mnie zostawili
Tak samą, że już nie mam kochać kogo! . . .

Więc smutna jestem — smutna, bo wiatr wieje,
Bo między złemi ludźmi sama chodzę,
Bo mi nauka zabiła nadzieję,
Bo mi dokoła śmierć pobrała srodze
Wszystkich kochanych. — Oh! tak nie jest przecie!

Mężniejsza nad te ciosy dusza młoda:
Wiem, że nie zawsze na niebie pogoda;
Wiem, że nie zawsze cnota jest na świecie;
Zdawnam przywykła, w jesienne zawieje
Czekać, aż kiedyś słońce zajaśnieje;
A złością ludzką — dobrego nie mierzyć,
Boć cnota ludzki wyraz, więc w nią wierzyć,
Wierzyć bezwzględnie, bez warunków, szczerze,
Jak w przyszłość, w mądrość, w litość Bożą wierzę.

NARCYZA ŻMICHOWSKA.

Oh! nie, mnie nigdy ksiąg uczonych karty
Świętego słowa w sercu nie zaćmiły.
A Bóg, to wyraz niczem niezatarty,
Co jak go wieki w naturze skreśliły —
Tak znowu wieki z wieków się wyprzędą,
I zawsze w końcu: Bóg — Bóg, czytać będą.
Po wszystkie strony był lot myśli mojej,
Wszystkich ustami zaczerpnęłam zdroi,
I próbowałam pomysłu każdego,
A tłem wszech rzeczy, było imię Jego.
Więc też spokojna na Boga się zdałam,
I nie tak gorzko umarłych płakałam,
Ja co mam umrzeć — oh! ja nie na groby
Tyle wylałam cierpienia, żaloby,
Ale mi smutno — bo dziś jako cnotę
W serca brać trzeba boleść i tęsknotę . . .
I Bóg sam duszę dał mi do nich zdolną —
A chyba w sądu godzinę okrutną,
Ja powiem Bogu, czemu byłam smutną,
Bo ludziom mówić nie wolno!

NARCYZA ŻMICHOWSKA.

CIRCULUS VITIOSUS.
KRAKOWIAK NA DWA GŁOSY.

ON.

Wezmę świecę i latarnię i głównię z komina,
Pójdę szukać czy jest w świetle poczciwa dziewczyna.

ONA.

Wezmę księżyc, wezmę gwiazdy, wezmę jasne słońce,
Może znajdzie w którym chłopcu serce kochające.

ON.

Toć szukałem i patrzyłem i wiem teraz o tem,
Że nie znajdzie najpocziwszej kto nie brzęknie złotem.

ONA.

Toć patrzyłam i świeciłam i dojrzałam tego,
Że z nich każdy bardzo kocha, lecz — siebie samego.

ON.

Już znalazłem najpocziwszą, znalazłem kochaną,
Piękną, cichą, ale w sklepie — lalkę malowaną.

ONA.

Już znalazłam choć jednego, już znalazłam przecie:
Piękny, dzielny, wojak młody — na starym portrecie.

NARCYZA ŻMICHOWSKA.

ON.

Niechaj lalka malowana tkliwsze zwróci oczy,
To może wojak z portretu na konika skoczy.

ONA.

Niechaj wojak malowany dosiędzie bachmata,
Może w lalce malowanej serce zakołata!

MARYA ILNICKA.

STRACONA.

Gwiazdo! gwiazdo spadająca
Przez lazury:
Jaka siła tak cię strąca
Na dół z góry?
Czy ty pójdiesz jak komety
Światłość drżąca,
W niewstrzymany bieg bez mety,
Lot bez końca?
Czy zapadniesz w cieniów morze
Ty — promienna!
I zapomnisz, spocznieś może
Cicha, senna.
I gdzie ujdą twoje blaski,
Z nocy cienia?
Czy nie było dla cię łaski
Przebaczenia?
Gdy zawołał głos Anioła:
„Nie ma ciebie!“
Jaki tobie strzelił z czoła
Błysk po niebie?

MARYA ILNICKA.

Coś ty czuła, nieśmiertelna —
A skazana:
Czyś ty gasła jak weselna,
Lampa z rana?
I kiedy cię moc tajemna,
W otchłaiń parła:
Czyś już była bryła ciemna
I zamarła?
Czyś ty drzała tą straszliwą
Trwogą w sobie?
Jak ten, kogo z piersią żywą
Kładą w grobie?
Powiedz! powiedz o! strącona,
Gwiazdo blada!
Jak to światłość — która kona
W noc zapada?
Czy tak émi się, jak kobieta
Co ślub łamie;
Czy się trawi jak poeta
Gdy pieśń kłamie;
Aż stli w męce niepojętej
Sił ostatki;
Jak odstępca, co się świętej
Zaparł matki? . . .

MARYA ILNICKA.

W I O S N A .

Wiosna! wiosna!
Wieść radosna
Z ciepłym tchnieniem wiatrów płynie;
I sasanki,
Już na wianki
Rozwinęły się dziewczynie.

Wstaj skowronku!
W złotem słońku
Wykąp piórka twoje szare;
I skrzydlaty,
Nad te chaty,
Nad te ziemie wyleć stare!

Wyleć z pieśnią!
Ludzie prześnią,
Świtu chwilę uroczystą;
Więc do Pana,
Choć ty z rana,
Głos za niwą wznies ojczystą.

Dobra niwa,
Jak poczciwa
Pierś rolnika co ją orze:

MARYA ILNICKA.

Tylko trzeba,
By im z nieba,
Przyświecało światło Boże.

Niem ogrzane,
Ziarnko wsiane,
Zdrowym kielkiem w górę strzeli;
I wnet potem,
Żniwem złotem,
Starą ziemię uweseli.

Leć więc ptaszę!
Prośby nasze
Niech piosenka wzniesie drżąca:
Słońca Boże!
Na niw zboże
I dla myśli ludu — słońca!

PRZED SADEM.

Drobny, wychudły, z oczyma jasnymi,
W których lży wielkie i srebrne wzbierały
I gasły w rżęsach spuszczonech ku ziemi;
Błady — jak nędza, a tak jeszcze mały,
Że mógł rozplakać się i wołać: „matko!“
Gdyby miał matkę . . . i mógł stroić psoty,
I pocałunków żądać — i pieśczoty
I spać na piersiach ojca . . . a tak drżący,
Jak ptak wyjęty z gniazda i już mrący . . .
Wiejski sierota stał w sądzie przed kratką.

A dziwna była ta sala sądowa:
Wielka — i pusta — i zimna — i chłodna —
I bezlitośna — i łez ludzkich głodna —
I nigdy w ustach niemająca słowa
Miłości bratniej, — i taka surowa,
Tak spiskująca ławkami w półkole,
Na ludzką nędzę i ludzką niedolę:
Że Chrystus biały, co stał tam w pobliżu,
Zdawał się cierpieć i drżać na swym krzyżu.



Do poezyi „Przed sądem“ Maryi Konopnickiej.

Rysunek Xawerego Pillatego.



MARYA KONOPNICKA.

Przy winowajcy nie było nikogo.
I któżby bronił dziecięcą nędzarzy?
Chyba te wielkie dwie łzy, co po twarzy
Leciały jakąś pełną iskier drogą . . .
Chyba dzieciństwo nędz pełne sieroty,
I chyba tylko promyczek ten złoty,
Co mu przez okno upadał na głowę,
Jakby Bóg gładził włosy jego płowe . . .

Wszedł sędzia, spojrzął i rzekł: „Gdzie rodzice?“
„Nieznani“ — odrzekł pan pisarz z powagą.
Chłopiec wznosił zgasłe, błękitne źrenice,
I ściągnął świtkę na pierś swoją nagą,
Jak gdyby nagle, od jednego słowa,
Zdjęło go zimno i pustka grobowa.
Sędzia zadumał się, pochylił czoła
I spytał znowu: „Czy w wiosce jest szkoła?“
— „Nie“. — Pisarz zwykle chmurny był w urzędzie;
Przytem pytanie było jakieś dziwne . . .
Więc się zawahał, czy właściwem będzie
Odpowiedź chłopca pisać w protokóle . . .
Milcząc, sprostował palce swoje sztywne
I bębnił z lekka po szarej bibule . . .

A sędzia patrzył na drżącą dziecinę,
Na ręce nagie, wychudłe i sine,

MARYA KONOPNICKA.

Na pierś zapadłą i nędzne łańchmany,
Na blask tych oczu zmacony i szklany,
Gdzie przecież mogły odbić się niebiosy . . .
Na drobną główkę, gdzie myśl ludzka śpiąca,
Nie znała świtu innego, prócz słońca,
I innych wrażeń ożywczych, prócz rosy!

I dziwnym cieniem zaszło mu oblicze . . .
I uczył w piersi drżenie tajemnicze,
Jakby ta sala pusta była tronem,
Na którym przyszłość, z czołem zachmurzonym
Zasiada, pełna klęsk i spustoszenia . . .
I jakimś grzmiałcem i ogromnem słowem
Oblicza płony na polu jałowem,
Przed sąd wzywając całe pokolenia . . .
I widział, jak szły gęste, ciemne tłumy,
I tamowały ruch globu w błękitcie,
I spostrzegł, pełen trwogi i zadumy,
Że były chmurą ogromną o świecie,
Przez którą przebić nie mogło się słońce,
I zmierzch na ziemi trwał przez lat tysiące . . .
Widział że tłum ten, to siło stracona
Dla wielkich celów i dążeń ludzkości;
I czytał w groźnem spojrzeniu przyszłości,
Że chce rachunku . . . z miliona.
I ujrzał nagle, jak wydziedziczeni,

MARYA KONOPNICKA.

Za społeczeństwa swego cierpią winy . . .
I przerażony, posłyszał w przestrzeni
Sąd po nad głową chłopczyny . . .
„Niechże was Chrytus — głos mówił — rozsądzi,
Kto więcej winien: czy ten nieświadomy,
Co drogi nie zna i w ciemnościach błądzi;
Czy wy, co grube spisujecie tomy
Karnej ustawy wpierw, nim każdej chaty,
Bronią od złego słoneczne anioły
Braterstwa, prawdy, swobody, oświaty . . .
Co wpierw więzienia stawiacie — niż szkoły.
Niechże was Chrystus sędzi! . . .“

Lecz krzyż czarny

Stał nieruchomy i zimny na stole,
Jako milczące w obec łez ołtarze . . .
Więc sędzia powstał i szedł, gdzie pachole
Blade, czekało na wyrok sądowy;
I dotknął ręką sierocej tej głowy
I rzekł: — „Pójdź dziecię! ja cię uczyć każę!“

Z HYMNÓW BOLEŚCI.

Bądź pozdrowiona, bądź błogosławiona,
Święta boleści, co mi serce krwawisz;
Z krzyżem Chrystusa cisnę cię do łona,
Ty mnie podźwigniesz — ty ubłogosławisz.

Zdrętwiały żyłem . . . Słońce zapadało krwawo,
Na zachód pogładając z pragnieniem, obawą,
Tęskniłem za młodością, czując żem nie przeżył
Siły, którą mi Pan Bóg na żywot wymierzył;
Gdy boleść ocuciła z uspienia długiego,
I krwią na nowo wlaną wzdęte żyły biegą.
Odrodzony nią dyszę: z letargu powstałem,
Otom znów młody, silny, otom znowu żywy,
Piersią oddycham całą, sercem cierpię całym,
Wskreszony od umarłych bolem — i szczęśliwy.

Bądź pozdrowiona korona cierniowa,
Opasz mi skronie, wpij się w czoło moje,
Opleć mi myśli, niech płyną krwi zdroje,
Chrztem jej, skalana obmyje się głowa.

J. I. KRASZEWSKI.

Bądź pozdrowiony krzyżu, co łamiesz ramiona,
Różgo która mię chłosczesz, bądź błogosławiona!
Jęk bólu niech ust nigdy nie przejdzie wybladłych,
Niechaj z hymnem zwycięstwa wstanę od upadłych,
I od krzyża Chrystusa zanucę w pokorze:
Wielki Bóg! niezbadane są wyroki Boże!

Bądź pozdrowiony gwoździu co mi ranisz ciało,
By zranione ożyło i z martwych powstało!
Bądź pozdrowiona włócznio, co przebijasz serce,
Urągania, obelgi i śmiechy — szyderce!

Bądź pozdrowiony octem i żółcią przejęty,
Na pragnienie żywota dany mi napoju;
Kielichu mej goryczy promienny i święty,
Zdroju moich boleści, szczęścia mego zdroju!

Witam cię, czarna godzin samotnych tęsknoto,
Niezgaszone pragnienie, głódzie nienasyty!
Szpony które mię szarpią, brzemia co gniotą,
Szato błotem skalana którąm jest okryty!

Bądź pozdrowiona śmierci, matko litościwa!
Słabość blednie przed tobą, męztwo cię przyzywa:
Witam cię dniu swobody — pielgrzymki mej celu,
Gdzie sakwy, kij złamany i po latach wielu,

J. I. KRASZEWSKI.

Po próbach wielu, serce złożę żółcią zlane
I u drzwi Bożych z krwawym szponem moim stanę.

Bądź pozdrowiona święta cierpienia godzino,
Bolu, coś życiem nowem i tych łez przyczyną,
I Ty — coś mi go zesłał niezbadany Boże!
I wy, których szyderstwo urągać mi może;
Wy — co mi litość dacie, — wy co nie pojmiecie:
Błogosławię to brzemię co mi serce gniecie.

Bądź pozdrowiona, bądź błogosławiona,
Święta boleści co mi serce krwawisz:
Z krzyżem Chrystusa cisnę cię do łona,
Tyś mię dźwignęła, ty ubłogosławisz!

Z FANTAZJI DRAMATYCZNEJ

„SZATAN I KOBIETA“.

Widziałem duszę poety wielką,
Leżała u niebios proga:
I była tylko rosy kropelką,
Przed oczyma Boga.

Widziałem duszę mędrca niepojętą
Leżącą u niebos proga:

J. I. KRASZEWSKI.

I była perłą na wpół rozciętą,
W oczach Boga.

Krółów i panów dusze widziałem,
Gdy dumne w niebo leciały:
Lecz były tylko proszkiem tak małym,
Jak świat ich z nieba był mały.

*

Lecz była dusza — dusza kobiety,
Ta wieniec cierpień nosła u czoła:
Była większa od duszy mędrca i poety,
Była tak wielka — jak dusza Anioła!

ADAM PŁUG.

ur. 1824 r.

BIEDNY JANEK.

Z PAMIĄTEK DOMOWYCH.

Przed pół wiekiem, dawniej może,
Ten zgarbiony dziad znękany,
Był to chłopiec malowany,
A miłował dziewczę hoże.

Lecz bogaty w krasę lica
I w serdeczny skarb przemnogi,
Na zagrodzie syn szlachcica,
Jaś, w chudobę był ubogi.

A u dziewczki, jak w piosence:
Cztery woły, jak sokoły,
Dość w oborze i w stajence,
Pełne śpichrze i stodoły.

ADAM PŁUG.

Jedynaczka matki wdowy
Tłum chłopaków k'sobie nęci,
Co szaleje bez pomięci,
W ogień dla niej biedz gotowy.

Lecz najmilszy Janek Zosi,
I mateczka jemu rada;
Cóż ztąd, kiedy z ojcem biada!
Darmo chłopak się mu prosi;

Darmo we łzach ściska nogi;
Dziad uparty ani słucha:
„Nie dla ciebie to dziewczucha;
Ona *Pani*, tyś ubogi.

„A chcesz ptaszki, miejże klatkę,
Miejże dla niej piękne ziarno . . .
Pójdzież ona w naszą chatkę,
Ubożuchną, niską, czarną? . . .

„Ja zaś nie chcę, by mi chłopiec
Szedł na łaskę za *prymaka*,
By miał prawo ktoś mu dopiec,
Że go karmi jak żebraka“.

Jak się zaciął dziwak stary,
Ani rady! Biedny Janek,

ADAM PŁUG.

Gotów sercem na ofiary,
Rzuca z płaczem swój zaścianek;

Żegna łzami swą jedyną,
Ściska nogi dobrej matki,
I w świat rusza gdzieś z wiciną,
Po swe szczęście — po dostatki.

Ani wieści, ani słychu;
Przepadł jakby kamień w wodę;
Gorzko płacze dziewczę młode,
Ojciec modli się po cichu.

Zosia z żalu ledwie żywa
Wypatrzyła za nim oczki!
Czy to kotek się umywa,
Czy na płocie skrzeczają sroczki:

Na pagórek wnet wybiega,
Ponad Niemen spieszy siny,
Smutna chodzi koło brzegu,
Czeka w trwodze na wiciny.

Przy wesołym płyną śpiewie
Do rodzinnej flisy ziemi;
Ale Janka niema z niemi,
I nic żaden o nim nie wie!

ADAM PŁUG.

Odkąd poszedł, Zosia stawi,
Z cienką przędzą trzecie krosna,
Po raz trzeci brzmi żalosna
Pieśń, lecących w świat zórawi.

Bujny wicher po raz trzeci
Miota liśćmi poźółkłemi;
A wciąż tęskna myśl jej leci
Ptakiem, wiatrem, w dal po ziemi.

W modłach się ku Niebu wzbija
I o Janku szuka wieści;
Lecz ni Chrystus, ni Maryja
Nie litują się boleści! . . .

On nie wraca! . . . Śród tęsknicy,
Jak w niewoli czas przechodzi!
Darmo nęcą chłopcy młodzi,
Dziewczę nie chce wieczornicy.

Od wesołej uczty stroni;
Na głos skrzypki lkać gotowa;
Doma swoje załość chowa,
I przystępu gościom broni.

Cały dzionek, wszystka w oku,
Cały wieczór, w słuchu wszystka,

ADAM PŁUG.

Dojrzy drobną muszkę w mroku,
Słyszy lada szelest listka . . .

Szkoda oczu, słuchu szkoda!
Ale dziewczę wierzy jeszcze;
Bo w miłości dusza młoda,
Ma przecucia i sny wieszczę.

A więc śniła dziś o brzasku,
Że Jan święty, co u boku
Ma sokoła na obrazku,
Dał się widzieć jej w obłoku.

Patrzył chwilę na jej łezki,
W oczach błysła litość tkliwa,
Skinął, — alić ptak niebieski
Od nóg jego wnet się zrywa —

I mknąc ku niej przez błękity;
Złoty pierścień trzyma w dziobie;
A na szyi ku ozdobie
Ma wianuszek z mirtu zwity.

Wróci Janek! Tak nieboga
W wieczór marzy u prząsniicy;
Ale zawsze łza w źrenicy;
Zawsze w duszy boleść sroga!

ADAM PŁUG.

A żal matki któż wypowie? . . .
Przez łzy patrzy na swe dziecię
I zlorzeczy może skrycie
Nieszczęśliwej Janka głowie . . .

Cyt! . . . warknęły wierne psiska . . .
Słychać tętent . . . skrzypią wrota . . .
Dziewczę dłońmi piersi ściska,
Bo się w bólu serce miota! . . .

Słychać kroki . . . ot, już w sieni! . . .
Tchu już braknie! . . . cudu, Boże!
Kto bądź niech się w Janka zmieni,
Bo tak serce pęknąć może! . . .

Cudu, Boże! zmiłowania! . . .
I bez myśli, jak myśl chyża,
Ku obrazom, i wśród łkania
Padła na twarz u stóp krzyża . . .

I cud stał się! sen z iszczony
On to! on to, wytęskniony!
U nóg matki, u nóg Zosi
Rzewnym płaczem się zanosi.

— „A witajcież, o jedyne
Ptaszki rajskie, złote moje! . . .

ADAM PŁUG.

Ach! myślałem, że w łez zdroje
Z tej tęsknoty się rozplynę!

Tyle czasu! Boże miły!
Te trzy lata, to wiek cały! . . .
Czyście tutaj choć tęskniły?
Czy choć kiedy wspominały? . . .“

— „I tęskniła, i płakała,
Bez słów liczko odpowiada,
Taka łzawa, taka blada
Gołąbeczka moja biała!“

Matce, Zosi, rzewne łkanie
Tłumi oddech, tłumi słowa;
Jeden wykrzyk — cała mowa,
Całe z serca powitanie.

I w łez czystych rosie świętej
Cała błogość rajskiej chwili,
Zanim w duszy wniebowziętej
Myśl z uczuciem się przesili . . .

A jak pszczołki z brzaskiem słońca,
Rojem z ula mkną ku lipie,
Tak z ust potem już bez końca
Tłum się gwarnych pytań sypie:

ADAM PŁUG.

— „Gdzieżeś bywał? w cudzej ziemi
Doznał szczęścia, czy też biedy?
Czy choć tęsknił za swojemi?
Czy choć w smutku wspomniał kiedy?“

Długa powieść, smutne dzieje!
Zawędrował na kraj świata,
A przebolał przez trzy lata,
Co przez wiek nie odboleje!

Och! bo ciężko w cudzym kraju,
Gdzie człek nie zna ani mowy,
Ani wiary, ni zwyczaju:
Za grosz, kark swój dać w okowy.

Ciężko z srogim bólem w łonie
Na wiatr smutne ronić jęki;
Ni życzliwej nie mieć ręki,
Co by krwawy znój ze skroni —

Nam otarła, kroplę wody
Na spalone dała usta! . . .
Ludne sioła, wielkie grody,
A dla serca — ziemia pusta! . . .

Ej, nie pusta! biedne serce!
Jakby w czyścú dusza grzeszna!

ADAM PŁUG.

Obcym żałość jego śmieszna,
I łyzy święte w poniewierce!

A więc tylko Bóg z wysoka
Widział boleść jego duszy:
Wiatr bywało, łyzy mu z oka
I ze skroni znój osuszy.

A skowronka szczebiot tkliwy,
Przypomina mu co rano,
I ojczyste, drogie niwy,
I Zosieńkę ukochaną.

Nie upada więc na sile,
I nadzieją słodząc życie,
Liczy dzionki, liczy chwile,
Liczy skrzętnie grosz w kalécie.

I oto już dola w trzosie!
Okupione srogie znoje!
Już mieć będzie chatkę swoją,
Już mieć będzie swoją Zosię!

Niechno tylko zima minie,
A wraz z kwieciem, w rannej wiosnie,
Cudem domek sam wyrośnie,
Sam po tęczy z niebios spłynie.

ADAM PŁUG.

Już wiośniane słońko świeci,
Z pieśnią gniazda wiją ptacy,
Z pieśnią biegnie Jaś do pracy,
W imię Boże chatkę kleci.

Cudem, cudem domek rośnie!
Taki śliczny, wycacany!
Jeszcze tydzień, a radośnie
Raj obejmie swemi ściany . . .

Tydzień minął: chatka nowa
W drzwi na oścież gości prosi . . .
Biednaż, Janku, twoja głowa!
Nie sprowadzisz tam swej Zosi! . . .

Bóg jej zsyła inną dołę,
Ejże, inną chatkę zdarza!
Pod jedliną, wśród cmentarza,
Cztery deski w ciemnym dole!

Legła w grobie, a z nią razem
Cały Janka piękny świat,
Cała krasa młodych lat
Pod grobowym legły głazem!

Odtąd, jednym już cmentarzem
Wszystka jemu ziemia stoi,

ADAM PŁUG.

A on wiernym jej grabarzem
Przy mogile Zosi swojój.

Bez bluźnierstwa, bez rozpaczy,
Z pożegnaniem domek pusty
Czarnym krzyżem na drzwiach znaczy;
Składa kraśne swoje chusty:

Złote lamy składa w skrzynię,
I korale, i bursztyny,
Co z dalekiej niósł krainy,
Na podarek swej dziewczynie.

Strój żebraczy na się bierze,
Bierze topór za popręgę,
W rękę kij, pod pachę księgę,
Na pierś krzyżyk i szkaplerze;

I z swym kramem na tułactwo
O żebranym rusza chlebie,
Niosąc ból swój i bogactwo
Na ofiarę Bogu w niebie.

Bo tam Zosia jego droga! . . .
Jej miał oddać życie całe,
Więc to życie już dla Boga,
I na Jego tylko chwałę.

ADAM PŁUG.

I te lamy i korale,
Co miał złożyć Zosi w darze,
To już tylko na ołtarze,
Już ku Bożej tylko chwale.

Więc w pokorze i żalobie,
W modłach łzami zlewa lice,
Stawia krzyże i kaplice,
I obrazy święte zdobi.

A w nagrodę bólu, trudu,
Za ofiary i łez tyle,
Wciąż Bożego czeka cudu,
A tym cudem — sen w mogile!

Lecz przed ludźmi żal swój chowa,
Ani jęku, ani skargi;
Tylko pacierz szepcą wargi,
Błogosławieństw tylko słowa.

Lecz ta trupia odrętwiałość
I tych zmarszczek sieć pajęczą,
Jasno świadczą, jaka żalność
Biedną starca pierś udreżca.

I nie dziwy, ej, nie dziwy!
Kto znał w życiu takie bole,

ADAM PŁUG.

Kto w grób złożył całą dołę,
Ten już pewno nieszczęśliwy!

I nie dziwy, ej, nie dziwy,
Że ów dworek pustoszeje . . .
Gdzie grób szczęścia i nadziei,
Tam dach pewno nieszczęśliwy! . . .



Do poezyi „Król Juba“ Adama Asnyka.
Rysunek Franciszka Żmurki.

X

ADAM ASNYK.
ur. 1838 r.

KRÓL JUBA.

Chodź, Petrejuszu, rzecze król Juba,
Po co nad klęską chmurzyć swe czoło,
Nie czas żałować . . . skończona próba —
Potrzeba zginąć wesoło!

Cezar zwycięzca — my zwyciężeni,
Już się nie dźwigniem więcej z pogromu;
Pole zabitych krwią się rumieni,
I nie ma walczyć już komu.

Cezar nas wszystkich osaczył w matni,
Na cóżby wszystkie skargi się zdały!
Czy my to pierwsi, czy my ostatni,
Co nędznie ginie bez chwały?

ADAM ASNYK.

Ktoś musi zawsze ustąpić z drogi . . .
Dziś na nas kolój — oni są górą . . .
Lecz, Petrejuszu, klęę cię na bogi . . .
Czemu spoglądasz ponuro?

Czy żal ci tęczy złudzeń rozwianęj?
Żal ci wolności jasných sztandarów?
Rzymu — co będzie dźwigał kajdany
Pod stopą swoich cesarów?

Żal ci szlachetnej myśli co ginie
A której inni podjąć nie zdolni?
Rozpogódź czoło, mój Rzymianinie,
Zgon nas od troski uwolni.

Ja, barbarzyńca, syn dzikich plemion,
Nie będę waszym rozpaczom wtórzył;
Gdy lud zwycięzcy gnie się do strzemion,
Ma los, na jaki zasłużył.

Ja, barbarzyńca, nie znam co smutki,
Walczyłem z wami wiernie do końca,
Teraz chcę jeszcze przez ten czas krótki —
Ucztować do wschodu słońca.

W moim pałacu czeka biesiada,
Więc ciebie na nią zapraszam w gości:

ADAM ASNYK.

Zanim nam usta zamknie śmierć blada,
Wypijem na cześć wolności!

Cóż, miły gościu? czyż nie ochoczo
Bawim się, tłumiąc myśli złowieszcze,
Zanim nas tutaj wrogі zaskoczą,
Do picia, mamy czas jeszcze.

Niech żyje słodka winna jagoda!
Niech żyje napój zesłany z nieba!
Takich nektarów zostawiać szkoda,
Amfory skończyć potrzeba.

Więc prędzěj, czary wychylmy do dna,
Kaźda z nich z czoła chmurę nam strąca,
Niech żyje męztwo i myśl swobodna,
Niech żyje wolność ginąca!

Chodź, niewolnico moja ty biała,
Śnieżném ramieniem opasz mi szyję;
Niech żyje powab pięknego ciała,
Cypryjskie bóstwo niech żyje!

Weź jeszcze swoją lirę do ręki
I śpiewaj grecką piosnkę miłosną,

ADAM ASNYK.

Niech żyją pieśni rozkoszne dźwięki,
Od których serca tak rosną.

Dość, dość, Greczynko! dolej nam wina
I ucisz ust twych śpiewne słowiki.
Niech nam numidzka teraz dziewczyna
Zatańczy taniec swój dziki.

Dosyć i tańca, jutrzienka hyża
Niedługoienne światło odnowi,
Więc nasza uczta także się zbliża
Teraz ku swemu końcowi.

Wszystko się kończy co się zaczyna,
Czy złe, czy dobre losy człowiecze . . .
Ostatnią czarę spehujmy wina
I weźmy w dłonie dwa miecze.

Zmierzym się z sobą, tak, dla zabawy —
Wiem, że się stałą zabawim ładnie.
Komu los będzie sprzyjać łaskawy,
Ten z ręki drugiego padnie . . .

W walce umierać jakoś najgładziej,
I cała przykrość namysłu znika.
Kto pozostanie niech sobie radzi,
I ginie z rąk niewolnika.

ADAM ASNYK.

Cóż, Petrejuszu? rozjaśniasz lica
I za żelazo chwytasz z pośpiechem?
Mój pomysł widać ciebie zachwyca,
Bo usta krasisz uśmiechem!

A więc skrzyżujmy nasze orężę,
O cios śmiertelny będziem się spierać,
Walczmy jak wrogi, walczmy jak mężę,
Z których chce każdy umierać.

Co? ty się chwiejesz pod moim ciosem . . .
Padasz na ziemię . . . O! Rzymianinie,
Słusznie żeś został wybrany losem,
Wszak byłeś u mnie w gościnie.

Musisz mi przyznać, że byłem hojny,
Niosąc ci w końcu ten dar żelazny —
Już nic nie pragniesz . . . jesteś spokojny,
Poległszy z ręki przyjaznej.

Teraz i na mnie nadchodzi kolój,
Daremnie żądać pomocy bratniej —
Greczynko! jeszcze wina mi dolój,
Daj pocałunek ostatni! . . .

Hej, niewolniku! zwiędły mi róże,
Przygotuj świeży wieniec na skronie,

ADAM ASNYK.

Popraw draperye na mój purpurze,
A teraz — ujmij miecz w dłońe.

Posłuchaj, chłopcze . . . wolnym cię robię,
Tylko idź ślepo za mym rozkazem:
Kiedy różami czoło ozdobię —
Przeszyj mi piersi żelazem!

P R O Ś B A .

O! mój aniele, ty rękę
Daj!
Przez łąy i mękę,
Przez ciemny kraj,
Do jasnych źródeł ty mnie doprowadź,
Racz się zlitować!

Serce me zwiędło jak marny
Liść:
Wśród nocy czarnej,
Nie wiem gdzie iść,
I po przepaściach muszę nocować,
Więc ty mnie prowadź.

ADAM ASNYK.

To com ukochał, com tyle
Czcil:
Zdeptane w pyle,
Padło bez sił . . .
Rozpacz i hańbę widząc po drodze,
Stałem w trwodze.

Widziałem zbrodni zwycięzki
Szał;
Widziałem klęski
Duchów i ciał;
Więc obłąkany boleścią — chodzę
We łzach i trwodze.

I niewiem teraz w co wierzyć
Mam?
Jak dzień mój przeżyć
W ciemnościach — sam.
Niewiem, czy zdołam wytrwać niezłomnie,
Więc ty zstąp do mnie!

Lękam się wstąpić z zwątpieniem
W grób,
I z utęsknieniem
Do twoich stóp,
Chylę się z prośbą, i nieprzytomnie
Wołam: zstąp do mnie!

ADAM ASNYK.

Pokaż mi tryumf w przyszłości
Dniach!

Tryumf miłości
Kupiony w łzach,
I upragnione zwycięstwo jasne
Pokaż, nim zasnę!

Pokaż mi ciszę wschodzących
Zórz!

Zmartwychwstających
Królestwo dusz;
A dbać nie będę o szczęście własne —
Spokojny zasnę!

S Z K O D A .

Szkoda kwiatów, które więdną
W ustroni —
I nikt nie zna ich barw świeżych
I woni . . .
Szkoda pereł, które leżą
W mórz toni;
Szkoda uczuć, które młodość
Roztrwoni.

ADAM ASNYK.

Szkoda marzeń, co się w ciemność
Rozproszą;
Szkoda ofiar, które nie są
Rozkoszą.
Szkoda pragnień, co nie mogą
Wybuchać;
Szkoda piosnek, których nie ma
Kto słuchać.
Szkoda męztwa, gdy nie przyjdzie
Do starcia;
I serc szkoda, co nie mają
Oparcia!

KARMELKOWY WIERSZ.

Bywało, dawniej przed laty,
Sypałem wiersze i kwiaty
Wszystkim dziewczątkom;
Bom myślał, o piękne panie,
Że kwiat, lub słowo, zostanie
U was pamiątką.

Wierzyłem — zwyczajnie młody,
Że jeszcze nie wyszło z mody
Myśleć i czuć;

ADAM ASNYK.

Że trochę serca, kobiecie
Świętej karjery na świecie,
Nie może psuć.

Aniołków brałem na serjo,
I z śmieszną Don-Kiszoterją
Wielbiłem lalki.
I gotów byłem — o zgrozo!
Za Dulcyneę z Tobozo
Stanąć do walki.

Lecz dziś — komedję salonu,
Jak człowiek dobrego tonu
Na wylot znam;
Z serca pożytek niewielki . . .
Więc mam w zapasie karmelki
Dla dam!

GUSTAW ZIELIŃSKI.

1809 † 1881.

POWRÓT WIOSNY.

Słońce się z mglistych otrząsa chmur,
Z dolin i gór —
Zimowe, śnieżne spada okrycie,
Jasnym połyskiem srebrzą się wody,
W łonie przyrody,
Wre życie.

I znów na ziemię powraca raj.
Pola i gaj
Napęlnia nuta jakaś radosna,
Kwiat swe tułące zrzuca osłonki,
Wonią tchną łąki:
To wiosna!

Skowronek wzbił się w powietrzny szlak;
Miły to ptak —
Gdy na skrzydełkach zawieszon, śpiewa,
I cały urok rozkwitłej wiosny,
W swój śpiew miłosny —
Przelewa.

GUSTAW ZIELIŃSKI.

O! gdyby serce mogło tak żyć,
Tak słodko śnić . . .
Z uwiędłych marzeń, z uczuć zawodu,
Po burzach życia znów się ocucić,
Kochać i nucić —
Jak z młodu!

Z POEMATU „STEPY“.

Wszedł śpiewak . . . miejsce zaszczytne mu dali
Obok sułtana; bo choć niewidomy,
W stepach szeroko z pieśni był znajomy;
Jak Hodzę, szatę jego całowali;
Gdzie się ukazał zbierały się tłumy,
W ślad za nim biegły kędy się obrócił,
Bo im do serca były tęskne dumy;
Ślepy — wesółych już dawno nie nucił;
I gwar umilkął, skoro pierwsze dźwięki
Z pod jego bieglej wypływały ręki.

Tam widzieć trzeba, jak stepu synowie
Pojmują wieszczą, gdy im go Bóg zdarzy;
Ile radości błyszczy w każdej twarzy,
Jaka potęga w jego jednym słowie:
Niebo, step, konie i życie pastusze

GUSTAW ZIELIŃSKI.

Tłem jego pieśni, z którego ciąg zdarzeń
Snuje w natchnieniu, i proste ich dusze
Porywa z sobą do krainy marzeń.
Ich lica, to jak zwierciadło bez skazy,
Na którym władzą słowa czarnoksiężką,
Pieśń w rzeczywiste kształci się obrazy.
Zaledwie nutę posłyszają zwycięzką,
Im się wydaje, że już nogą jedną
Stoją w strzemieniu, oczy blaskiem świecą,
Usta i śpiewak z przed ich wzroku bledną,
Bo duszą w stepie, na swych rącznych koniach,
Ich oczy, myśli, ich uczucia, lecą
Niedoścignione, jak wichry po błoniach;
Pieśń brzmi — i długo tłumiony w płuc cieśni
Okrzyk wojenny, co dotąd nieśmiało
Z piersi słuchaczów zrywał się nawałą
Jak wtór piekielny, wybuchnął wśród pieśni.

Śpiewak łagodniej struny gęśli trąca,
I niby jutrznia majowej urody,
Na dzikie lica zstąpił blask pogody;
Uśmiech jak promień wschodzącego słońca
Na chmurne czoła złoty połysk ciska;
I pieśń wesoła z różnych stepu końców,
Przed chwilą wrzących, rozproszonych gońców
Zbiera, i w jurcie sadzi u ogniska.

GUSTAW ZIELIŃSKI.

Znów śpiewak ujął w posłuszeństwa karby
Słuchaczów serca, lecz niechże ton zmieni,
Niech do obrazów żywsze weźmie farby,
Niech do swej pieśni dorzuci płomieni;
A jak w noc ciemną kiedy stępy płoną
Niebo się smugi krwawemi oświeca:
Takim pożarem wre namiętne łono,
I taka luna oświecła ich lica.

Śpiewak, to jedna dusza pośród koła,
Która wszechmocnie każdą cząstką włada;
Dotknie strun, piosnka popłynie wesoła,
I zaraz radość huczy jak kaskada.
Uderzy w smutne, już obraz odmienny,
Jak gdyby wichur zasumiał jesienny,
Każda twarz, rysy przybiera posępne,
I oko w bólu na łzy niedostępne,
Widzisz, jak rzewnym zanosi się płaczem.
O! w takiej chwili i z takim słuchaczem
Niechaj kto rzuci gorejące słowo,
Jedną myśl straszną, jak chmurę gromową,
A świat ten zburzy. Oby się chciał zjawić
Wieszcz, coby takim słowem mógł świat zbawić!

*

GUSTAW ZIELIŃSKI.

Do was się z wracam wieszczce mojej ziemi!
Gdy Bóg w twą duszę piękności zarody
Rzuci jak gwiazdy palące, któremi
Wiecznie masz świecić, słuchaj bracie młody:
To ogień niebios, tyś jego kapłanem,
Jak ołtarz Westy, chroń go nieskalanym;
Strzeż jako arki dawnego przymierza;
I pierwszych iskier, myśli twojej plonów,
Nie rzucaj płochu na pastwę salonów,
Boś ty skowronkiem w cudne odzian pierza,
Nad poziom martwy masz wzlatać i śpiewać,
I wiosną tonów skrzepły świat ogrzewać.
A tu z złoconem czekają cię sidłem,
Wabią, i skoro upłączesz się skrzydłem,
Olśnią cię blaskiem nieszczerej pochwały,
Lot twój wyłamią dowcipy ostre,
Z piórek oskubią, z tych marzeń co miały
Wnieść cię pod niebo — byś pełzał po ziemi;
A potem puszczą, cóż poczniesz? bezpióry,
Rozczarowany: czyż wzlecisz do góry?
Że wśród swych braci żyjesz zapoznany:
Boś ty oazą, tą palmą nad zdrojem
W ogromie pustyń; liczne karawany
Ciagną i miną, a rzadki zbłąkany
Przyjdzie wędrowiec spocząć pod twym cieniem,
I zwilży usta spalone pragnieniem.

GUSTAW ZIELIŃSKI.

Królestwo twoje nie jest z tego świata,
Nie tu, lecz wyżej namaszczeń zapłata;
Tu nędza, zawiść i szyderstwo czelne;
Chcesz być wyjątkiem, chcesz dostąpić cudu?
Masz serce ludu — więc śpiewaj dla ludu,
A pieśni twoje będą nieśmiertelne!

Bo pieśń, to boskie w dziejach ludu słowo . . .
Jako piastunka nad dziecięcą głową,
Tak lud niemowlę kołysze i pieści
Czarownym wątkiem cudownych powieści.
Później, jak dziewczę w dniach pierwszej miłości
Namiętną iskrą jednego spojrzenia
Młodzieńcze piersi ludu rozplómienia,
Urokiem szczęścia, sławy i wielkości.
A gdy lud kona, jak matka w żałobie,
Boleść swą w jęki przelewa i łkania;
I długo pomnik mchem zrosły na grobie,
Mglą nieśmiertelną jak krepą osłania.

STANISŁAW KOŹMIAN.
1811 + 1885.

MOWA POLSKA.

(W WYJĄTKACH.)

Polska mowa ma świetlana,
O jedyna ty na ziemi,
Na tle niebios słońc wszystkimi
Promieniami tęczowana!
Twój jedyny strój natchniony
Wszystkie dźwięki w sobie mieści,
I anielskich luteń tony,
I anielskich chórów treści.
Nie obcego szczepu kwiecie,
Nie obcego rodu dziecię,
Nie ze szczątków, nie w odmęcie
Zgasłych plemion tyś zrodzona;
Lecz w prost z niebios twe poczęcie,
Tyś bożego tchnieniem łona,
Cudem cudów objawiona.

Wszelki kształt się zmienia, łamie,
Ty trwasz wieki niepożyta;

STANISŁAW KOŹMIAN.

Wiecznie z ciebie bo wykwita
Bezpośrednie Boga znamie;
Z każdą myślą a potrzebą,
Twój kwiat w nowe się rozplemia!
A co bujna zrodzi ziemia,
To na wieczność święci niebo:
I jak wszystko co z przymierzają,
Co z niebieskiej tchnie opieki —
Zawsze nowa, młoda, świeża,
A ta sama co przed wieki
Na tle twojem błyszczy cecha.
W Pańskiej służbie ochotnicy,
Dziś śpiewają do Dziewicy,
Bogarodzicy,
Jak śpiewali za Wojciecha.

Choć nam życia wciąż ubywa
I pękają sił ogniwa,
Ty królujesz po nad nami,
W pełnym ducha majestacie;
A gdy do cię my się sami
Wzniesić nie możemy, — ty nam w porę
Schodzisz na dół w niskiej szacie,
Wskrzeszasz zmarłe, cucisz chore,
Mdłe ukrzepiasz, — brata w bracie
Poznać dajesz, — idziesz w gości

I do zamku i do chatki;
Wznosisz gnuśnych w powinności,
Gromisz braki, niedostatki,
Nie tą grozą co oniemia,
Lecz miłością która stwarza.
Tyś nam prorok z po nadzieimia,
Tyś nam kapłan u ołtarza!

A my, jakąż się odpłatą
Wywdzięczamy tobie za to?
My się z ciebie naigrawamy,
Wyszyszamy wiano złote,
Plon wiekowych twych zdobyczy —
Zwiem dzieciństwem wstyd dziewiczy,
A prostactwem twą prostotę.
I niepomni, że się w mowę
Ten narodu obraz żywy,
Wszystkie cechy narodowe:
Wdzięki, chluby, chwały, dziwy,
W treść zbiegają, jak w kryształe
Rozpierzchnione światła fale;
I niepomni, że przystoi
Mężnych mowie hart ich zbroi,
I że tylko jednolita
Z całozzczepem w kwiat wykwita, —
My w to godzim, by w twą przedzę

STANISŁAW KOŹMIAN.

Wsnuć szych obcy, obce nędze;
Twoje wątki przeprząść na nie
Różno-barwnej, zwodnej krasy,
Twój dźwięk rozbić w słów hałasy;
By cię zgnuśnić, przedworzanić
W mdłą przesadę, — z twardej stali
W puch przewinać, — by zapasy,
Tylu wieków hojne żniwo,
Co ojcowie nam zebrali
Pracą ciężką a uczciwą,
Strwonić na raz, w mgnieniu oka;
I do szczętu w grze pustoty —
Wianem z tobą dan z wysoka
Przegrać posag szczerozłoty.

Lecz napróžno, my Kaimy,
Przeciw tobie od kołyski
Aż do grobu knujem spiski;
Bo lud własny — twój rodzimy,
Twoich ogniów wiecznie strzeże.

Więc miłujesz go jak matka,
Obejmujesz duszą całą,
Dzielisz się z nim do ostatka,
Co z rozbicia ci zostało;

STANISŁAW KOŹMIAN.

Barwisz prace, koisz żale,
Łzy ozłacasz, bo od syna
Co na zbytek plon twój ścina:
Stokroć miłszy ci w siermiedze
Syn ten młodszy, który w dziale
Dostał tylko trud i nędzę.
Zawsze przy nim jest widoczną,
Nieodstępną w każdej porze;
W pieśń go budzisz, gdy na zorzę
W niebie chóry nucić poczną
Hymn poranny. — Kiedy orze,
I z skowronkiem kiedy sieje:
Wyśpiewujesz mu nadzieję.
Nad żniwiarzów krążąc kołem,
W rytm radości wiążesz społem
Z dźwiękiem sierpa, z chrzęstem kosy
Złotodzwonne ziarnem kłosy.
Gdy na wieczór przy rodzinie
Siedzisz razem u ogniska:
Kto płomieniem po ścian bieli
Strachy, dziwy, czary ciska?
Zkąd im tyle pieśni płynie,
Czy od sierpa, czy od pługa?
Zkąd się snuje powieść długa,
Razem z nitką od kądzieli?

STANISŁAW KOŹMIAN.

Jakiż, jakiż duch to żywy,
Wszystkie sny te, jawy, dziwy —
Wiecznie sieje i poczyna,
Z słowa rodzi, wciela w słowo?
Duch to — duch twój, ach! jedyna,
Ty ojczysta, polska mowo!

BRODY KRZYŻACKIE.

Mnogi lud krąży w Piastowej stolicy,
W wesołe, gwarne gromady skupiony,
Hymn spiżu z każdej wybiega dzwonnicy,
Huk dział Wawelu grzmotem tłumi dzwony:
A w mieście domy przybrane uroczó,
Kwiaty, opony, na każdej ulicy,
Cechy, chorągwie, ziemianie się tłoczą,
I tłum napływa chłopstwa z okolicy.
Więc zewsząd pany, książęta wspaniałe,
Jadą na zamek wśród licznych orszaków,
Ujrzyć monarchę, co w świecie wzrósł w chwałę,
Uczcić Zygmunta i podziwiać Kraków.

Więc możne króle, dalekie książęta,
Hołdowne mistrze i cudze narody,
Ślą swoje posły, by w dzień tego święta
Uczcić Zygmunta i uświetnić gody.

Katedra w zamku, ojczyściej gmach sławy,
Stroi się w jedwab, złotogłów, purpury —

Deszcz blasków zlewa sklepienia i nawy,
Stalle, ołtarze, kaplice i chóry.

Co tylko skarbiec kościelny, królewski,
Chowa w swem łonie — ku ozdobie dane:
Monstrancye rżnięte w cudne arabeski,
I apostoły szczerozłote, lane,
Świeczniki złote, baldachy, obsłony,
Jabłka i miecze, starożytne berła,
Odwieczne książąt i królów korony,
A wszędzie złoto, dyjament i perła.

Pysznie wystąpi świątynia na gody.
Jutro królewska ślubować ma para:
Syn Kaźmierzowy, król Zygmunt, pan młody,
A pani młoda: Zapolyi Barbara.
Ruchem i zgiełkiem kościelne brzmią mury,
Gwar ludu bije w sklepienia kolumny,
Radość wokoło — i tylko ponury
Krzyżak, stał w środku milczący a dumny.

W śnieżystym płaszczu, na którym się mieni
Krzyż czarny, w stalnej zbroicy, w szyszaku,
Jak na grobowcach posągi z kamieni,
On ani zadrgnie, ni da życia znaku.

Tylko wzrok groźny wlepił w szczyt kopuły,
Pod którą biskup Stanisław legł święty;
Znać złe wspomnienia krzyżaka pierś truły,
I wiodły w ciemne przeszłości odmetry.
Srebrzystą trumnę, w sztandarów obsłonie,
Namiotem drugie sklepienie objęło,
W Grunwaldzkiej bitwie, na dumnym zakonie
Zdobyte, tutaj zawiesił Jagiełło.
Widok ich zbudził w Krzyżaku przed laty
Słyszana powieść, — więc jednym poskokiem
Dosięga stopni, uczepia się kraty
I bystrym, trwożnym, przenika głęb wzrokiem.

I nagle zgroza rycerzem wstecz ciska,
Wstrząsł się i chwieje, i z przestachu blednie,
Strwożony widmem wstrętnego zjawiska,
Za czarną brodę chwycił się bezwiednie.

Tam — liczne brody mistrza i komturów,
Srebrzyste, płowe i rude i czarne,
Wiszą a stropu kościoła, u sznurów,
Wiszą jak godła męczeńskie, ofiarne.

Wybiega rycerz; — w zewnętrznych podwojach
Wsparł się w pół martwy — ociera pot z czoła,
I pierś ściśniętą kąpie w wiatru zdrojach.

Wtem go ktoś trąca, jakiś głos zawoła:

— „Co wam rycerzu? . . .“

Lecz Krzyżak ponuro

Spogląda tylko, a nie odpowiada.

— „Cóż wam oblicze zaciąгло tak chmurą?

Co się to znaczy? wzrok dziki, twarz blada,

Snać jakieś lichy do serca się wkradło!

Czy nie bogdanka? dziś zakon tem żyje“.

— „Nie mi“ — rzekł rycerz.

— „Ba! twarz jak zwierciadło,

I najtajniejsze affekta odbije“.

— „Mości Decyuszu, rzecze Krzyżak gniewnie,

Porzućcie drwinki — a lepiej te godła

Ohydne, zdejmcie — boć chwały wam pewnie

Wcale nie przyda, rzecz sromotna, podła!“

— „O czem to prawisz? o jakiej sromocie?“

— „O czem? o brodach!“

— „Cóż znowu za brody?“

— „Brody mych braci; — źle jakoś przy zlocie

Odbijać będą w Zygmuntowe gody“.

— „Ha! ha! ha! Decyusz buchnął całym głosem,

Ha! ha! ha! . . . brody . . . ha! ha! . . .“

Krzyżak harde

Rzucił spojrzenie z podelba, ukosem,
I woła: — „Jakto? do okrucieństw wzgardę
Dołączasz, czyniąc z męki pośmiewisko,
Wiem że padł zakon, spekał gmach krzyżowy,
Lecz Niemcy żyją — może pomsta blisko,
Rychlej niż myślisz padnie wam na głowy!
Ni dzicz litewska, ni tatarskie hordy,
Ani was zbawią wasze silne grody:
Niemców jak piasku! morderstwo za mordy!“

— „Lecz powiedz, gdzie są tych morderstw dowody?“

— „Gdzie? tam przy grobie, na wstyd, hańbę wieczną,
Dowodów waszych okrucieństw — setkami“.

Decyusz tłumiąc wesołość serdeczną,
Ociera oczy z śmiechu zasze łzami.

I rzecze: — „Brody, śmieszna baśń niemiecka,
Baśń nędzna, głupia, aż słuchać nie miło;
Przed sześcią laty dość tych bród z pod Klecka
Przywieźli, choć tam Krzyżaków nie było.
I dziś wieść przysła: Przeclaw Lanckoroński
Zniósł kosz tatarski — a więc po Tatarze,

WŁ. L. ANCZYC.

Wkrótce nie jeden ujrzysz buńczuk koński;
Boć to buńczuki, nie brody — bazarze.

Pójdź a oglądaj, że to włosień koński . . .
Niech na wstyd własny staną ci dowody,
Niech świat się dowie, że rycerz teutoński,
Wziął koński ogon — za swych braci brody!“

WACŁAW SZYMANOWSKI.

1821 † 1886.

N I E D O Ł Ę G A .

Niechaj-że was święci strzegą
Ludzie mili,
Byście jak ja do niczego
Kiedy byli;
Gdziebądź pójdę, cobądź zrobię,
Każdy gęga :
Daj tam pokój, jesteś sobie
Niedołęga.

Niedołęga . . . mówić łatwo,
Głupi tłumie ;
Robić piórem albo dratwą
Każdy umie.
Czembądź z pracy zysk się bierze :
Butem, księgą,
Furda . . . lepiej zostać szczerze
Niedołęgą.

Co po myśli, kiedy ona
Ledwie wzlata —

WACŁAW SZYMANOWSKI.

Ciężkiem skrzydłem, i wraz kona
W krańcach świata.

Co po pracy . . . chyba w grobie
Spokój daje,
Bo gdy masz jeść, zębów tobie
Już nie staje.

Co po ludzkiej całej owéj
Kretaninie,
Z której tylko zawód nowy
Ciągłe płynie;
Człek obarcza głowę własną
Wciąż kłopotem,
W końcu, jak dzień widzi jasno,
Że nic po tem.

Niedołęga, choć mu w głowie
Braknie klepki,
Jestto — wierzcie mi panowie,
Człowiek krzepki.
On przed siebie śmiało patrzy,
W zgodzie z światem,
A jak zliczy już raz, dwa, trzy,
Dość mu na tem.

Niech się ziemskie tam półbogi
Pną w niebosa;

WACŁAW SZYMANOWSKI.

On, nie szuka sobie drogi
 Wyżej nosa.
Idzie, za nic ważąc chwałę,
 Wciąż ostatni,
I wynosi kości całe
 Z ludzkiej matni.

Szczęścia kupić nikt nie w stanie
 I nie kupi;
Wielkie jeszcze jest pytanie,
 Kto z nas głupi?
Czy ten, który z ludźmi w wojnie
 Mary łapie,
Albo-li ten co spokojnie
 Śpi i chrapie.

Patrzcie, jak się ziemskie kolo
 Wciąż obraca,
Jak marnieje nie wesoło
 Ludzka praca.
Ciężkiej doli nie upiększy
 Miecz, ni księga . . .
Światem rządzi los, — największy
 Niedolega!

WACŁAW SZYMANOWSKI.

PIEŚŃ EGIPSKA.

Krółów córa, Phto wspaniała
Z cnót tylu:

W pięknej wyspie zamieszkała
Na Nilu.

Gmach z marmuru był sklepiony
Od szczytę;
A u wejścia miał pylony
Z granitu.

Straż czuwała nad nią we dnie
I w noce,
Uzbrojona w łuki przednie
I proce.

Phra stawiano postać mściwą
U wzgórza,
I lwy strzegły z czarną grzywą
Podwórza.

Bo Faraon kazał wielki
By ona:
Mogła zostać nad twór wszelki
Uczczona.
I ku gwiazdom kazał strzały
Słać w górę,

WACŁAW SZYMANOWSKI.

Kiedy gwiazdy mu patrzyły
Na córę.

Nil popędza szybkim biegiem
Na wiosnę;
Błysło oko ponad brzegiem
Miłosne . . .
Skarb, choć z taką strzeżoną siłą
Niepewny:
W pustym gmachu już nie było
Królowy!

WŁODZIMIERZ ZAGÓRSKI.
ur. 1834 r.

HISTORIA PATRYJARCHY NOEGO.

Nasz praszczur Noe świętym był,
I chadzał wciąż przed Panem;
Jak ognia tak się wody bał,
A wino — pijał dzbanem.
Za to go też miłował Pan,
I w wszelkiej strzegł przygodzie;
I gdy potopu nadszedł czas
Niedał mu zginąć w wodzie.

Przez dni czterdzieści padał deszcz:
Pan ziemię wodą raził!
Przez dni czterdzieści Noe pil:
Z pod beczki nie wylaził!
Tak ocalona ludzkość trwa,
I będzie trwać najwieczniej;
A dowód ztąd, że gdzie, jak gdzie,
A w szynku najbezpieczniej!

Przeminął potop. Noe dank
Jehowie ofiarował:

WŁODZIMIERZ ZAGÓRSKI.

I obręcz z próżnej beczki zdjął
I Panu podarował;
A Pan ofiarę przyjął rad,
I nakrył tą obręczą
Przepaście chmur, i obręcz ta
Do dzisiaj dnia — jest tęczą!

Żył potem Noe mnogie dni,
I chadzał wciąż przed Panem:
To jest, jeżeli chodzić mógł —
Bo wino pijał dzbanem.
Wody się tak jak ognia bał,
I była mu przekłeta:
Za to, że nią poraził Pan
Lud mnogi i zwierzęta.

Aż raz się strąbił praszczur nasz,
Przebrawszy trochę miarki:
Zrobiło mu się „jakoś — tak“,
I poszedł spać do Arki.
I przyszedł Cham, i począł drwić,
Że Noe taki ścięty . . .
I za to Chama przeklął Pan,
I Cham do dziś przeklęty!

Historji tej, moralny sens
Jakby na dłoni leży:

WŁODZIMIERZ ZAGÓRSKI.

Ze świętym jest Noego cech,
I drzwi zeń nie należy;
Bo kto ze sprawiedliwych drwi,
Co pijąc aż do spodu
Potrąbią się jak praszczur nasz:
Ten jest — chamskiego rodu!

FELICJAN FALEŃSKI.

ur. 1825 r.

POGRZEB IBISA.

W Memfisie starym, cóż za orszak mnogi
Niby to stoi, a idzie,
Mając zwrócone głowy, ręce, nogi,
Ku wielkiej — ku piramidzie.

Idą: Wszechmocny wół o plamie białej,
Wszechmiłosierne krogulce,
I chrząszcze pełne wiekuistej chwały,
W najświętszej skrzydlatej kulce.

Wąż, trzymający w zębach ogon śliski,
Przedwieczne bóstwo bez końca;
Szakal — moc twórcza, opatrzniemi błyski
Padlinę wszędzie widząca.

Dzielny krokodyl — bóg na wszystkie strony;
Lotus, co z dniem noc przesila;
Święta cebula i błogosławiony
Szczur wodny, wróg krokodyla.

FELICJAN FALEŃSKI.

Lecz zkąd te zewsząd smutki i rozpacz?
 Apis kopytem dół grzebie;
Zmartwił się lotus i krokodyl płacze,
 Szakal wziął ogon pod siebie.

Stał Anacharsys, utrapiony Scyta,
 Wielki ciekawiec jak wiemy.
Pyta się wszystkich — ale próżno pyta,
 Bo każdy głuchy, czy niemy.

Tedy się spyta Sfinksa z czołem płaskiem,
 Lecz z bystrym rozumem w głowie.
Sfinks, nie był jeszcze zasypany piaskiem,
 Więc mu w te słowa odpowie:

— Spojrz na te mary, które z czcią żegnamy,
 A sam się zmartwisz nie mało;
Bo na nich stoi spowite w balsamy,
 Ibisa najświętsze ciało. —

Spojrzał, lecz jakoś nie zmartwił się wcale,
 On zatwardziały nasz Scyta.
Wtem, widząc zewsząd coraz nowe żale,
 W prostocie ducha znów spyta:

— A cóż ten Ibis? — Ibis, w gęste błoto
 Właząc po łydki, świat czyści. —

FELICJAN FALEŃSKI.

— No, więc cóż z tego? — Więc go za to, oto,
Grzebiem jak najuroczyściej. —

Więc Anacharsys, barbarzyniec duży,
Nie pytał więcej ni słowa,
Tylko w zapiskach ze swojej podróży,
Taką uwagę zachowa:

„Kto chce świat czyścić i być wiele wartym,
Niech w błocie brnie po kolana . . .
Dan w tysiąc ósmset sześćdziesiątym czwartym,
Przed przyjściem Chrystusa Pana.“

MIKOŁAJ BIERNACKI.
ur. 1836 r.

Z A S A D Y.

Oddycha dla ogółu,
Jasno swój sztandar niesie:
 Warjacja! warjacja!
Ssie bliźnich bez skrupułu,
I coraz wyżej pnie się:
 Racja! racja! racja!

Stracił i zlikwidował,
Został w jednej kapocie:
 Winny! winny! winny!
Trzy razy bankrutował,
Ma składy, sklepy, krocie:
 Czynny! czynny! czynny!

Uboga, głodna wreszcie,
Skradła bochenek chleba:
 Złodziej! złodziej! złodziej!
Skradł miljon — dał na kweście
Aż tysiąc; wielkie nieba!
 Dobrodziej! dobrodziej!

MIKOŁAJ BIERNACKI.

Pisze, lecz piruetów
Przed mitrą nie wyrabia:
Zero! zero! zero!
Autorem trzech pamfletów
Na temat: wiwat hrabia!
Cycero! Cycero!

Chce obmieść pył z kościoła,
Nie wierzy w Boga — kata:
Przeklęty! przeklęty!
Do biednych „poście“, woła,
A sam półmiski zmiata:
Święty, święty, święty!

Pracuje i oszczędza,
Nie poi swe sąsiady:
Sknera! sknera! sknera!
W sercu i w głowie nędza,
Zaprasza na obiady:
Wiwat! . . . — Et caetera . . .

O P I N J A .

Mój przyjaciel Kalasanty,
Był mężem niezwyklej miary:

MIKOŁAJ BIERNACKI.

Jadł, pił, pożyczał na fanty,
I ciułał bite talary.

Za jakąś wekslową chryję,
Przesiedział rok na uboczu;
Raz dostał w twarz, a raz kije,
Potem, straciłem go z oczu.

Nagle, widzę go w Tryeście,
Z duszą cokolwiek zbolalą;
Miał on majątek nareście,
Ale humoru zbyt mało.

Biedak, lękał się opinji;
Stał się drażliwy i dziki;
Do brata, gdzieś tam, w Wirginji,
Chciał jechać, do Ameryki.

Odradzałem. — Zostań, rzekłem,
Spocznij po żywota trudzie;
Kraj nasz nie jest jeszcze piekłem,
Wierz mi, i u nas są ludzie.

Został. — Podobno we Lwowie
Otwiera dom. — A Wirginja?
Głupstwo! ani mu już w głowie,
Pojechała tam — *Opinja*.

LEONARD SOWIŃSKI.

ur. 1831 r.

Z ŻYCIA.

Wiek u wylęgły w grobach, wzrosły na ruinie!
Straszny dla mnie twój połysk w czartach i w aniołach!
Przerażająca pieśń twa co w sercach nam płynie,
I troska tajemnicza na porytych czołach,
I zapal gorączkowy w bezpotomnym czynie!

Nie jednemu co jęczał po czei twej kościołach,
Co krzyż twój włócił po trudu bratniego wyżynie
I myśl młodą gruchotał w mądrości twej kołach,
Dzisiaj skroń cała — we krwi, nadzieje — w popiołach,
Trumnami zawałone pamiątek świątynie.

Życie! duszo służebna prochów i poziomu,
W kształty bytu, jak w kleszcze potworne ujęta!
Tyżeś-to, drobna, cieniem bożego ogromu?!
Iskro woli, w otchłanie konieczności tchnięta!
Ciemna! tyżeś-to rodem z tęczowego domu?!

Gdzieś tam w piersi poetów ma być ziemia święta,
Wielka jak przepaść niebios, czysta od pęt sromu;
Spokojna ciszą bogów, zmażą krwi nietknięta,

LEONARD SOWIŃSKI.

A piękna, jak myśl świata w twórczym śnie poczęta,
Jak grecki duch — gdy wyjdzie ze skalnego złomu.

Ach! i tutaj wiek cisnął głównie swych pożarów ...
Ideał, rozogniony żądzą i cierpieniem,
Buchając dymem walki ze skarbcą swych czarów,
Przezrocze nieba swego zbrukał ziemi tchnieniem,
I w deszczu łez roztopił błękit swych obszarów.

Zagaśł promień pogody nad wieszczów natchnieniem ...
Wicher życia powiewa wśród ciemnych bezmiarów ...
Świat sztuki — zasepiony bojowem marzeniem,
Niezdolny porwać ducha archanielskiem pieniem,
Przestrasza zgrzytem gromów i burzą sztandarów.

Nigdzie szczęścia w tym wielkim żywota odmiecie! ...
Wola zmarniała waśnią, nie dźwignie go z siebie,
Nie odbuduje pieśni potężne zakłęcie,
Od kiedy, po olbrzymim wszystkich wiar pogrzebie,
Pierś człowieka, zwątpienia przygniotły pieczęcie.

Świecie typów mych jasnych! stań się! wzywam ciebie!
Zlatuj powiewny roju w drżące słów objęcie!
Dam ci życie, krew, miłość, łzy i śmierć w potrzebie:
Szczęścia nie dam — bo w bólu jest twoje poczęcie,
I smutna twoja gwiazda na ludzkości niebie!

LEONARD SOWIŃSKI.

ERGO SUM.

Duchu mój senny, bezwładny!
Myśli w mogiły wryta!
Zbudźcie się! . . . Dość już wspomnienia całunem
Otulać świat, urokiem ciszy martwej zdradny!
Niech lot wasz znowu obłoki powita!
Niech pierś rażona piorunem
Powiew żywota chwytą!

Nie! sił już nie mam! . . . Mój Boże!
Śmierć-że to? — Serce bije!
Nie, nie! — Wszak niegdyś tak wielkim płomieniem
Huczało życie! . . . Dziś jeszcze pod czaszką się sroży
Rozpaczy wichrem, wzgardą gniewną wyje,
Tęsknotą jęczy, zwątpieniem . . .
Cierpię — więc żyję!

DYSSONANSE.

Świat mi w oczach wiruje,
Śmiechem huczy, pustuje,

LEONARD SOWIŃSKI.

Grucha, bawi się, pieści . . .
Witaj chwilo szczęśliwa!
Pierś do szалу się, zrywa . . .
— O boleści!

Nic to, nic! Krew mi płonie,
Dusza w orgii tonie,
W mętach, w burzy, w rozdźwięku . . .
Drży, zamiera szalona . . .
Serce już, już — już kona
— Wgłuchym jęku.

Nic to, nic! Daléj, daléj!
Uczta! puchar mi naléj!
Zdrowie, zdrowie wzniesć trzeba!
A więc wszystkim wam życzę,
Pany, panie, panicze:
— Gromu z nieba!

BEATUS ILLE . . .

I.

Są dusze wielkie z niebios zesłane
By ziemskim duszom panować;
W hartowną męztwa stal przyodziane,
Idą niebaczne na ból, zawody,
Pustynie ziemskie zmieniać w ogrody
I ludziom niebo zwiastować . . .

II.

W duszach tych wzniosłych, już dni dziecięce
Nadziemskie budzą wrażenia,
Dla jednych skarbem: gwary ptaszęce,
Baśń o królownie, fletnia wioskowa . . .
Będą to z czasem — lutniści słowa
Będą to męże natchnienia . . .

III.

Inne — na wzgórek biegną o świetle,
Wchód słońca witać i zorzę;

ALEKSANDER KRAUSHAR.

I szukać blasków w nieba błękicie . . .
Gdy pędzel chwycą do dłoni śmiałej,
Ujrzysz — jak w martwe płótna kawały
Przeleją myśli swe boże . . .

IV.

Innym, zaduma chmurzy blask czoła . . .
Za ziemskie ścigając cele —
Kreślą na piasku: kwadraty, koła,
Śledzą bieg planet wśród jasnej nocy;
Będą to z czasem mędrcy, prorocy,
Odwiecznych prawd krzewiciele . . .

V.

Jednym z nich ludzkość wawrzyny splata,
Posągi stawia szpizowe;
Udziałem innych — zawody świata . . .
A gdy ich walka z losem nie znuży,
Znajdują w końcu życia podróży,
Bolesne wieńce cierniowe . . .

VI.

Stokroć szczęśliwy, kto w jutrzni życia
Nie czuł za rajem tęsknoty!

ALEKSANDER KRAUSHAR.

Komu się ziemia śmieje z powicia . . .
Ten w śnie rozkosznym dążyć nie będzie
Tam, — gdzie się łamią w wieszczym zapędzie,
Duchowych orłów poloty . . .

STANISŁAW GRUDZIŃSKI.

1852 † 1885.

W I E R Z Ę.

Przeciwno burzom i wichrom żywota,
Co gaszą w ludziach święte ognie ducha,
Przeciw zwątpieniu, które myślą miota,
Jak wiotką brzozą śnieżna zawierucha,
Przeciw szyderstwu, co tchnieniem lodowem
Przenika dusze w mroźnej atmosferze,
Bronię się jednym uczuciem i słowem:

Wierzę!

Wierzę! — talizman niezłamanej mocy,
Którym mnie matka uzbroiła święta,
Gwiazdą mi świecił w najciemniejszej nocy,
I dawał siłę zrywać z duszy pęta.
Ilekrć fale wątlą łodzią chwieją,
Od skał mnie bronił groźących rozbiciem,
Był moją siłą, miłością, nadzieją —

Życiem!

Szydercze śmiechy gdy usłyszy ucho,
W duszy mej smutnem odbiją się echem,

STANISŁAW GRUDZIŃSKI.

O trumnę ziemia uderza tak glucho,
Śmiech taki zda się jękami nie śmiechem!
Ach! a pierś owa pustką i mogiłą,
Na której widok łzy płyną do powiek,
Pustką, mówiącą o sercu, co biło,
Gdy był w niej człowiek.

Słyszę te śmiechy . . . jak pogrzebne dzwony,
Jak śpiew puszczyków huczają naokoło, —
Chłubić się wiarą — o! to czyn szalony!
Czapkę z dzwonekami włożyć mu na czoło.
Niewolnik, wolny wraca do łańcucha
I kocha wiary zardzewiałe kleszcze!
Dziś, kiedy przyszała błoga wolność ducha
W cóż wierzysz jeszcze?

W co? — świat mej wiary wielki i szeroki:
Dobro i piękno, i prawda i wieczność,
A szczytem jego — błękitne obłoki,
A jego cechą — pogodna słoneczność.
Wszystko co pięknem, czystem jest i białem,
Co technie miłością, słodyczą, ofiarą,
Wszystko to duszy mojej ideałem,
Wiarą!

Wierzę w te światła, co ręką matczyną
W dni mych zaraniu w sercu zapalone,

STANISŁAW GRUDZIŃSKI.

W pomroku życia wciąż błyszczą, nie giną,
Błyszczą i grzeją, a wciąż w ową stronę
Kierują myśli, gdzie w lazurach świeci
Miljon gwiazd wiecznych, a ich mleczna droga
Wiedzie do Ojca wszystkich ziemskich dzieci:
Do Boga!

Wierzę, że wieki przemina jak mary
I pokolenia całe w proch się zwieją;
Sto razy świat się przeobrazi stary;
I tyleż razy zwyczajną koleją
Mądrość zawiedzie — i śmierć hojną dłonią
Miljony mogił porozwiewa wszędzie,
Światy się znużą wieczystą pogonią
A On wciąż będzie.

Wierzę, że dobra, piękna świat wspaniały,
W Nim ma przedwieczny istnienia początek,
I że ludzkości wszystkie ideały
To Jego myśli szczerozłoty wątek.
Że jest ogniskiem, do którego płyną
Duchy strudzone żywota ogrojcem,
A ludzkość cała jest jedną rodziną,
A On jej ojcem!

Wierzę i w ludzi, że na dnie ich duszy,
Jak na dnie morza czyste perły drzemią,

STANISŁAW GRUDZIŃSKI.

Że, gdy je ręka miłości poruszy,
Odblaskiem nieba zaświecą nad ziemią;
Że więcej słabych, chorych, niż zbrodniarzy;
Że choć najmocniej szaleństwo opęta,
Jeszcze gdzieś w głębi duszy się rozżarzy
Iskierka święta.

Wierzę więc w przyszłość tej wielkiej rodziny,
Bo chociaż niebo skryje chmur nawala,
Choć grom szaleństwa rozwali w ruiny
Wszystko co ludzkość czciła i kochała!
Znowu na niebie błysnie jutrznia złota
I tem piękniejsze po nocy świtanie,
Przemienie burza, która światem miota,
Prawda zostanie.

Wierzę, że idziem po postępu drodze,
Chociaż ta droga idzie nad otchłanią . . .
A czem jest krwawy cień w pielgrzyma nodze,
Tem doświadczenia co nam duszę ranią.
W mrokach błądzimy czując strach i żalność,
Co krok — to rany i zawody świeże,
Lecz, że w błękitach czeka doskonałość:
Wierzę!

Z Ł O Ś N I C A.

Oh! drzę cały, drzę jeszcze, kiedy wspomnę ranek,
Ów ranek, gdy z za białej kotary firanek,
Wyrzałaś tłumionemi łkaniami wstrząsana;
I słońce nie świeciło nawet tego rana,
I kwiaty nie pachniały — i świat tobie cały,
Wydawał się szkaradny, niewdzięczny i mały.
Tak, mały . . . — Bo w twej piersi, jak w piersi Nerona
Wrzała burza namiętna, tyrańska, szalona!
Podnosiła pierś białą, na serce się kładła,
A nawet, gdyś podeszła wreszcie do zwierciadła,
O! zgrozo, oczy były od płaczu czerwone!
Magnetycznie uczulem wtedy, — w moją stronę
Żeś zwróciła się drżąca gniewem i pogardą.
A potem, odrzuciwszy z dumą kosę hardą:
„Przebaczycie mu!? — wołałaś — nigdy! Wielkie nieba
Czerwone oczy z czarnych, czyż więcej potrzeba
Żeby mię zeszkarać! Nie, lustro się myli,
Ach, to lustro fałszywe! czyżby w jednej chwili

Oczy się tak zmieniły i lice tak zbladło?
Jeśli to prawda . . . Boże! ja umrę z rozpaczy . . .
Ale pierwiej się zemszczę i Bóg mi przebaczy!
Rozbiję jego serce!“

I . . . zbiłaś zwierciadło.

Złośnico! figla tobie wyrządę w sekrecie:
W miejsce zbitego lustra, na twej toalecie
Postawię serce moje . . . A gdy twoje oczy
W rozkochanej się jego zagłębią przezroczy:
Cofną się przed pięknością nieznaną — choć własną!
Ujrzą twarz, — ale inną: — promienistą, jasną,
Twarz wiecznie jednakową, w jednakiej piękności,
Twarz swej pani, odbitą przez pryzmat miłości!
Tak, przejrzyś się w mem sercu. . . A za to oszczercę
Zwierciadło, ukarane w ów szkaradny ranek:
Ja wezmę na pamiątkę z przed białych firanek,
Przez wdzięczność, że mi biedne ocaliło serce!

PO ŁZACH.

Gołąbko ty moja: co szepczesz tak z cicha?
Z ust słowa zrywają się drzące —
I biegną skrzydlate, jak z róży kielicha
Motyle do słońka lecące.

WŁADYSŁAW ORDON.

Co? schyłasz się — w oczy mi patrzysz miłośnic,
Śmieją się, powiadasz — i płoną . . .
A potem twarz moją całujesz zmarszczoną:
O! zmarszczki powiadasz, nieznośne!
I włosy mi gładzisz i pytasz dla czego
Te włosy, choć kruczają kaskadą
Do czoła mi biegną, to czoła nie strzegą
Brzydkiego! od zmarszczek brzydkiego!?

O! jasna ty moja! Ty lubisz tak słońce
I kwiaty na słońcu i twarze słoneczne,
I lasy szumiące i chóry piejące
O wschodzie, i słowa serdeczne.
A kiedy grom tętni, gdy burza się sroży,
Gdy jęczą topole w łzach nieba skąpane:
Ty biegniesz Mateńce pokłonić się Bożej,
Splakana — jak niebo splakane.
A kiedy mróz kwiaty pachnące powarzy,
Gdy słońce oziębnie, twarze się zasmucą,
Gdy lasy mileżące śpiewacy porzucą,
Po smutnej lzy płyną ci twarzy . . .
Tak, płyną . . . wciąż płyną; lecz słonko majowe
Całusem je znowu osuszy . . .
I kwiaty do słońca podniosą znów głowę,
I radość powróci do duszy.
Lecz dla nas, nadziei gdy zgaśnie nam słońce —

WŁADYSŁAW ORDON.

O! nie drżysz . . . na długo gdy w łonie
Chłód wielki zamieszka; gdy zziębłą gorące
Uśmiechy — i serca — i dłonie . . .
Ptak-miłość odleci, a w duszy zaśpiewa
Ironja, — gdy rozpacz morderca
Zabiera łez jady, — i wciąż je przelewa
To z serca, to znowu do serca:
O! wtedy jest chwila, gdy wreszcie zwyciężkie
Łez fale, kurcz powiek roztrąca,
I na twarz się lawą wyleją gorącą . . .
Drżysz moja gołąbko! . . . łzy meżkie —
Okropne łzy! . . . przejdą po twarzy, po bladziej,
Zawstydzą się, w serce odpłyną:
Lecz żar ich na twarzy zostawił już ślady,
Tak, ślady co nigdy nie zginą!
A matka twarz taką przeżegna ze łzami;
A ojciec ze czią ją powita;
A moja maleńka obejmie rączkami —
I zmarszczki: — od czego? — zapyta.

WIKTOR GOMULICKI.
ur. 1851 r.

EL MOLE RACHMIM.*

To było na podwórku żydowskiego domu,
W letni wieczór. Dostałem się tam pokryjomu.
— Wiara, zamiast jednoczyć, dzieli i oddala —
Wśród murów poruszała się głów czarnych fala:
Żenił się Icek, waciarz, z tandeciarki córką,
A goście i ciekawi zalegli podwórko.

I miejsce było szpetne i ludzie zwyczajni.
Kilka zbudzonych gęsi gęgało przy stajni,
Na poręczach galeryi pościel się wietrzyła,
Z kuchni woń ryb skwarzonych płynęła niemiła,
A w kącie, dwie akacye marły na suchoty.

Niebo od gwiazd błyszczało, jak — szabaśnik złoty,
Obłoków nie plamiła nawet chmurek wełna,
I noc była królewskiej wspaniałości pełna.

* Od słów „El mole rachmim“ (Boże, pełen miłosierdzia!) zaczyna się żydowska pieśń za umarłych. Podczas obrzędu ślubnego, jeżeli jedno z narzeczonych jest sierotą, pieśń tę odśpiewuje *chazen*, czyli kantor.

WIKTOR GOMULICKI.

Icek stał pod szkarłatnym, starym baldachimem,
W odświętnych sukniach, światłem obłany i dymem.
Był to śniady wyrostek, pół-mąż, a pół-dziecko.
Miłość u żydów chwyta człowieka zdradziecko,
Z zamkniętymi oczyma wiedzie nad otchłanie,
I w objęcia kobiety rzuca niespodzianie.

Tłum składały powszednie postacie z ulicy,
Ludzie, których się widzi w dzień na targowicy:
Tandeciarze, faktorzy, przekupnie, tragarze;
Gorączka rozpalala brodate ich twarze,
A złościło je światło woskowych *hawduli*,
(Świeczek, w których się płomień do płomienia tuli,
Jak w plecionym z błyskawic mieczu archaniola).
Chwilami, nakształt kłosów chyliły się czola.
Szwargotali, lecz obrzęd nie zdał się żadnemu
„Uroczytą śmiesznością“ jako Beaumarchais’mu.

Icek zakrył twarz chustką, a jeden z gromady,
Nie kapłan, lecz człek zwykły, — bardziej tylko błądy
I smutniejszy od innych — wzrokiem wodząc wkolo,
Śpiewał. Pieśń, choć weselna, nie była wesolą.
Dwóch chłopców kędzierzawych wtórzyło jęj krzykiem,
A tłum cały szemranie, pół rzewnem, pół dzikiem.

Patrzyłem na ten obraz ciekawie, lecz zimno.
Icek, choć skryty chmurą świetlaną i dymną,

WIKTOR GOMULICKI.

I poważny na śmieciach, jako przed oltarzem,
Był dla mnie tylko Ickiem, ubogim waciarzem.
I w innych nie widziałem nic poetycznego:
Zdawali mi się ludźmi zwykłymi, co strzegą
Z równą pilnością bród swych, jak — wiary i mienia.
Próżno od blasków nowiu i od świec płomienia,
Śniade lica ich brały tajemnicze piętno:
Żaden nie nęcił twarzą natchnioną lub smętną.

Nagle, śpiew uciekł. Rzekłbyś, że — rozwiął się w dali.

Otwarto z trzaskiem okna od weselnj sali,
Kędy oblubienica, pośród niewiast grona
Siedziała, płacząc. *Chazen* wznosił nad nią ramiona
(*Chazen* o skrzących oczach, z patryarchy brodą)
I wspomniał o jej ojcu, który umarł młodo,
I którego dziś brakło przy rodzinném święcie . . .
Płacz na to powstał wielki, a on, przy lamencie,
Przy niewieścich szlochaniach i łamaniu dłoni,
Zawiódł pieśń, która nutą pogrzebową dzwoni:
El mole rachmim . . .

Najprzód, choć łzami wezbrana,
Pieśń płynęła spokojnie, niosąc do stóp Pana
Ból serdeczny, rozwagi wstrzymywany siłą.
Tak płacze syn dorosły nad ojca mogiłą.

WIKTOR GOMULICKI.

Potem, przesiąklszy smutkiem, który z grobów wieje,
Traciła po iskierce wiarę i nadzieję,
Rosła w moc, i porwana zamętem boleści,
Topniała w łzach gorących i w skardze niewieściój.
Już nie jednej mogiły, lecz grobów miliona,
Stała się głośną płaczką, i z bólu szalona
Biegła, nad cmentarzami zawodzić starami,
Nad kośćmi Izraela, co po całej ziemi
Rozsiane są, jak piasku bezpłodnego ziarna,
I nad tém, że ta siejba będzie może marna,
I nad tém, że na grobach chwast wyrasta głuchy,
I nad tém, że skarłały słabe synów duchy,
I że ta noc niewoli tak długa, tak długa! . . .
Już jój nic nie więziło; rwała się, jak struga,
Kiedy po burzy, w rzekę zmieni się spienioną. —
Śpiewak miał iskry w oczach i drgające łono,
A czoło, które odkrył, w tył zsunawszy czapkę,
Ciekło potem. Śpiew wzruszył nawet starą babkę,
Którą paraliż trupem uczynił i skałą:
Szkło jój źrenic, napoły martwych, zapotniało.
Wszyscy w izbie płakali, zdjęci wielkim żalem;
A kiedy Chazen wspomniiał świętą Jeruzalem,
Matkę! która, choć zdala, białą twarzą świeci,
Od wieków już umarła dla swych pierwszych dzieci . . .
Gdy wspomniiał bezlitośne losów okrucieństwo,
Nędzę, prześladowanie, tułactwo, męczeństwo,

WIKTOR GOMULICKI.

I szczęście utracone na zawsze, na zawsze —
Boleść stała się żywszą, rany serca krwawsze,
Po izbie szął rozpaczy powiał tchnieniem dzikiem,
I zawrzała ogromnym, beznadziejnym krzykiem . . .

Słuchałem pieśni z łonem czułością wezbranem;
I ci ludzie, skarżący się głośno przed Panem,
Dumni wielką przeszłością, bólem wielkim śmieli,
Dziwnie wzrosli w mych oczach i — wyszlachetnili.

Nie widziałem już szpetnych plam na baldachimie,
Nie raził mnie strój Ieka, ani Ieka imię,
Znikła dla mnie powszedniość z tych brodatych twarzy,
I stałem się jak człowiek, co na jawie marzy.

Podwórko . . . Nie, to była już kwietna dolina,
Kędyś, u stóp Libanu, co się w niebo wspina,
I lasem ciemnych cedrów szumi, jakby śpiewał.
Księżyc na tę dolinę zdroje srebra zlewał,
Niebo ją nakrywało kryształowym dzwonem,
Pustynia przewiewała tchnieniem rozpalonem,
A palmy ochładzały wachlarzami z liści.
Między ziemią i niebem nie było zawiści;
Twarz Jehowy patrzyła z góry uśmiechnięta,
Błogosławiąc dolinę, ludzi i jagnięta;

WIKTOR GOMULICKI.

Tłum wiernych szeptał modły i kłaniał się Panu,
W powietrzu pływał zapach nardu i szafranu,
Strumień, jak wąż, rozwijał srebrnołuskie sploty —
.
A gwiazdy tak błyszczały, jak — szabaśnik złoty.

JÓZEF TRETIAK.
ur. 1841 r.

CICHA WODA.

Nie straszną mi jest fala, gdy z odmętów łona
Wyrwana wichrem, wstaje gniewna i szalona:
Pod wiatr śmiało napinam żagiel kruchej łodzi.
Daremnie nimfa groźna targa się i godzi
Na łódź chybką: łupiny drobnej nie pokona,
Już zgubiona w przepaściach łódź na wierzch wychodzi.

Ale kiedy przedemną cicha, ciemna fala,
Patrzy wielką źrenicą bez ruchu i drżenia,
I tajemnice swoje milczeniem zachwała:
Czuję słabnący opór wobec jej spojrzenia,
Czarodziejskiego czuję tam siłę ramienia,
Co z głębi ciemnej chwyta mię, ciągnie, obala.

Znam oczu dwoje; patrzą, jak zwierciadło morza
Gdy cisza letnia fale zmarszczone wygładzi,
Chcę wiedzieć, co tam na dno rzuciła dłoń boża.
Spoglądam — ciemna fala dna swego nie zdradzi.
Przecież czar mię nie puszcza i myśl mą prowadzi
W kraj pereł i koralu, co ścielą wód łóza . . .

W głąb zamkniętego duszy dziewiczej przestworza.

JÓZEF TRETIAK.

ŁÓDŹ U BRZEGU.

Łódź już u skały czeka przywiązana,
Dąsa się fala, tłucze nią o brzegi!
Mkną rozhukane grzyw wodnych szeregi,
Stacza się po nich z głuchym szumem piana.

Milczące niebo, twarzą ołowianą
Spogląda chłodno, mgłę w oczy wiatr ciska.
Płynę w krainę ciemną i nieznaną,
Zkąd żaden promień zachęty nie błyska.

Wiotka i wątła, jak lilji kwiat kruchy,
Maszże odwagę, dziewczę, zemną płynąć?
Nie straszysz ciebie tych wód łoskot głuchy?
Nie lękaszże się w ciemnych falach zginąć?

Tu brzeg kwiecisty; choć się niebo chmurzy,
Od wichru, słoty, łatwe tu schronienie.
Tam pierś otwartą trzeba stawiać burzy,
Na chybkim czólnie wciąż stać niewzruszenie.

A jeśli wiatry umilkną i fale,
Czatuje na nas jeszcze wróg podwodny;
Rozbić się możemy na zdradzieckiej skale
I zatoniemy razem w fali chłodnej.

JÓZEF TRETIK.

Ty drżysz, na brzeg swój spoglądasz z żalobą . . .
Chcesz zostać? powiedz! Sam popłynę w drogę,
Wciąż śniąc o tobie, gdy cię mieć nie mogę.
Milczysz? Bądź zdrowa!

— Stój! Ja płynę z tobą!

BRONISŁAW KOMOROWSKI.

ur. 1847 r.

Z FANTAZJI LUDOWYCH.

BAJKA O NAJPIĘKNIEJSZEJ Z KRÓLEWIEN.

Był król jeden, człowiek starodawny,
Czarnoksiężnik w całym świecie sławny —
Miał rozległe ziemie, jasny dwór,
I dwanaście miał rodzonych cór.
Wszakże wdzięki jedenastu bledną
W porównaniu z tą dwunastą, jedną,
Najpiękniejszą z wszech królewskich cór.

Jako pszczoły wśród wiosennej niwy
Kwiat upatrzą sobie osobliwy,
Do którego wszystkie rade lgną,
Lubo inne, wdzięczne, marnie schną:
Tak wśród jasnych owych dziewic grona,
Zalotników celem tylko ona —
Ona jedna kwitnie, tamte schną.

Lecz królewna pełna też i dumy,
Zdała trzyma zalotników tłumy,

Wszystkich zbywa słowem tem raz wraz:

„Sercu memu jeszcze snąć nie czas!

„A toż przecie, spojrzcie jeno waście:

„Oto sióstr mych macie jedenaście,

„Których sercu snąć już wielki czas“ . . .

W siostrach zazdrość gorzka się roznieci:

„Ojcie! — rzekną — cóż, że my twe dzieci,

„Kiedy ona wszystek dzierży miód . . .

„I urodę po nad cały ród.

„Dasz-że królu dla jednego listka

„By zmarniała twa latorośl wszystka?

„Upośledzać dasz swój cały ród?“

Potrząś król sędziwy światłą głową,

Wszystkie dzieci kochał jednakowo;

Myślał chwilę, wreszcie kończąc swar —

Ten z królewną śliczną czyni czar:

„Duchy! — krzyknie — stwórzcie dla mej panny,

„Bursztynowy dwór na górze szklanej —

„Czarodziejce, niechaj służy czar!“

Rzekł — a szklanne pnie się w lot urwisko

Wyżej, wyżej — a już niebios blisko,

Kędy sklepi się słoneczny stwór,

Bursztynowy wznoszą duchy dwór;

BRONISŁAW KOMOROWSKI.

I królowę wraz też czar osidla,
Niewidzialne zaszeleszczą skrzydła
I w podniebny ją unoszą dwór.

Sen zaklęcia zmorzył wnet królowę,
Lecz zostały w niej uczucia rzewne;
Żal za światem, żal daremnych dni —
Widmo życia w sennem sercu lśni,
Ciągłe postać się jej jedna marzy,
Aż zatęskni! rychło-li los zdarzy
Ujrzeć gwiazdę co w jej sercu lśni? . . .

Król tymczasem z tronu swego wstaje,
Idzie między zalotników zgraje
I tak rzecze: „Niech wie cały świat
„Komu ja, król-ojciec, będę rad:
„Jest-li gdzie młodzieniec taki śmiały,
„Co sprowadzi pannę z szklanej skały,
„Weźmie ją! takiemu będę rad!“

Ledwie rzekł, obruszą się gachowie,
Wrzasną: „Alboż lotni my orłowie?
„Patrz starego! mądry gdyby żyd!“ —
Mierzą okiem szklanej góry szczyt,
Szklaną stromość mierzą — nie przelewki! —

BRONISŁAW KOMOROWSKI.

„Królu — mówią w końcu — tamtej dziewczki
„Nie dobędziem! duchów jest jej szczyt!“

„Ot, te dla nas . . . Panny, wasze szczęście!
„Jedenastu świta dziś zamęźcie“ . . .

Wtem, jak wiatr przypadnie rumak; — z grzyw
Para skrzydeł rwie się — istny Gryf!

„Wiara lasza! hej, jak mknie — widzicie?

„Sadzi w górę — wyżej — już na szczycie!“ —
Czarodziejkę wziął wyśniony Gryf.

SIEROTKA.

— Dlaczegoś, papo, tak czarno ubrany?
Na gości czekasz dziś może?
Sukienkę wdzieję nowiutką, w falbany,
I włoski w loczki ułożę.

— O będzie dziecię, dziś gości tu wiele,
Lecz nikt ci bajki nie powie . . .
Ksiądz proboszcz przyjdzie, co chrzczył cię w kościele,
I przyjdą czarni panowie . . .

— Dlaczegoś papo, tak smutny i blady,
A w oku twojem łza wieczna?
Czy po mnie idą ulicą te dziady?
Ach! przecież byłam tak grzeczna!

— Z bezsennej nocy mam bladeść u czoła . . .
Nie płacę, ptaszko ma droga . . .

AURELI URBAŃSKI.

Zaś dziadki idą do kruchty kościoła,
By prośby zanieść do Boga . . .

— Dlaczego, papo, u mamy tak ciemno,
I pachnie, jakby w kaplicy?
Dlaczego łamiesz twe ręce nademną,
Gdy dzwon zahuczy z ulicy?

— Tam grządki twoje w ogródku, me dziecię,
Podlewać pewnie zaczęto . . .
Ztąd zapach kwiatów, zwyczajnie jak w lecie,
A dzwonią dzisiaj . . . bo święto.

— Ty milczysz, papo i służba strapiona;
A chociaż płacę od wczora,
Wpuścić mnie nie chcą do mamy — o ona
Samotna leży i chora!

— Więc na paluszkach pójdź ze mną powoli,
Jej bóle pewnie ustały.

— O tak, pieścotko . . . już nic ją nie boli . . .
Śpi cicho . . . skarbie mój mały . . .

— A więc jej nie budź . . . Wzbronione dziś krzyki . . .
A zato jutro, pieścotko,
Zawiodę ciebie, gdzie czarne krzyżyki,
Gdzie ptaszki nucą tak słodko . . .

AURELI URBAŃSKI.

— Tam, przy sosence pagórek urośnie,
A ja cię wezmę na ramię,
Zaniosę jutro . . . klękniemy przy sośnie
I gwarzyć będziem . . . o mamie!

KTO SILNIEJSZY?

Hej, na górze wyniosłej
Zamek sterczy wysoki.
Stopy myją mu fale,
Głowę czeszą obłoki . . .
Nad im, złota chorągiew
Igra z wiatrem, powiewna —
A w tym zamku król wielki,
A w tym zamku — królowna!

„Hej, rycerce! Kto siłę
„Z was największą okaże,
„Temu konia bachmata,
„I rynsztunek dam w darze;
„I sokoła z kapturem,
„I puchary złocone,
„I połowę królestwa,
„I mą córkę za żonę!“

BOLESŁAW CZERWIEŃSKI.

A więc jeden podskoczy:
I ogromnem ramieniem
Z ziemi skałę, co rosła,
Wyrwał z twardym korzeniem.
Za nim drugi podskoczył
I nie długo się bawił,
I na miejscu wyrwanej
Drugą skałę postawił . . .

Król sędziwy wyrzeczce:
„Siła w obu was równa,
„Wiec, którego z was zechee
„Niech rozsądzi królówna!“
„Jak malina dziewczeczka
„Schyla modre oczęta:
„Burzyć, ojeze, rzecz wielka,
„Lecz budować — rzecz święta!

„Komu oddać mą rękę
„Ja nie waham się chwili.
„Lecz twe słowo monarsze
„Niechaj szalę przechylili!“
Król z łzą w oku spoziera
Na obydwu rycerzy:
„Który skałę postawił,
„Temu dank mój należy . . .

BOLESŁAW CZERWIŃSKI.

„Tyś, witeziu silniejszy,
„Niż najwięksi mocarze;
„A więc tobie bachmata
„I ryszturnek dam w darze . . .
„I sokoła z kapturem,
„I puchary złożone,
„I połowę królestwa,
„I mą córkę za żonę!“

M A T K A .

Gdy przy boku niewiasty zakwili dziecina,
Nowe się dla niej życie, nowy świat zaczyna . . .
Przeszłość, przyszłość, świat, wszystko, dla niej w nicość
tonie,
Bo wszystkim dla niej dziecię, które ma przy łonie . . .
W niem widzi ból i szczęście, radość i rozpaczę,
Śmiechem dziecka się śmieje, płaczem dziecka płacze;
Wdwódźnasób czuje radość, lzy i niepokoje —
Zaczyna żyć za dwoje i cierpieć za dwoje . . .
Modłaca się nad dzieckiem z pochyloném czołem,
Jest anielskim człowiekiem — i ziemskim aniołem! . . .
Kiedy dziecię z uśmiechem wyciągnie rączęta,
Cała zmienia się w miłość, szczęściem wniebowzięta

BOLESŁAW CZERWIEŃSKI.

I nadziemskim uczuciem swem rozeskrzydłona,
Świat cały, wraz z dziecięciem przytuła do łona!
Lecz kiedy do kolebki choroba zagości,
Kiedy wróg się przybliży, co nie zna litości —
Anioł zmienia się w lwicę, co swych piskląt broni...
Ustąp, widmo straszliwe! nie zbliżaj się do niej!
Precz szatany! Któż widok jej znieść się ośmieli?
Wszak ma szpony orlicy — w oku łzę gazeli!!
Dziecię wzrosło... Jak motyl na słońce wylata
Zbierać miody rozkoszy z ciernistych róż świata...
Lecz kiedy tylko słodycz ssą usta dziecięce,
Matka ciernie usuwa, krwawiąc święte ręce,
I bez tchu prawie dąży za swym skarbem w ślady,
By strzec je od nieszczęścia, od burzy, od zdrady!...
Lecz dziećciu za ciężka matczyzna opieka...
Nie zważając na prośby wciąż dalej ucieka,
Niewdzięcznością odplaca za miłość matczyną,
Niezważa na łzy święte, co jej z oczu płyną,
Ni na ten miecz, co serce jej biedne przenika,
Gdy za nią boża kara ściga niewdzięcznika!
A ona? Wciąż jednaka, święta, miłująca,
Jakby grzech, gniew swój słuszny, od siebie odtrąca,
Żyje tylko nadzieją że wróci zbłąkany,
Że miłośnem swem technieniem zagoi mu rany,
Które każdy syn ludzki odbiera od świata...
Z takich smutnych nadziei żywot jej się splata!...

BOLESŁAW CZERWIĘŃSKI.

Żywot jej — krzak ciernisty u stóp zimnej skały,
Na którym czasem błysnie kwiat bładny i mały,
Lecz w krzewie tym, najświętsza część Bożego ducha,
Z niego, jak na Horebie żar miłości bucha:
Ogień, zamienia w popiół rdzeń świętego drzewa,
Lecz daje innym życie — i światło rozlewa.
Miłość matki za grobem nawet jeszcze działa . . .
Jako wspomnienie święte, jako kształt bez ciała;
Nad sierotą unosi się dusza matczyną —
I, że miłość jest szczęściem, wciąż jej przypominają! . . .
Miłości macierzyńska! W matki mej osobie
Schylam czoło przed tobą i hołd składam tobie!
Tyś potężna i święta . . . Kto ciebie nie czuje,
Świat go winien żalować — i ja go żałuję!





A Nr 020093



C e n a

zł 75 gr

DK - 28 d
1.54

Wzór Jednoraz. CWD, W-wa. 15973/K
2041 - Lak - 25.11.53 - 3000 b' à 100 k.

Biblioteka UJK Kielce

UJK



0473037